

Gniazdownicy

Dorośli: „młodym się nie chce”.
Młodzi: „mamy trudniej” → 18

Jedzenie zwierząt

Jonathan Safran Foer
o dylematach mięsożerców → 34

Hanna Banaszak

Gwiazda, która uciekła
przed sławą → 46

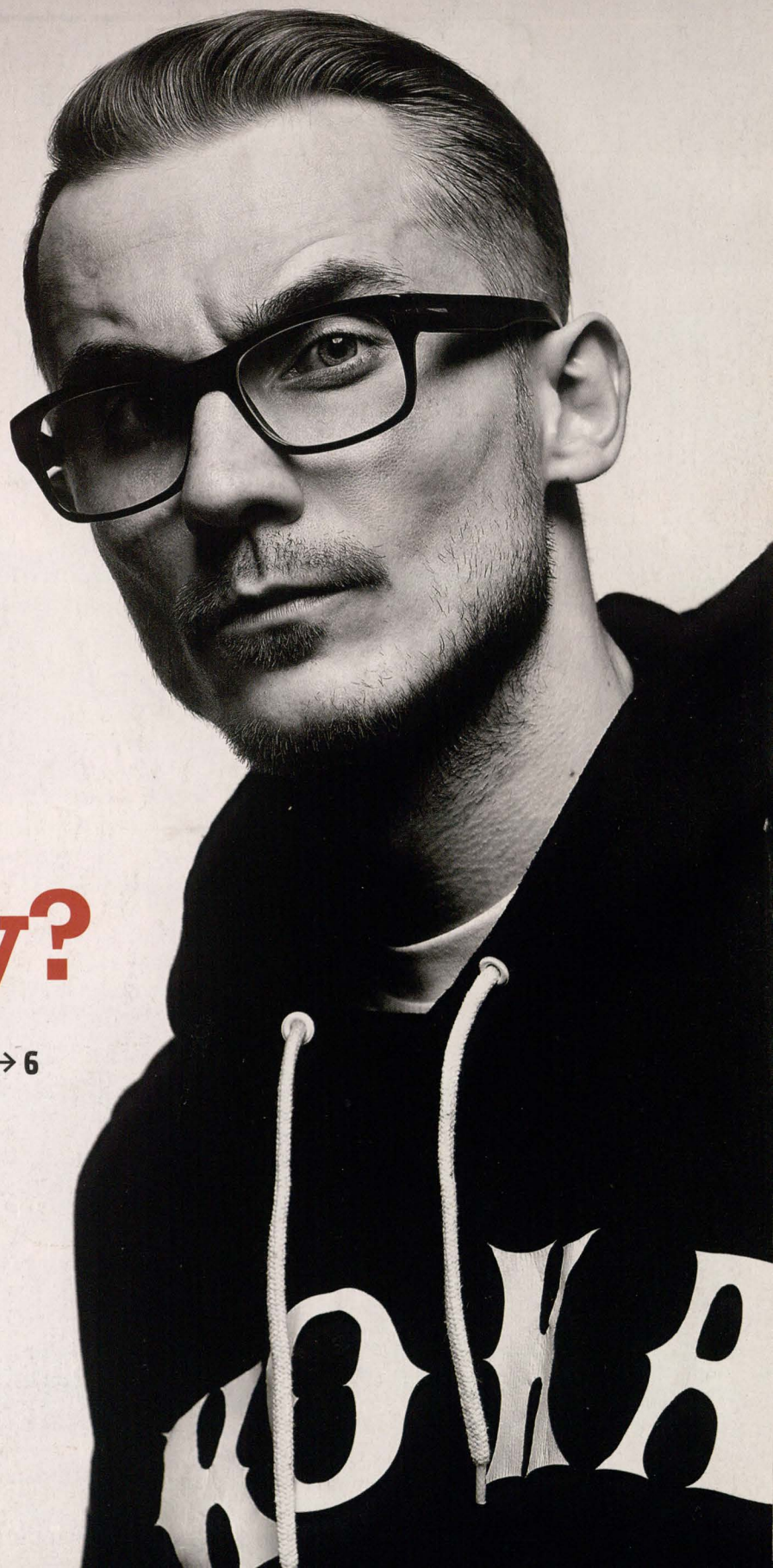
PRZE KROJ

nr 23 (3540), 10 czerwca 2013, cena: 4,90 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl

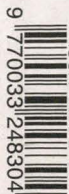


Pezet. Koniec imprezy?

Raper, który stara się wydorosnąć → 6



INDEKS
371424

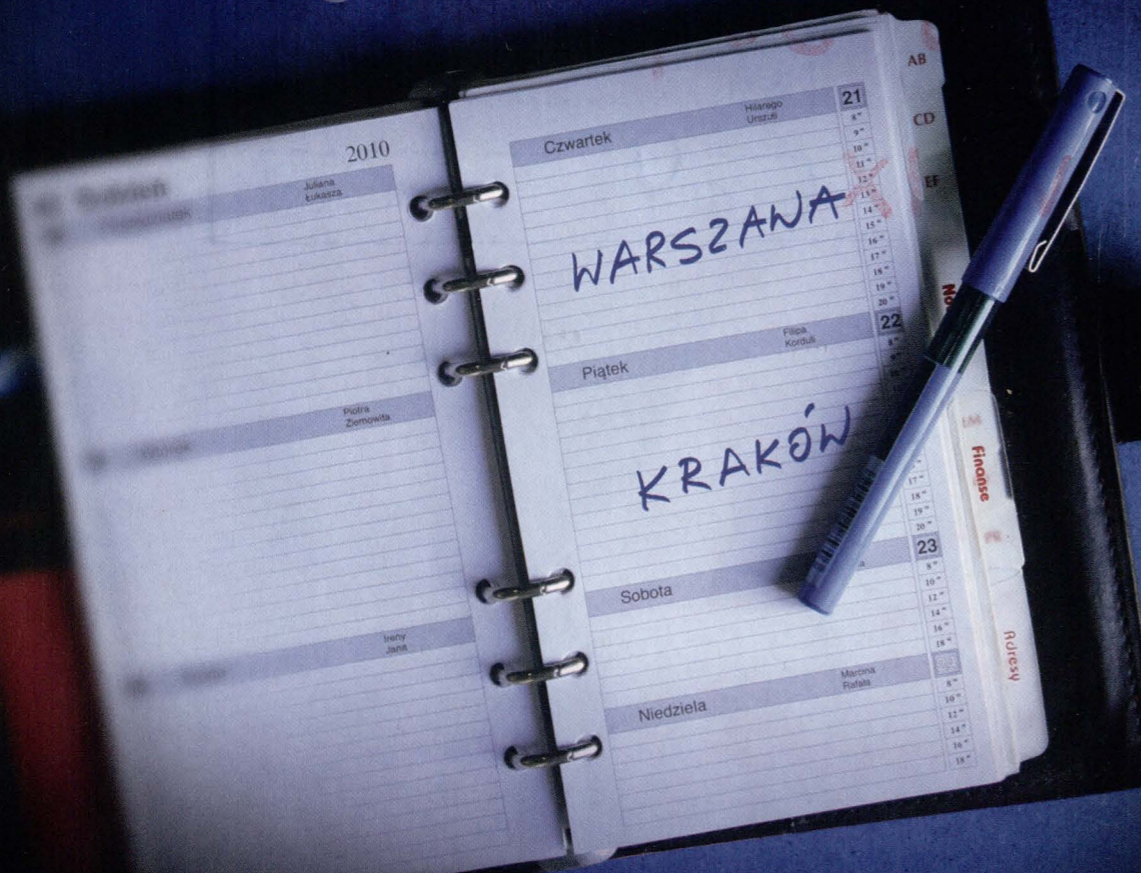


23 >

„Przekrój” ukazuje się od 1945 roku

Warszawa, Kraków, Warszawa

Teraz podróże biznesowe to przyjemność



Hotel Portos
★★★



Kraków Old Town
★★★



Hotel Felix
★★★



Hotel Galicya
★★★

Warszawa i Kraków – dwie polskie stolicy. Nasze hotele to odpowiedź na potrzebę spotkań biznesowych w obu tych miastach.

To znak najwyższych europejskich standardów, otwarcia na biznes i rozsądnej polityki cenowej. To profesjonalna obsługa i doskonała lokalizacja.

Odwiedź nas w stolicy. Dowolnej.

www.bestwesternwarsaw.pl • www.bwkrakow.pl

PRZE KROJ

NA POCZĄTEK



024689

FRANEK MAZUR (2)



ZUZANNA ZIOMECKA

Nie wiem, kto pierwszy zaserwował młodym wysoko wątpliwą radę „bądź sobą”, ale podejrzewam o to Amerykanów. Ich przemysł rozrywkowy od lat powtarza ją jak mantrę. W wywiadach gwiazdy filmowe i muzyczne pytane o sekret swojego sukcesu zgodnie twierdzą, że sami nie wiedzą, bo po prostu są sobą. Nie wątpię, że intencje były szlachetne. Pewnie chodziło o wiarę we własne możliwości, dumę z pochodzenia, śmiałość w gonieniu za amerykańskim marzeniem. Ale gdzieś po drodze sens tego hasła wypłowiał. Cywilizacja zachodnia obrosła w wygody – walka o byt zamieniła się w wybieranie tańszych produktów. Młodzi zaczęli traktować „bycie sobą” dosłownie, jak receptę na sukces. Ale powoli odkrywają, że coś tu nie gra. W marcu „Wall Street Journal” opublikował list od Suzy Lee Weiss. Wściekła

licealistka żaliła się, że nie dostała się na uniwersytet swoich marzeń, mimo że tak pieczołowicie była sobą. Nie starała się przypodobać nikomu (np. rekrutacji uniwersyteckiej), robiąc rzeczy, na które nie miała ochoty. Bycie sobą w jej przypadku oznaczało pielęgnowanie braku ambicji i nikt nie raczył jej poinformować, że to nie najlepsza droga. Suzy szydzi przy tym ze wszystkich, którym udało się dostać na ciekawe studia. Jej list przypomina mi film „Diabeł ubiera się u Prady”, w którym od zapracowanej głównej bohaterki odwracają się przyjaciele, bo przestaje być sobą. Gdy coś podobnego robi artysta, mówi się o nim, że się wyprzedaje. A gdy przedstawiciel szeroko teraz dyskutowanego pokolenia millenialsów (str. 18) przestaje „być sobą”? Może tak się teraz rozumie „dorosłość”.



MARCIN PROKOP

Jednym z najczęściej powtarzanych zaklęć współczesności jest „prawo do samorealizacji”. To, co wygląda fajnie w lewicującej retoryce, wedle której nic nie ma prawa tłamsić indywidualnych aspiracji i rozmaitych życiowych postaw, w praktyce często okazuje się jednak martwym mitem. Bo nieograniczona wolność decydowania o sobie, możliwość całkowitego wyemancypowania swoich wyborów spod jakiegokolwiek presji (np. oczekiwań rodziców, obowiązku służby wojskowej, zdobycia wyższego wykształcenia itd.), których beneficjentami są dzisiejsze dwudziestoparolatk, u wielu z nich powoduje życiowy paraliż. Reprezentanci pokolenia gniazdowników (str. 18) niby mogą wszystko, ale nie

wiedzą, czego chcą. Nie wierzą w nic, oprócz przekonania, że należy im się co najmniej tak dobre i miłe życie, jak ich rodzicom. Skonfrontowani z rzeczywistością inną niż ta, która wyłania się z kolorowych seriali i programów, gdzie każdy może stać się „tap madl”, okazują wielką frustrację. Zamiast jednak przekuć ją w chęć działania i dokonania zmiany, wybierają przepłaconą kawę w „starbuniu” za kieszonkowe od starych. Łatwo ich potępić i nazwać apatycznymi lemingami. Bardziej jednak należy im współczuć. Bo, jak sami przyznają, są pokoleniem wychowanym bez jakichkolwiek mocnych wzorców, punktów odniesienia, drogowskazów, wspólnych wartości. A to już wyłącznie nasza wina.

RACZKOWSKI



AKTUALNOŚCI

- 6 → **BOHATER TYGODNIA** Król się bawi, złotem płaci
O kasę, kaca i starość rapera Pezeta wypytuje Jakub Żulczyk
- 12 → **TEATR** Gorzej już być nie może Grzegorz Jarzyna
płacze nad kryzysową sytuacją w TR Warszawa

GRUBE SPRAWY

- 18 → **MILLENIALSI BEZ PRACY** To nie jest świat dla gniazdowników
Kaniewska i Haponiuk twierdzą, że młodzi to lenie. A trójka młodych się odszczekuje
- 24 → **BERLIN** Uduchowione miasto zbudowane na kwarcu
Z Dorotą Danielewicz, autorką książki „Berlin. Przewodnik po duszy miasta”, dyskutuje Agnieszka Drotkiewicz
- 30 → **SPOSÓB NA KRYZYS?** Cudowne jest życie wieśniaka,
opisuje Anna Wittenberg
- 34 → **ZIADANIE ZWIERZĄT** Kogo kochasz, kogo zjesz
Najnowszą książkę o mięsożercach skosztowała Zuzanna Ziomecka
- 38 → **EDUKACJA** Pochwalmy się Polską
Z prof. Mikołajem Kunickim, świeżo upieczonym szefem polskich studiów na Oksfordzie, rozmawia Jerzy Ziemacki
- 40 → **WYSTAWA** Fotograficzny skarbiec z Nowego Jorku
Z Kathy Ryan, szefową fotoedycji „The New York Times Magazine”, rozmawia Martyna Sztaba



dzięki uprzejmości THE METROPOLITAN MUSEUM OF ART

KULTURA

- 46 → **MUZYKA** Hanna Banaszak wychodzi z szafy
Powracającą gwiazdę wita Monika Brzywczy
- 52 → **MALARSTWO** Obrazy do oglądania z półdystansu
Na wystawę Marka Rothki zaprasza Monika Szydłowska
- 58 → **KINO** Wydmuszka z obrazów filmowych O filmie „Tylko Bóg wybacza”
pisze Paweł T. Felis
- 64 → **PRZEDRUK** „Grecy umierają w domu”
Fragment nowej powieści Huberta Klimko-Dobrzanieckiego

ROZMAITOŚCI

- 68 → **MODA** Wszystkie odloty Vivienne
Dominika Wasilewska
- 74 → **FANTY I FETYSZE** Wybiera Bodo Kox Iwa Pawlak
- 76 → **PIERWSZA PRACA** Gruszki, majtki i szkielety,
czyli jak za młodu dorabiał Jacek Poniedziałek
- 78 → **WINA** Winiarska etykieta Wojciech Bońkowski

FELIETONY

- 17 → **MARIUSZ ZIOMECKI** Kto ignoruje, ten żałuje,
czyli o nowych zabawkach dla naszego wojska
- 45 → **JAKUB ŻULCZYK** Plyta na całe życie,
czyli o nowym albumie Daft Punk
- 56 → **MACIEJ NOWAK** Hopla!, czyli Cielecka rządzi

RACZKOWSKI



PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,
22 463 03 00, www.przekroj.pl,
e-mail: doredakcji@przekroj.pl

Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop

Zastępcy redaktorów naczelnych:
Hanna Rydlewska
Monika Brzywczy
(redaktor działu Kultura)

Redaktor działu Grube Sprawy:
Hubert Kropielnicki

Redaktor:
Grzegorz Sobaszek

Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czarnecka

Współpracownicy:
Wojciech Bońkowski, Max Cegielski,
Kuba Dąbrowski, Aga Kozak,
Angelika Kudńska, Katarzyna
Nowakowska, Cezary Polak, Marek
Raczkowski, Marianna Saska,
Karolina Sulej, Stach Szablowski,
Mike Urbaniak, Jerzy Ziemacki,

Stażystka: Iwa Pawlak

Projekt graficzny:
Magdalena Piwowar

Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski

Fotoedycja:
foto@przekroj.pl,
Dorota Majka-Czarnecka

Korekta: Dominika Stepień,
Agnieszka Ujma

Projekt strony internetowej:
KRCMedia.pl

Wydawca: GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

Promocja i marketing:
Cezary Piernikowski – p.o. Dyrektora
Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska
(p.berska@rp.pl)

Biuro Reklamy i Ogłoszeń:
GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa;
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69;
fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57;
reklamainfo@presspublica.pl;

**Dyrektor Biura Sprzedaży
Korporacyjnej** Witold Trzciński
tel. 22 463 05 53

**Dyrektor Działu Agencyjnego
i Magazynów** Filip Weichert
tel. 22 463 01 88



PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”
Prenumerata redakcyjna:
Cena prenumeraty 2013 r.:
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł
Zamówienie na prenumeratę należy
składać e-mailem:
prenumerata@przekroj.pl
Dodatkowe informacje
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

Prenumerata kolporterska
Oddziały Ruch SA, tel. 801 800 803
lub 22 693 70 00 – telefoniczne Biuro
Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18,
www.prenumerata.ruch.com.pl,
urzędy pocztowe

Prenumerata Elektroniczna
(e-wydanie, wydanie na tablecie):
tel. 801 15 15 15, e-mail:
serwisypłatne@rp.pl
www.przekroj.pl
www.sklep.rp.pl
www.e-kiosk.pl
www.e-gazety.pl

Zdjęcie na okładce:
Zuza Krajewska



W tym tygodniu nie piszemy...

- ...o „otwartej wojnie religijnej na ulicach Europy”, która przyśniła się Mariuszowi Maxowi Kolonko. „Mówię, jak jest” – taki tytuł nosi program dziennikarza z ambicjami politologa. A powinien się nazywać: „Najpierw mówię, potem myślę”.
- ...o torcie, którym zaatakowana została „na służbie” sędzia badająca na potrzeby procesu stan zdrowia Czesława Kiszcza. I kto tutaj jest chory?
- ...o nakazie milczenia, który na księdza Lemańskiego nałożył arcybiskup Henryk Hoser. Szkoda, że ucisza się tych, którzy mądrze mówią.
- ...o pierwszym festiwalu piosenki narodowej Orle Gniazdo w Siewierzu, który odbędzie się pod koniec czerwca. Już bujamy się w rytm przeboju „Płoną wozy TVN-u”. Nie ma to jak sztuka zaangażowana.
- ...o tym, że prof. Zbigniew Lew Starowicz reklamuje preparat ułatwiający kontrolę wytrysku. Hasło promujące produkt brzmi: „Prawdziwego męczyzynie poznać po tym, jak kończy”. Czyżby producentowi zabrakło środków na opłacenie Leszka Millera?

A Wy nie chcecie czytać...

- ...o tym, że pan Fibak nadal porusza się w branży galerników, zmienił tylko towar, którym „obraca”. (Wiktor Spek)
- ...o trwonieniu publicznych pieniędzy na koncerty i dymisji wiceprezydenta stolicy (i ministrowi sportu prawdopodobnie też). Po co się denerwować, skoro i tak pogoda dobija? (Dorota Jarek)
- ...o pośle, co z PiS-u wystąpił, i dzięki temu wszyscy o nim po raz pierwszy usłyszeli. (Iza Solska)
- ...o podwodnej stolicy Czech. (Kuba Markowski)
- ...o Hannie Gronkiewicz-Waltz, bo i tak niedługo już jej nie będzie. (Kuba Polkowski)

W środy pytamy Was na Facebooku, jakie sprawy umieścilibyście w tej rubryce. Wybrane odpowiedzi publikujemy w wydaniu papierowym!



RACZKOWSKI

ROZMAWIA JAKUB ŻULCZYK, ZDJĘCIA ZUZA KRAJEWSKA

Król się bawi, złotem płaci

Kiedyś żył na krawędzi i opowiadał o tym na płytach całej Polsce. Teraz zwolnił, chociaż wewnętrznie wciąż jest zwichrowany. Przeraża go dorosłość rozumiana jako pasmo obowiązków i marazm, a jednocześnie marzy czasem o żonie, trójce dzieci i pracy w warsztacie samochodowym.

Pezet ma 33 lata i nie wie, jak skonsumować własny sukces.

Czujesz, że teraz jest twój moment?

Tak, i trochę się tego boję.

Dlaczego?

Z jednej strony mnie to cieszy, od zawsze chciałem to poczuć. Wszystko, co dzieje się teraz wokół mnie, jak na polską skalę, rzeczywiście robi wrażenie. Tylko się zastanawiam – dlaczego teraz? Skąd to się wzięło? Czy te rzeczy, które zrobiłem ostatnio, faktycznie są tymi najlepszymi?

Masz wątpliwości?

Jestem zadowolony z paru tekstów, ale z moją samokrytyką zliczyłbym je naprawdę na palcach jednej ręki. W dodatku to, że jestem zadowolony z tekstu, nie oznacza, że podoba mi się cały kawałek, bo nie wszystko zależy ode mnie. Ktoś musi mnie jeszcze dobrze wyprodukować. Z ostatniej płyty lubię swój tekst do „Brutto czy netto”, jeszcze parę innych, ale do żadnego nie jestem tak przekonany, żeby sypnąć tytułem.

Powiem ci, że w tym momencie nie lubię żadnej ze swoich książek. Pozmieniałbym w nich wszystko.

Mam identycznie. Żadna moja płyta nie jest dla mnie OK. I zastanawiam się, czy

nie jest tak dlatego, że czyszcę się przy każdej płycie, wylewam się emocjonalnie, pozbywam się bieżących spraw.

Przypomina mi się ukraiński pisarz Jurij Andruchowycz, który twierdził, że wszystko, czego chcemy, przychodzi zawsze trochę później i inaczej, niż tego chcemy.

To jest totalnie to. Wydaje mi się, że nie jestem obecnie w najlepszej formie tekściarskiej. Byłem w lepszej parę lat temu, ale wtedy z kolei byłem w amoku twórczym, życiowym. Powstawały przez to fajne rzeczy, mieliły się gdzieś tam z moją wrażliwością, ale nie byłem w stanie ogarnąć wszystkiego sam. W takich sytuacjach powinien przy tobie pracować sztab ludzi. Szkoda, że w Polsce nigdy tak nie jest, tu musisz działać na własną rękę. Dzisiaj umiem zadbać o własne interesy, całe szczęście bez wchodzenia w jakiś celebrycki pierdolnik.

Zbierasz teraz żniwa z ostatnich 15 lat pracy – wyprzedane trasy, kontrakty reklamowe, firma odzieżowa. Zabawne jest też to, że łączy się to z premierą płyty, która wzbudziła mieszane emocje.

Jeśli to jest wynagrodzenie za 15 lat zapieprzania, robienia muzyki w zgodzie zeso-

ba, to jest zwyczajnie żenujące i śmieszne. Mówię tutaj zarówno o pieniądzach, jak i o pewnym, nie wiem, jak to nazwać, splendorze. A co do „Radiu Pezet”, to fakt, dużo szumu wokół tej płyty powstało, na zasadzie „nieważne, co mówią, niech mówią”. I nie czuję się z tym najlepiej. Nabrałem do niej dystansu, wziąłem sobie do serca głosy krytyczne. Ta płyta nie jest równo wyprodukowana, nie zawsze są tam momenty, o które muzycznie mi chodziło, ale mam tam kilka życiowych tekstów, mimo wszystko.

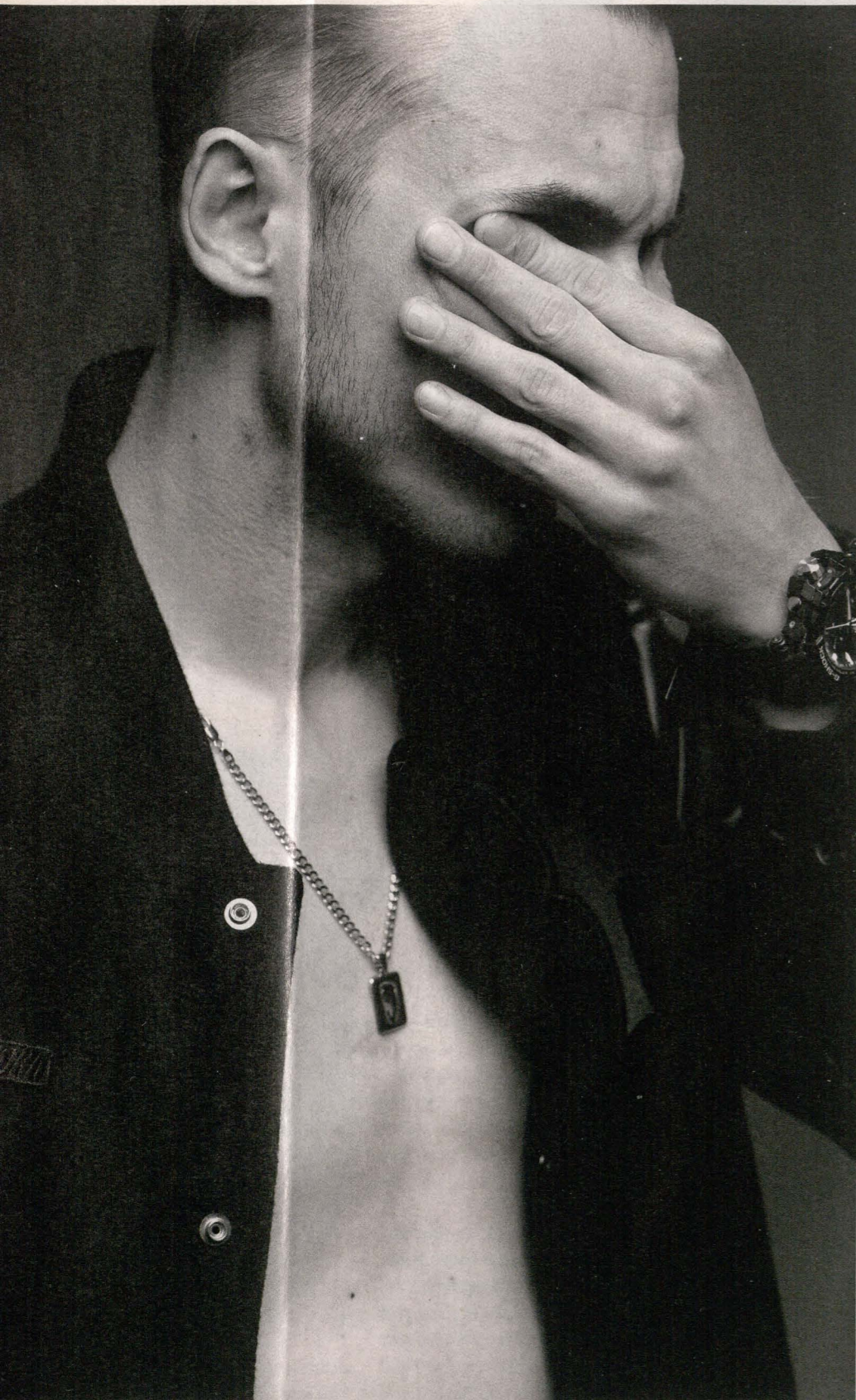
Kiedy pracujesz nad płytą rok, pojawia się niebezpieczeństwo, że w momencie publikacji zgromadzony na niej materiał będzie przeterminowany.

Tak było w moim przypadku. Może nie w 100 procentach, ale w pewnym sensie – tak. Mówię to otwarcie.

Z kolei płyty, które zrobiliście z Noonem – „Muzyka klasyczna” i „Muzyka poważna” – zawsze będą świeże. Wielu ludzi twierdzi, że nigdy nie przeskoczysz tych płyt.

Noonowi trzeba oddać, że jego muzyka, nawet silnie inspirowana różnymi rzeczami, zawsze wypada oryginalnie, autorsko. Co innego mnie wkurza – ja wte-





dy po prostu pisałem gorsze teksty. Gdy porównują mi „Seniorite” z „Supergirl”, to ten drugi tekst jest miliard razy lepszy. Komuś może się nie podobać ten kawałek i nawet to rozumiem, bo to zrobiony z pełną świadomością hincior, ale obiektywnie jest lepszy.

Masz problem z tym, żeby produkować hity?

Nie. Miałbym problem ze zrobieniem hitu typu DJ Bobo, oczywiście. Ale nie chcę być niszowy. Od początku mówię na swoich płytach, że chodzi mi o to, żeby wejść jak najwyżej. I to nie jest żadne sprzedanie się. Sprzedanie się to zrobienie czegoś wbrew sobie za pieniądze. Gdy byłem dzieckiem, oglądałem amerykańskie klipy rapowe, a w nich cały ten przepych, forszę, i marzyłem o tym. Więc czemu nie? What the fuck? Jeśli ktoś przychodzi do mnie podpisać kontrakt, to czemu miałbym się nie zgodzić, zakładając, że to jest produkt, którego bym użył, który bym wypił albo na siebie założył?

To odważne, bo w Polsce jest i będzie problem z forszą. Tutaj źle ją mieć.

W myśl zasady: zarobił, więc ukradł.

W amerykańskim rapie złoty łańcuch jest do przyjęcia, bo w Stanach szanuje się tych, którzy zarabiają pieniądze.

No tak, ale w Stanach panuje kult pieniądza, który też jest dla mnie zły. Chodzi mi o znalezienie złotego środka. Moja mama, która jest z zupełnie innej epoki, wpajała mi, że pieniądze nie są najważniejsze, że trzeba dbać o ludzi. Z drugiej strony wychowałem się na pewnej muzyce, pewne rzeczy mnie fascynowały, zawsze chciałem je mieć, więc dlaczego teraz, gdy mam kasę, nie mogę sobie pozwolić na kupowanie ton butów? Zdając sobie oczywiście przy tym sprawę z tego, że kupowanie czegośkolwiek to żaden cel. Kupujemy symbole.

A forsa ci się teraz zgadza?

Nie, no co ty. To znaczy, nie chcę zabrzmieć jak niewdzięczny chuj. Jakbyś mi powiedział, gdy miałem 20 lat, że będę miał taką forszę jak teraz, no to wiesz... Wykrzyknąłbym pewnie „Wow, kupię sobie samochód!”. Ale w jakim kraju my żyje-

my? Gdybym chciał teraz postawić sobie dom – nie kupię 50-metrowe mieszkanie, ale postawić dom, co nie jest jakimś synonimem luksusu – to zwyczajnie mnie na to nie stać. Jak się zarabia w ogóle takie pieniądze? W Polsce jest zresztą tak, że jak zarobisz pieniądze, to jesteś skończony. Masz je, mówisz o tym i jest po tobie. Ale może też ludzie, którzy to krytykują, są niedorośli, mówią tak przez pryzmat swojego wieku? Tak musi być, bo o jakich pieniądzach my tu mówimy? Śmiesznych.

Ale czy my w ogóle możemy o sobie powiedzieć, że jesteśmy dorośli? Mamy po 30 lat i popatrz na nas.

Teraz rozmawiamy o dorosłości przez pryzmat odpowiedzialności za finanse, jakość swojego życia i w tym zrobiłem się może aż za bardzo dorosły. Ale w innych kwestiach mam zdecydowanie zbyt pogmatwany łeb, by uważać się za osobę dorosłą...

Ale co to jest ta dorosłość? Zadają to pytanie również sobie. Dziś to bardzo zamglona kategoria.

Bardzo zamglona, bo nie ma żadnych wytycznych, które wskazują, kto jest dojrzały, a kto nie. Dla mnie osoba dorosła to osoba konsekwentna i odpowiedzialna za swoje czyny, za bliskich. Umiejąca się poświęcić. A ja zawsze byłem sztandarowym przykładem chłopca. Przez wiele lat tego rapowo-rockandrollowego burdelu wydawało mi się, że najważniejsze jest imprezowanie, alkohol, kobiety, że najciekawiej jest być rockandrollową ikoną, która umiera młodo. To nie jest dojrzałe na bank, ale wiesz co, najgorsze jest to, że to mi dalej imponuje, chociaż mam 33 lata. Ten rodzaj czarnej energii, pewnego cynizmu jest bardzo pociągający. Tylko że to nie jest żadna dorosłość. To jest antymęskie. Król się bawi, złotem płaci – to jest esencja gównażerii, egoizmu. Dziś to w jakiejś mierze wiem, ale nie zawsze.

Odzywa ci się Jim Morrison?

Ja już nie jestem tą osobą. Walczę z tym, zmieniam to. Chociaż zdarza się jeszcze, że odzywa się gdzieś pod czaszką ten czy-

inny idol z młodości. Czasem się łapię, że już nie chcę więcej zmieniać, nie mam siły. Mówię sobie, najwyżej nie będę dorosły, trudno, bo przecież naprawiłem już 100 rzeczy, myślałem, że to już, a do zrobienia zostało jeszcze 300.

Potwornie dużo od siebie wymagasz.

Ogólnie tak, ale nie w tym przypadku. Jestem z siebie dumny, stary, że jednak w tym trwam i że mam z tego frajdę. Mogłem wylądować naprawdę źle.

A miałeś konkretny moment pobudki?

Miałem ich wiele, ale z większości nie skorzystałem, a przynajmniej dotychczas nie zrobiłem tego konsekwentnie. Tu piję trochę do picia, imprezowania przede wszystkim.

Kiedy odstawiłeś wóde?

Nie tyle odstawiłem wóde, ile w ogóle pozbyłem się imprez z mojego życia.

Gratulacje. I jak się kolega czuje?

Różnie. Na koncertach – rapując te wszystkie kawałki, w których jest oczywiście wiele moich przygód – zastanawiam się, co ja w ogóle mówię do tych ludzi. I wtedy budzi się też taki mały demon. Porozrabiałoby się, oczywiście przez chwilę, ale zaraz przychodzi ta myśl, że już dużo tego rozrabiania było.

Ty w ogóle jesteś facet z cienkim naskórkiem. A jak wiadomo, wóda, używki, brak higieny seksualnej rozpuszczają ten naskórek jeszcze bardziej. Rachunki za gaz się płaci.

Oczywiście, że tak. Ja w ogóle poszedłem w bal już jako nastolatek, bo po prostu nie miałem innej recepty na swoją wrażliwość. Zaczęło się od tego, że trzeba było się trochę przychamić. Tym bardziej że znalazłem się w miejscach, w których nie ma za bardzo głaśkania po główce. No i poszedłem w to, żeby sobie poradzić, nie odstawać, ale prawda jest taka, że w pewnym momencie to nie jest sposób na problemy, tylko na pakowanie się w problemy na własne życzenie. Sam sobie, jak powiedziałeś, rozpuszczasz ten naskórek jeszcze bardziej. A jednocześnie Włodi miał taki

wers, że czasem myśli, że przeginał, ale może powinien byłby bardziej. Zawsze możesz jeszcze więcej przeżyć. Możesz być z jedną dziewczyną, ale może możesz mieć wszystkie dziewczyny.

Tylko po co?

Bo możesz. To głupie, ale po prostu – bo możesz. Dziś tak nie myślę, to jest przykład. Jedni będą o tym mówić jak o głodzie życia, niezaspokojeniu, pasji, nienazwanym czymś, ja zaczynam to traktować jako pewnego rodzaju ułomność. Wydaje mi się, nigdy się nie badałem, ale chyba mam jakiś rodzaj borderlinie. Gdy mam wyrównany poziom emocji, to tak jakbym nic nie czuł. Spokój to jest nic, tam nic nie ma. I nieważne, jak głęboko wejść w dorosłość, w stabilizację, to coś czasem śwędzi, pojawia się jakiś lęk przed nieprzeżyciem wszystkiego. Trochę się z tego śmieję, ale boję się, że znów nie będę umiał tego zauważyć, że już się zaczęło, właśnie nadeszło. Ty potrafiysz?

No co ty. Oglądałeś „Breaking Bad”?

No pewnie.

Pamiętasz scenę, w której ten młody Jesse, w pewnym momencie robi obrzydliwy balet w swoim domu, zupełną sodomę, wchodzi w to wszystko, a potem siada na kanapie, zapala papierosa i dopiero zaczyna głęboko oddychać?

Tak, tylko on musiał poradzić sobie z dosyć ciężkimi zarzutami wobec samego siebie... Ale jednocześnie operujemy w zupełnie innym kalibrze zdarzeń, to może być pewna metafora (śmiech).

Wszystko krąży wokół poczucia winy.

Jasne. Najbliżsi zawsze dostają najbardziej, bo stoją najbliżej.

„Muzyka Nowoczesna” – program, który na początku kwietnia wystartował w RBL.TV. Prowadzą go Pezet oraz Rafał Grobel, DJ i promotor muzyki. „Muzyka Nowoczesna” promuje ambitną muzykę elektroniczną oraz nowoczesną, wszechstronnie rozumianą muzykę miejską. **Więcej na www.rbl.tv**

Kiedy gadaliśmy niedawno, powiedziałeś mi, że nie masz o czym pisać, bo tak naprawdę nic się nie dzieje.

To łączy się u mnie jeszcze z czymś innym. Mam głębokie przekonanie, że to, co robię, nie ma żadnego związku z szeroko pojętym sztukiem. Artysta to ktoś, kto jednak potrafi coś wykreować.

No ty chyba coś potrafisz.

Potrafie, ale muszę mieć taki bacik w postaci tego, że coś się rozpadła, coś się dzieje.

Wtedy się dobrze pisze. Chowasz się w tym.

Zawsze się w tym chowam, ale czy nie jest tak, że artysta potrafi napisać na przykład, że jest szczęśliwy? W ogóle moją aktualną, wspomnianą przez ciebie kryzys wynika też z tego, że robimy ten rap i jest fajnie, ale myślę sobie: co ja potrafię w ogóle robić? Nie gram na żadnym instrumencie. Nie mam wykształcenia muzycznego. Umieję pisać teksty, ale one są wygenerowane przez to moje pojebaństwo, które sam sobie przynoszę w prezencie. I jak zaczyna się dziać niefajnie, to siadam i zaczynam to opisywać. Wiesz, że rzeczy są ciekawsze. Thrillery są ciekawsze.

A widziałeś jakiś tekst kultury o tym, że wszystko jest dobrze albo będzie? Poza ulotką świadków Jehowy?

Niepoprawny optymista jest trochę człowiekiem upośledzonym. Nie chodzi o to, żeby było cały czas świetnie, ale o to, że w momencie, w którym zaczynasz jakąś dorosłość, odpowiedzialność, to wchodziś na stały poziom emocji. I też o tym napisz. Nie potrafie, naprawdę. Wiem, że gdzieś tam są ludzie, którzy dobrze sterują własnym życiem, mają nad nim pełną kontrolę, ale może oni po prostu mają inne zawody, co? Czasami myślę, że wspaniale byłoby mieć jakiś nieinwazyjny dla psychiki zawód.

Czy ty wiesz, ile razy dziennie zazdrościsz facetowi, który ma żonę, trójkę dzieci i warsztat samochodowy?

Czasami mijam ludzi na ulicy, wyobrażam sobie ich proste życiorysy i to jest wtedy taki spalający rodzaj zazdrości.

Zamienilibyś się z nimi i na życie, i na łeb.

Przede wszystkim na łeb, bo ich życie z moim łebem to byłby poważny koszmar (śmiech).

Masz namacalne problemy. Pieniądze, choroby, dzieci – to są twoje problemy. Nie wymyślasz sobie problemów wirtualnych.

No właśnie, bo cała ta niedorosłość jest babraniem się w abstrakcjach. Wcale nie traktuję tego jak czegoś lepszego niż ten warsztat samochodowy, stąd ta zazdrość. Wiesz, ale my też to robimy, bo mamy takie, a nie inne ego. Teraz nasuwa mi się myśl trochę z innej beczki – wielu polskich raperów wciąż deklaruje, że nie robią tego dla posłuchu, sławy, pieniędzy, ale przede wszystkim dla pompowania samego siebie... To bzdura. Każdy, kogo cechuje pewna ekspresja, kto musi coś z siebie wylać, wygadać, wypisać, nie robi tego przecież dla siebie. Stary, przecież wszyscy robiliśmy już za dzieciaka wywiady sami ze sobą w głowach. Słowa o czystym przekazie i robieniu nie dla sławy to dziecinada, którą może uprawiać najmłodsza część mojej publiczności, ale jeśli dorośli kolesie o tym pieprzą, to zwyczajnie kłamią.

Jeszcze trzy lata i zmarszczki już nie będą się zgadzać z czapką z daszkiem w kolorze seledynowym.

No właśnie. Metrykalnie już Chrystus ci stuknął, a dalej robisz w branży mocno młodzieżowej. Czy ten twój słuchacz w ogóle jeszcze cię rozumie?

Faktycznie złapałem trochę tej młodej publiczności. Cieszę się, fajnie, że zmiana pokoleniowa mnie nie przekreśliła, ale też trochę tego nie kumam. Moje teksty opowiadają o moim życiu, o tym, co działo się w nim z takich, a nie innych powodów. To wbrew pozorom nie są tylko teksty o imprezkach. Strasznie chciałbym też uniknąć odpowiedzialności za tych ludzi, bo odpowiedzialny za młodego słuchacza jest jego rodzi-

c, a nie ja. Wiem, że nie powinienem być dla dzieciaków autorytetem. Mam na myśli to, że oni mogliby moje teksty odebrać dosłownie i powierzchownie. Mam te 33 lata i wciąż czuję w sobie zbuntowaną, gówniarską energię, ale cały czas mam wrażenie, że moje teksty dotyczą bardziej moich rówieśników niż tych młodziaków.

Twoi rówieśnicy są w dzieciach i kredytach i słuchają twoich płyt jako przyjemnej fantazji.

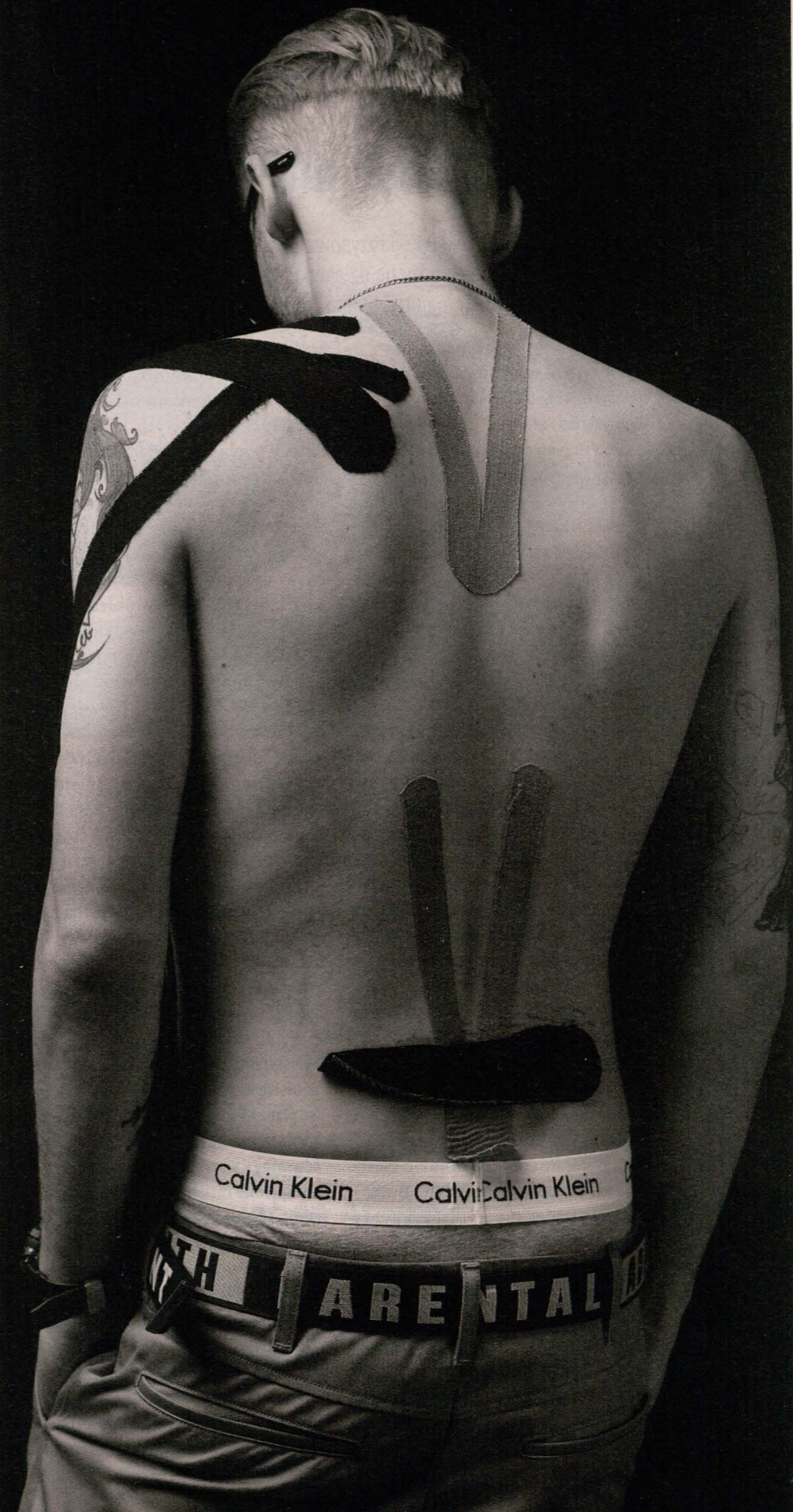
Wszyscy jesteśmy trochę w dzieciach i kredytach, bo metryka nie kłamie, ale może masz rację, bo wykonuję jednak inny zawód niż większość moich rówieśników. Ale obawiam się, że młodziaki mogą moje teksty odbierać opacznie. Mam na przykład taki kawałek „Lubię” z „Muzyki rozrywkowej”, w którym jest o tym, że lubię chlać, ćpać, dymać. Sęk w tym, że to zapis jednego wielkiego zgorzknienia. Fakt, to rzeczy bardzo pociągające, ale pisałem o nich z pełną świadomością, że rozwalam sobie życie. I co z tego zgorzknienia zrozumie 15-latek?

W wielu twoich kawalkach, zwłaszcza starszych, wyrzucasz sobie, że jesteś raperem. Jakby to było w twoim mniemaniu niepoważne zajęcie.

Mam to do dzisiaj. Od początku – pomimo całej fajności tego, co robiliśmy – mam wrażenie sztuczności. Tego, że obecność hip-hopu w Polsce jest nie do końca naturalna. To czasami aż bije i boli, wiesz, to się da zrobić po polsku, i fajnie, ale sama kultura jest sztucznie zaszczepiona. To o wiele bardziej razi niż w muzyce rockowej. A też może kultura hip-hopowa w Polsce już przestała być śmieszna, tylko ja zaczynam pozwolić być śmieszny? Z czapką z daszkiem do tyłu? Jeszcze trzy lata i zmarszczki już nie będą się zgadzać z czapką z daszkiem w kolorze seledynowym.

Będziesz raperem za 10 lat?

W wieku 20 lat byłem przekonany, że po trzydziestce już nim nie będę. Ale teraz mi się chce. Mamy superkię, fajny zespół, wreszcie jest naprawdę tak,



jak trzeba. Jednak mam dość poważne problemy ze zdrowiem, więc może to nie ja zadecyduję o tym, kiedy skończyć. Nie wiem, czy będę chciał być raperem za dziesięć lat, ale myślę, że w wieku czterdziestu paru lat my już nie będziemy raperami – my, czyli raperzy z Polski, mniej lub bardziej w moim wieku. Mamy ten luksus, że myśmy w tym kraju

Gdy mam wyrównany poziom emocji, to tak jakbym nic nie czuł.

to stworzyli. To nam otwiera różne drogi. Chyba po raz pierwszy w życiu nie boję się panicznie o to, co będę robił. Będę mógł być kimkolwiek.

A co z twoim zdrowiem?

Mam poważny problem z kręgosłupem. Jestem od czterech lat zakwalifikowany do operacji, ale się boję. Istnieje duże ryzyko pooperacyjnej niepełnosprawności, różnych powikłań, które nie muszą, ale mogą się wydarzyć. To siedzenie na bombie. Niby jestem teraz na wysokiej fali, ale mam tę lampkę z tyłu głowy.

Odpukać. Będzie dobrze. Jesteś szczęśliwy?

Chyba tak, chyba nie, raczej nie. Umieję sobie wyobrazić szczęście, ale nie zdefiniować. Na pewno szczęście to nie jest tylko spokój, nie w moim przypadku. Mówiłem ci już, że muszę mieć jakiś pazur. Chyba nawet nie wiem, gdzie miałbym szukać tego szczęścia, czym je zmierzyć. Wiesz, jest dużo łatwiej, jeśli zaczepisz się o religię, o jakiś porządek. Byłoby mniej lęków o życie, o szczęście właśnie, o śmierć.

Im większe ego, tym większy lęk przed śmiercią. Kiedy tak z tobą gadam, mam wrażenie, że moglibyśmy się też podpisać pod tym zdaniem Bukowskiego o byciu dla siebie najlepszym towarzyszem.

(śmiech) Bukowski był w ogóle, kurwa, bardzo mądrym facetem.



JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

TEATR

Gorzej już być nie może!

Grzegorz Jarzyna opowiada o kryzysowej sytuacji TR Warszawa oraz o tym, że brak pieniędzy na działalność artystyczną sprawia, że środki przeznaczone na utrzymanie budynku i zespołu idą w błoto.

Skąd pomysł na to, by działalność TR Warszawa współfinansowało Ministerstwo Kultury?

Ponieważ jesteśmy teatrem, który promuje polską kulturę. Niedawno byliśmy w Australii z „Nosferatu” na Adelaide Festival, później na Rainbow w Petersburgu. Wybieramy się do Nowego Jorku na New Wave Festival, dostaliśmy zaproszenie do Hongkongu. Po Edynburgu wyliczyliśmy, ile trzeba by było wydać z budżetu Skarbu Państwa, gdyby Polska chciała sobie zrobić w Anglii promocję taką, jaką my zrobiliśmy premierą „Makbeta”. Zsumowaliśmy koszt billboardów, powierzchni w gazetach, takich jak „Guardian”, czas antenowy w BBC, wyliczyliśmy, ile razy padło słowo Warszawa, i wyszło nam, że kosztowałoby to 200 tys. funtów.

Minister Bogdan Zdrojewski stwierdził, że współprowadzenie TR Warszawa przez Ministerstwo Kultury to ostateczność. Czy ma pan jakiś plan B?

Propozycja skierowana do ministerstwa jest planem B. Planem A jest finansowanie działalności artystycznej teatru przez miasto. Staram się nie pisać czarnych scenariuszy. Właściwie to plan C mamy teraz. Gorszą sytuację trudno jest mi sobie wyobrazić. Następuje dekapitalizacja teatru. Brakuje planów, umów, nie wypłaciliśmy wynagrodzeń pracownikom.

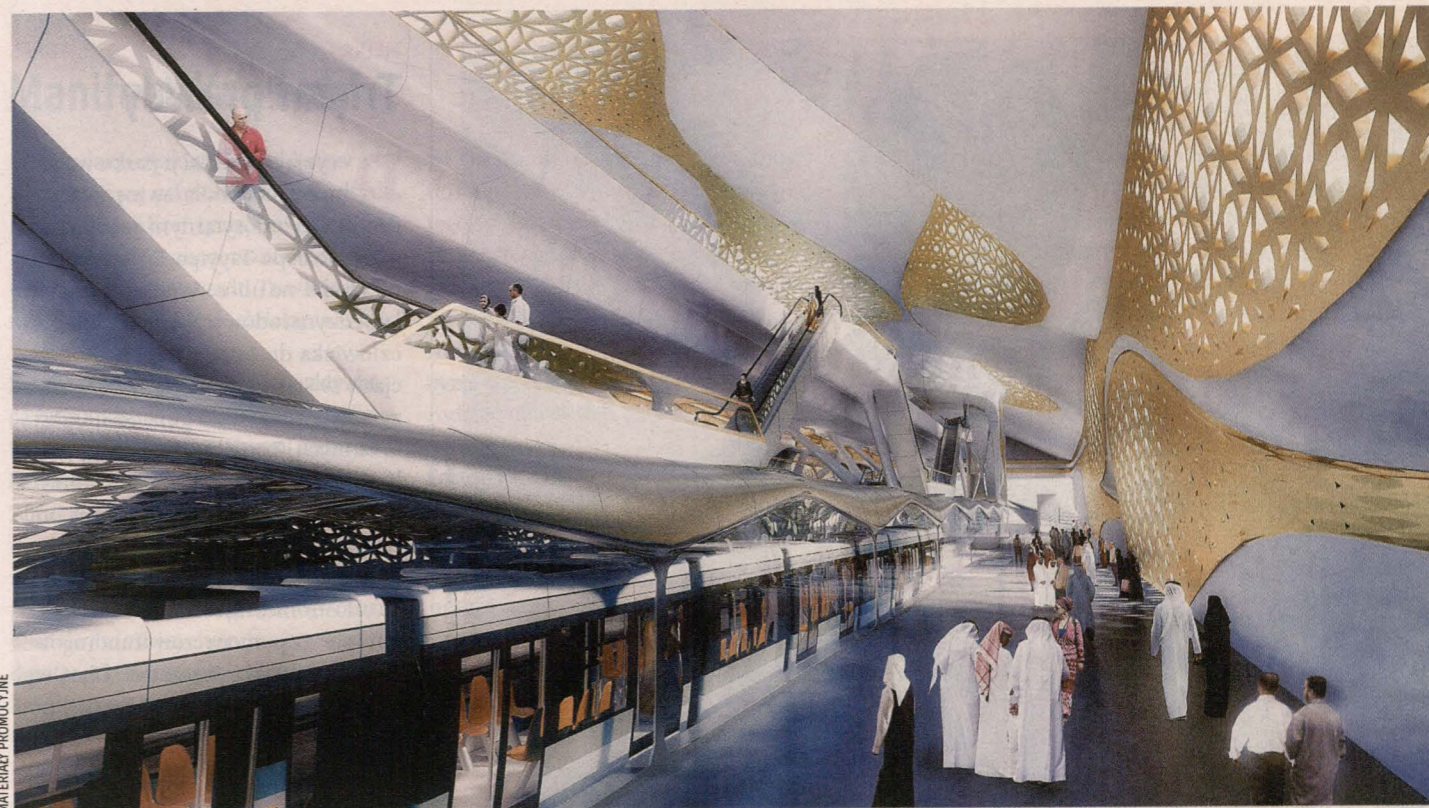
Nie podpisał pan nowego kontraktu proponowanego przez miasto, ponieważ jego warunki były pana zdaniem nie do przyjęcia. Co najbardziej przeszkadzało?

Po pierwsze, od stycznia tego roku obowiązuje nowa ustawa, zgodnie z którą powinienem podpisać kontrakt. Tyle że miasto nie przedstawiło mi kon-

traktu. Jest dokument z listą moich obowiązków, a nie ma nawet minimum gwarancji finansowych. Kontrakt byłby wtedy, gdyby był podpisany np. na trzy lata i zapewniał kwotę, którą mógłbym dysponować i się z niej później rozliczyć. Poszedłem z tym problemem do Bogdana Zdrojewskiego i ministerstwo dyskutuje teraz z miastem, jak to rozwiązać. Drugi problem jest taki, że miasto daje nam środki, z których 95 proc. idzie na koszty stałe – eksploatację budynku, media, wynagrodzenia pracowników. Zostaje 5 proc. na promocję, na produkcję i eksploatację spektakli, mamy tylko 160 miejsc na widowni, więc wpływ z biletów nie jest duży i na nowe produkcje. Miasto daje nam 7 mln złotych, w stosunku do 2010 r. budżet został ścięty o prawie o 2 mln. Samorząd stosuje zasadę, że wylicza minimum potrzebne na utrzymanie budynku. Nie mamy pieniędzy na działalność artystyczną, fundusze przeznaczone na opłacanie 60-osobowego zespołu idą w błoto.

Minister Bogdan Zdrojewski powiedział, że ofertę współprowadzenia TR Warszawa przez Ministerstwo Kultury odbiera jako komplement. Gdyż w latach 90. trend był odwrotny – wszystkie instytucje teatralne czy operowe chciały się znaleźć pod opieką miast, samorządów. Skąd ta zmiana?

Ponieważ ministerstwo nie miało wcześniej takiego budżetu, jak ma teraz. W dużym stopniu to zasługa ministra Bogdana Zdrojewskiego. Więcej też pieniędzy płynie do kasy z loterii państwowej. W czasach kryzysu ludzie częściej próbują szczęścia w totolotku. A z drugiej strony samorządy mają coraz więcej innych wydatków i często popadają w długi. → Rozmawiała Edyta Borkowska



MATERIAŁ PROMOCYJNY

ARCHITEKTURA

Orientalna stacja z piasku

Takiej stacji metra świat jeszcze nie widział. Zaha Hadid – urodzona w Bagdadzie architektka, która jako pierwsza kobieta zdobyła w 2004 r. Nagrodę Pritzкера, wygrała konkurs na projekt dworca kolejowego i metra w Rijadzie, stolicy Arabii Saudyjskiej. Stacja będzie położona na obrzeżach dzielnicy finansowej, ma pełnić funk-

cję głównego węzła przesiadkowego pomiędzy trzema liniami, łączyć metro z innymi środkami transportu i zajmować powierzchnię 20,5 tys. mkw. Projekt przypomina poruszane przez wiatr fale piasku na pustyni. Nawiązuje również do tradycji. Charakterystyczne orientalne maszrabije – ażurowe żaluzje osłaniające okna i pozwalające na dys-

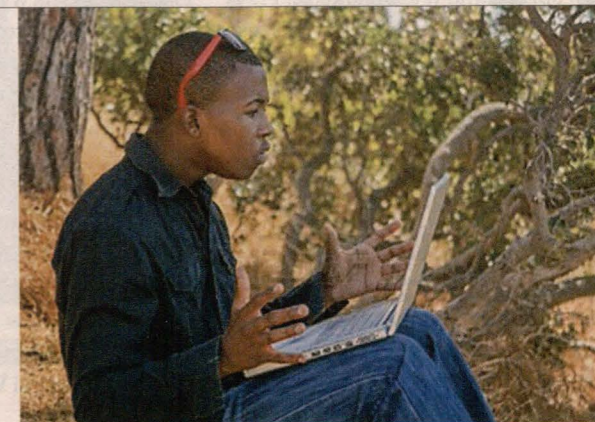
kretną obserwację otoczenia – kreuja klimat z „Baśni tysiąca i jednej nocy”. Płatnina dróg i blask światła wzmagają ten efekt. Czy luksusowa stacja zostanie uznana za najładniejszą na świecie, tak jak w 2008 r. A18 Plac Wilsona, okaże się w 2017 r. Na razie nad luksusowym projektem czuwa sam król Abdullah bin Abd Allah al-Aziz Al Saud. → eb

TECHNOLOGIE

Google rzuca sieć na Afrykę

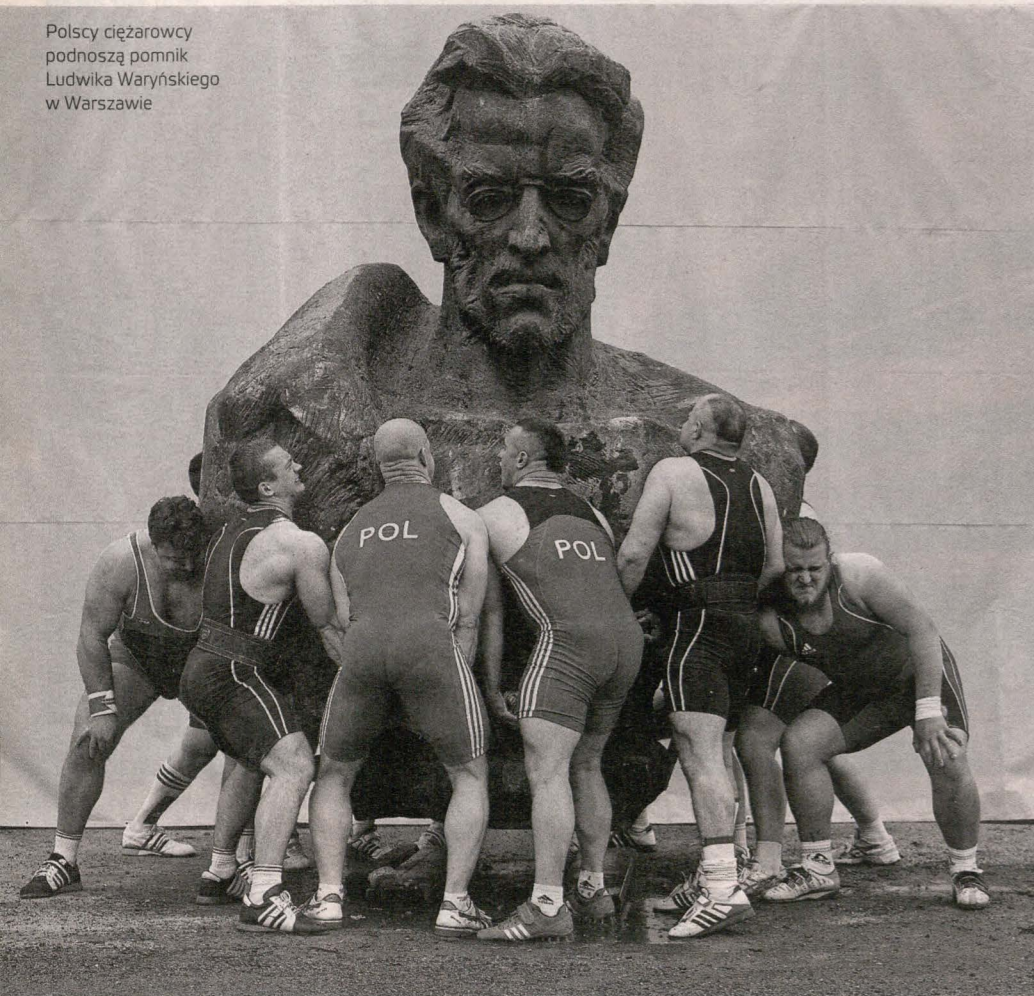
Internetowy gigant zamierza zbudować bezprzewodowe sieci komputerowe w Afryce Subsaharyjskiej oraz w najbardziej ubogich regionach Azji. Celem jest udostępnienie Internetu miliardom ludzi, którzy naturalnie staną się nowymi użytkownikami usług Google'a. Według „Wall Street Journal”, chodzi o uwolnienie części pasma za-

rezerwowanego dotąd dla transmisji telewizyjnych, co ma umożliwić budowanie sieci komputerowej o większym zasięgu w terenie słabo zurbanizowanym, a także w miastach (lepsza przenikalność przez ściany). Częścią instalacji mają być balony i sterowce przekazujące sygnały na wielkie odległości. Testowy program ruszył w RPA. → peka



MATERIAŁ PROMOCYJNY

Polscy ciężarowcy podnoszą pomnik Ludwika Waryńskiego w Warszawie



SZYMON ROGINSKI/DZIEKI UPRAWEJŚCI CENTRUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ ZAMEK UJAZDOWSKI, WARSZAWA

SZTUKA Sztuka wagi ciężkiej

Christian Jankowski jest prowokatorem – strzelał z łuku w supermarkecie, rozbierał licytatora na aukcji dzieł sztuki, prace współczesnych artystów sprzedawał w telemarkecie. Przypomniał, że sztuka, tak jak większość otaczających nas rzeczy, jest „made in China”, i zorganizował wystawę chińskim kopistom pracującym w Dafen. W tym mieście wytwarzanych jest 60 proc. znajdujących się na światowym rynku tanich kopii obrazów. W „Moim życiu pod postacią gołębia” (1996 r.) dał się przed zgromadzoną na wystawie publicznością zamienić w ptaka. Zorganizował też profesjonalny casting na aktora, który mógłby się wcielić w rolę Jezusa. Te i inne pomysły niemieckie-

go artysty utrwalone w instalacjach, na zdjęciach i w materiale wideo można oglądać do 25 sierpnia w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej. Flagową częścią wystawy jest zrealizowany w Polsce projekt „Historia wagi ciężkiej”. Na polecenie Christiana Jankowskiego 11 ciężarowców podnosiło polskie pomniki, wśród nich Ludwika Waryńskiego i „czterech śpiących”. Akty te niosą ze sobą klarowne przesłanie: biorąc sprawy w „swoje ręce”, możemy zmieniać historię. Po wystawie w CSW materiał prezentujący „uniesienie” postumentów zostanie pokazany m.in. w Bundeskunsthalle w Bonn oraz w Centrum Sztuki Współczesnej w Tel Awiwie. →eb

MEDIA

Triumf prawdy

Decyzja o likwidacji parku w Stambule uruchomiła lawinę protestów przeciwko autorytarnym rządowi premiera Recepta Tayyipa Erdogana. Turcy wyszli na ulice. Według tureckich i międzynarodowych organizacji praw człowieka do 4 czerwca w demonstracjach w Stambule, Ankarze i Izmirze zginęły dwie osoby, a ponad 2800 zostało rannych. Zupełnie inne liczby podały źródła oficjalne, ich zdaniem rannych zostało „ponad 330 osób, głównie policjantów”. Oburzeni fałszem władz protestujący postanowili zebrać pieniądze na całostronicową reklamę w „New York Timesie” za pomocą crowdfundingowego portalu www.indiegogo.com. Chcą wykrzyknąć światu prawdę. Jesteśmy pod wrażeniem i trzymamy kciuki! →eb

SZTUKA

Agencja klonowania

Możesz zostać drugim Jezusem Chrystusem, Napoleonem Bonaparte, Angelą Merkel lub Lady Gagą. Wszystko dzięki drinkom uaktywniającym niektóre geny. Pomysł jest dziełem artysty Jonathona Keatsa, który w berlińskiej galerii Team Titanic otwiera Agencję Klonowania Epigenetycznego. Koncepcja opiera się na spostrzeżeniu, że możliwe jest wybiórczo aktywowanie genów dzięki czynnikom środowiskowym, np. diecie. Artysta rozumie to tak: zamiast wymieniać cały garnitur genów, można wpłynąć na funkcjonowanie naszego DNA, aby „upodobniło się” do DNA innej osoby. A zatem, aby zostać kopią Jezusa, trzeba stosować dietę śródziemnomorską bogatą w kwasy tłuszczowe z mięsa ryb. Projekt nie jest oczywiście zamierzeniem naukowym, lecz czysto artystycznym. Ma sprowokować dyskusję o etycznych i filozoficznych problemach związanych z prawdziwym klonowaniem ludzi. →peka

ZDROWIE

Manifest Kapsydy

Fundacja Rak'n'Roll od 1 czerwca ma nową prezeskę. Dla Kapsydy Kobro to manifest życia, bo – jak mówi „Przekroju” – chorowanie w ukryciu nie może trwać wiecznie. To właśnie coming-out dał jej siłę do działania.

Dwa lata temu wycofała się pani z aktywnego życia z powodu przewlekłej białaczki limfatycznej. 1 czerwca została pani prezesem Fundacji Rak'n'Roll. Co się zmieniło?

Zmieniły mnie spotkania z innymi chorymi. Ich doświadczenia utwierdziły mnie w przekonaniu, że życie w ukryciu jest – dosłownie – stratą cennego czasu. O wiele radośniej choruje się wśród ludzi. Doszłam do tej konkluzji po pracy, którą sama ze sobą wykonałam – przez pierwsze pół roku choroby oswajałam ją, uczyłam się z nią żyć. Ludzie zdro-

wi często nie wiedzą, jak się odnosić do chorego. Doświadczyłam tego. Dlatego wołałam nie poruszać tego tematu, nie miałam na to siły. Jednak chorzy, których w ciągu ostatniego pół roku poznałam, uświadomili mi, że w ukryciu niektórzy żyją kilkanaście lat. Moja decyzja o prezesurze w R'n'R jest swojego rodzaju manifestem.

Coming-out ułatwia życie?

Tak, ale na pewnym etapie choroby. Trzeba do tego dojrzeć. Na początku chorzy na raka są w szoku. Nie każdy potrafi mówić o tym otwarcie. Swoje coming-out zrobiłam dwa lata po diagnozie i muszę stwierdzić, że nie spodziewałam się, że to aż tak zmieni, w pewnym sensie ułatwi mi życie, otworzy perspektywę na nowe działania.



Kapsyda Kobro, nowa prezeska Fundacji Rak'n'Roll

Czy ma już pani opracowany program działań? Czy będą to „szalone” akcje podobne do tych, które robiła Magda Prokopowicz?

W zarządzie pozostał Jacek Maciejewski, poprzedni prezes, który współpracował z Magdą Prokopowicz od samego początku. Wspólnie będziemy kontynuować plan, wzbogacony o nowe rozwiązania. Przed nami wiele wyzwań. Przygotowujemy projekt o roboczym tytule „Piękne, bo łysy”. Chciałabym wzmocnić współpracę z Ministerstwem Zdrowia, zachęcić do stworzenia funkcji rzecznika ds. współpracy z organizacjami pozarządowymi. Marzę też, żeby w szpitalach klinicznych pojawili się masowo psychoonkolodzy, a na razie zapraszam zainteresowanych do skorzystania z pomocy naszego fundacyjnego specjalisty. →Rozmawiała Edyta Borkowska

REKLAMA

NOVA MUSIC Entertainment we współpracy z DOLPHIN Touring i PRESTIGE MJM prezentują

BECAUSE WE CAN

BON JOVI

Support: IRA

19 CZERWCA 2013

PIERWSZY KONCERT W POLSCE! PGE ARENA GDAŃSK

Bilety: www.eventim.pl & www.imprezyprestige.com BONJOVI.COM #BECAUSEWECAN @Bonjovi

Nowy album „What About Now”
Premiera: 12 marca 2013



Czas na laury

Już szósty raz Ministerstwo Rozwoju Regionalnego wyróżniło najciekawsze projekty turystyczne, sportowe oraz rekreacyjne dofinansowane z pieniędzy europejskich. Nowe „cuda” funduszy unijnych wybrano w siedmiu kategoriach. Swoją nagrodę przyznali też internauci.

Obiekt turystyczny

W tej kategorii zwyciężył projekt „Dziedzictwo Chopina na szlaku Traktu Królewskiego w Zamku Ostrogskich w Warszawie”. Dotacja z programu „Infrastruktura i środowisko” pozwoliła na zastosowanie w zamku najnowocześniejszych technologii i zwiększenie przestrzeni wystawienniczej. Poszerzono też dotychczasowe zbiory i zagospodarowano niewykorzystane dotąd pomieszczenia.

Rewitalizacja

Nagrodę główną zdobył projekt „Utworzenie Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie”. Dzięki dotacji z Małopolskiego Regionalnego Programu Operacyjnego powstało jedno z największych w Polsce miejsc prezentujących najnowszą sztukę międzynarodową.

Zabytek

Zwyciężył projekt „Rewaloryzacja i remont renesansowego dworu obronnego w Szym-

barku” sfinansowany z Małopolskiego Regionalnego Programu Operacyjnego. Oprócz generalnego remontu przeprowadzono prace konserwatorskie i zagospodarowano przyległy teren.

Produkt promocyjny

Główna nagroda powędrowała do województwa podkarpackiego za „Centrum Dziedzictwa Szklania w Krośnie”. Dzięki pieniądzom z programu „Innowacyjna gospodarka” powstało miejsce, w którym można m.in. obserwować proces produkcji szkła.

Turystyka aktywna

Zwycięzcą został Uniejów z projektem rozbudowy kompleksu termalno-basenowego oraz odrestaurowania Zamku Arcybiskupów Gnieźnieńskich z XIV w. Przedsięwzięcie „Termy Uniejów – regionalny markowy produkt turystyki uzdrowiskowej” wsparto finansowo z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Łódzkiego.

Turystyka transgraniczna i międzynarodowa

„Czesko-polski singltrek pod Smrkem w Górach Izerskich” to nazwa projektu, który zdobył nagrodę w kategorii turystyka transgraniczna i międzynarodowa. Przedsięwzięcie to wspólne dzieło Lasów Państwowych – Nadleśnictwa Świeradów i partnerów z Czech. Współpraca ta zaowocowała prawie 41 km terenowych ścieżek rowerowych, tzw. singltreków.

Miejsce przyjazne dzieciom

Nagrodzono park orientacji przestrzennej dla dzieci niewidomych i niedowidzących, który powstał dzięki dotacji z Wielkopolskiego Regionalnego Programu Operacyjnego. W ramach projektu „Stworzenie otwartej strefy rekreacji dziecięcej na potrzeby uczniów OSW dla Dzieci Niewidomych w Owińskach oraz mieszkańców powiatu poznańskiego” odtworzono klimat ogrodu barokowego oraz wyposażono go w urządzenia dydaktyczno-zabawowe służące rehabilitacji.

Nagroda internautów

Internauci wyróżnili projekt „Zwiększenie atrakcyjności turystycznej regionu poprzez modernizację i unowocześnienie jedyne w województwie lubelskim ogrodu zoologicznego w Zamościu”. Przebudowano m.in. pawilon wielkich i średnich drapieżników, małp, ptaków egzotycznych oraz wybieg dla niedźwiedzi. Dotacja pochodziła z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Lubelskiego.

→ Artur Osiecki

Mariusz Ziomecki

Kto ignoruje, ten żałuje



FRANIEK MAZUR

Poprzednio pisałem w tym miejscu o wydatkach na zbrojenia, bo ekipa Tuska dramatycznie zwiększa je akurat teraz, w kryzysie. Poszerzoną wersję felietonu wrzuciłem do mojego bloga w natemat.pl. Sądziłem naiwnie, że temat poruszy towarzystwo – może nawet zaczniesz jakąś publiczną dyskusję.

Brak debat o kosztach obronności zdumiewał mnie w Polsce od dawna. Teraz jestem już zdumiony mniej. Komentarze społeczności blogerskiej pod moim postem były liczne, kąśliwe i oświeciły mnie błyskawicznie. Obywatele polscy, nawet ci młodzi i wykształceni, o wydatkach na wojsko dyskutują NIE CHCĄ. Wielu wręcz irytują tacy, co próbują. Jeden koleś zarzucił mi wręcz, że piszę „głupoty” – choć informacje o wzroście wydatków pochodzą z oficjalnych źródeł, a rząd nie zaprzecza, że wojsku daje, gdy innym zabiera. Blogerzy niechęć do poruszania tematu uzasadniali różnie: nie czują się fachowcami; obawiają się otworzyć „pole dla demagogów”; wróg nie śpi. Internauci deklarowali też wiarę – to prawdziwy szok! – że rząd i mundurowi wiedzą „najlepiej”, czego trzeba armii, kwoty zaś, którymi Ziomecki tak się jara, to „niewielki ułamek realnych potrzeb” (skąd czerpał taką wiedzę, autor komentarza nie ujawnił).

Mamy więc dość niezwykłą sytuację. Z jednej strony socjologowie do znudzenia opisują Polaków jako nieufnych wręcz chorobliwie, a społeczeństwo jako niechętne wszelkiej władzy, bo historycznie doświadczyło wszystkich możliwych nadużyć z jej strony. Dodajmy też koniecznie, że polskie społeczeństwo nie ma złudzeń co do uczciwości i kompetencji swoich dzisiejszych elit. Z drugiej strony – w kilku absolutnie kluczowych, strategicznych dla wolności i bezpieczeństwa obszarach to społeczeństwo wybiera dziecięcą ufnosć.

Teraz, kiedy teoretycznie możemy ministrom, premierom i prezydentom patrzeć na ręce, cofamy się przed tym. Może nie zawsze, ale w wielu wypadkach DOKONUJEMY WYBORU, by nie interesować się tym, co władza robi z naszymi pieniędzmi. Nie chcemy wiedzieć, co planuje. Zamiast zadawać dociekliwe pytania i bić na alarm, gdy rząd bez widocznej przyczyny, w najgorszym

Teraz, kiedy możemy władzy patrzeć na ręce, cofamy się przed tym. W wielu wypadkach DOKONUJEMY WYBORU, by nie interesować się tym, co władza robi z naszymi pieniędzmi.

możliwym momencie drastycznie zwiększa wydatki na zabawki dla wojska – optyjemy za tym, żeby dać władzy ogromny kredyt zaufania. To zła wiadomość, bo gwarantuje, że przepalimy górę kasy na zbędny i wadliwy sprzęt. Jeszcze gorsza wiadomość jest taka, że obywatele, którzy nie kontrolują działań wybranej przez siebie elity (obojętnie: z lenistwa czy naiwności), na dłuższą metę płacą za to cenę najwyższą.

Niekontrolowana władza szybko się demoralizuje. Podnosi podatki nad miarę i każe płacić jak za zboże za mierne usługi publiczne, jak służba zdrowia, oświata czy bezpieczeństwo. Toleruje – wręcz tworzy – monopole, które łupią obywateli (zgadnijcie, w którym kraju unijnym najwięcej dziś się buli za gaz, elektryczność, ubezpieczenia, leki, usługi telekomunikacyjne?). Taka władza jest szczodra dla wybranych, użytecznych dla siebie grup; im funduje np. przywileje emerytalne. Pozbawieni nadzoru ludzie władzy budują własny dobrobyt, a instytucje zmieniają się w udzielne księstwa. Mnożą się też służby siłowe, jawne i specjalne, tajne, niejasnego przeznaczenia – nieodmiennie nadużywające uprawnień. I kosztowne.

Z czasem w takim kraju pojawiają się symptomy problemów rozwojowych. Spada tempo wzrostu gospodarczego, bo zwykły, nieukładowy biznes wbijają w ziemię fiskus i wszechwładna biurokracja. Rosną napięcia polityczne, bo pogłębiają się i utrwalają podziały społeczne. Nieliczni bogacą się bajecznie, reszta cofa się albo, w najlepszym razie, drepcze w miejscu. I może się zdarzyć, że gdy obywatele wreszcie się obudzą i zechcą zrobić z tym wszystkim porządek, to odkryją, że już nie mogą tak łatwo kontrolować rządzących. Bo ci, choć administrowali słabo, potrafili znakomicie ufortyfikować się w twierdzy władzy. Demokracja zmienia się w wydmuszkę, a armia, która wszystko zawdzięcza rządzącym, rzadko wygrywa wojny w obronie obywateli.

Wiem, uznacie, że przesadzam i kraczę na wyrost. Może. Jednak wciąż nie daje mi spokoju pewna myśl Thomasa Jeffersona: „Jeśli jakiś naród spodziewa się, że może być ciemny i wolny, pragnie tego, czego nigdy dotąd nie było i nigdy nie będzie”.

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o cywilizacji.



Cykl informacyjny realizowany w ramach konkursu dotacji organizowanego przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej w ramach Programu Operacyjnego Pomoc Techniczna.

Sięgnij po informacje o Funduszach Europejskich na stronach: www.funduszeuropejskie.gov.pl

Napisz, zadzwoń lub odwiedź najbliższy Punkt Informacyjny Funduszy Europejskich: www.funduszeuropejskie.gov.pl/punkty

To nie jest świat dla gniazdowników

Rzeczywistość, którą odziedziczyliśmy po rodzicach, to nie raj. Ale może zaspokoić nasze marzenia, **im szybciej „należy mi się” zamienimy na „chce mi się”** – piszą do młodych analityczki Instytutu Obywatelskiego. A młodzi, poproszeni o odpowiedź, odszczekują się. Raz wesoło, raz smutno, raz całkiem chytrze.

ALEKSANDRA KANIEWSKA, MARZENA HAPONIUK

Ani grosza więcej. Od jutra!” – tymi słowami rodzice dwudziestokilkuletniej Hannah, bohaterki amerykańskiego serialu „Girls”, kończą decydującą kolację. Od kiedy Hannah skończyła studia, minęły dwa lata. W tym czasie to oni ją utrzymywali: opłacali wynajem mieszkania i rachunki, dawali dorosłej córce kieszonkowe. A córka odbywała kolejny „perspektywiczny” staż i marzyła, że zostanie sławną pisarką. „Chcę być głosem pokolenia” – wykrzykuje Hannah w desperackiej próbie zmuszenia starych, żeby dalej dawali jej kasę. Oni jednak kategorycznie odcinają latorośl od stałego, bezpiecznego strumyka pieniędzy.

Scenariusz serialu „Girls” napisała 27-letnia dziś Lena Dunham, opierając się na osobistym doświadczeniu wejścia w dorosłość. I faktycznie, stała się głosem amerykańskiego pokolenia Y, dla którego tasiemcowe staże, słabo płatne prace dorywcze i życie na koszt rodziców lub dziadków są normą. Sama przy okazji zdobyła fortunę, sławę i 10 prestiżowych nagród przemysłu filmowego.

Bumerangi i helikoptery

Gdyby rodzice scenarzystki w porę nie zakręcili finansowego kurka, pewnie nigdy nie odniosłaby sukcesu. Zasiłaby rzesze młodych bezrobotnych z dyplomami z creative writing czy literaturoznawstwa. W USA już 13 proc. millenialsów, czyli

dzi urodzonych między 1980 a 2000 rokiem, po ukończeniu szkoły nie znajduje dochodowego zajęcia. Nazywani są pokoleniem bumerangów, bo prawie połowa cyklicznie wraca na utrzymanie rodziców. To najwięcej od lat 70. XX w.

Globalne statystki potwierdzają ten przygnębiający obraz. Na świecie bez pracy pozostają 74 mln młodych osób, w 27 państwach Unii Europejskiej to blisko sześciomilionowa rzesza (5, 7 mln wg kwietniowych danych Eurostatu). Lepiej nie będzie. Bezrobocie wśród Europejczyków między 15. a 29. rokiem życia ma rosnąć: w tym roku do 12,6 proc., w ciągu pięciu lat o kolejne 0,2 proc.

Czy to stracone pokolenie czy pokolenie straconych szans? Eksperti coraz częściej pozwalają sobie na tezę – sformułowaną z dużą dozą delikatności, bo temat jest wrażliwy społecznie – że problem ma dwie główne przyczyny.

Pierwsza jest oczywista. To spowolnienie gospodarek, odejście od produkcji do usług, malejący popyt na pracę spowodowany rozwojem technologicznym, a także globalizacja rynku pracy, która zwiększa rywalizację na rynku pracowników. Po drugie, wykształcenie młodzieży i potrzeby pracodawców coraz częściej się rozmiągają. W niedawnej rozmowie z „Gazetą Wyborczą” José Manuel Salazar-Xirinachs, dyrektor Międzynarodowej Organizacji Pracy, stwierdził: „Pracodawcy, szkoły i młodzi żyją



wświatach równoległych. Jeśli nie zaczął współpracować, nie zmieni się nic”.

Roszczenia gniazdownika

Dodajmy jednak i trzeci czynnik: za trudny start millenialsów winić można pobłażliwych rodziców. Amerykańscy socjologowie przezwali ich helikopterami, bo fruują nad głowami swoich pociech tak długo, jak tylko mogą. Często do własnej późnej starości. – Mój syn ma 24 lata, pracuje na pół etatu, więc mieszka z nami – wyznaje na łamach „Huffington Post” Stefanie Hubert, ekspertka programów edukacyjnych z nowojorskiego Cornell Cooperative Extension. – Część rodziny uważa, że to pasożytowanie, ale my chętnie pomagamy, skoro sam nie może się utrzymać. To rola rodziny. Matka i ojciec są przecież od tego, żeby wspierać swoje dziecko.

Wspierać – brzmi ładnie. Tym bardziej że dzisiejsza młodzież to pierwsze pokolenie, któremu zapewne powodzić się będzie gorzej niż rodzicom. Ale pytanie brzmi: w czym wspierać? W zawodowej inercji? W życiu wewnątrz rodzinnego kokonu, w którym płacenie rachunków, zaopatrzenie lodówki czy pranie to zdarzenia magiczne, które dzieją się same? Przecież właśnie rodzina krzewi w dzieciach inercję i postawę roszczeniową. Najpierw wobec rodziców, a w efekcie wobec szkoły, Unii Europejskiej, państwa i świata. Na takiej zasadzie, że najpierw „należy mi się” wikt, opierunek, smartfon i samochód, a potem klucze do własnego mieszkania i praca z dobrym pakietem socjalnym.

Praca to życie

Kiedyś pracowało się po to, aby żyć. Dziś żyje się tak, żeby coraz mniej pracować. A przecież „praca to życie”, jak pisze socjolog prof. Richard Sennett w bestsellerowej książce „Etyka dobrej pracy”. W rozmowie z Instytutem Obywatelskim w maju ubiegłego roku ten amerykański krytyk kapitalizmu podkreślał wartość zaangażowania człowieka we własną karierę. – Jeśli masz jakąś specjalizację, swoją działkę, którą umiesz dobrze obrobić, zawsze znajdziesz satysfakcjonujące zajęcie – mówił. – Tymcza-

sem na rynku jest masa młodych ludzi, którzy nie mają żadnych umiejętności, tylko marzą o zarabianiu dużych pieniędzy. To był kiedyś przepis na konsultanta biznesowego. Ale tak nie można zdobyć dobrej i wartościowej pracy.

Wiedzą o tym Niemcy i Austriacy. W obu krajach bezrobocie młodych jest najniższe w Europie (odpowiednio 5,3 i 4,9 proc.). Wynika to m.in. z dualnego systemu kształcenia, polegającego na łączeniu nauki z pracą. Niemiecka i austriacka młodzież chodzi do szkoły i jednocześnie odbywa praktyki zawodowe w małych firmach i urzędach. – Koniec z marzeniami o białych kołnierzykach. Teraz czas na niebieskie kołnierzyki. Trzeba nam inżynierów, techników komputerowych, elektryków, spawaczy – tłumaczył w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” François Beharel z firmy doradztwa pracy Randstad.

Słowem, nie każdy musi kończyć uniwersytet. Ale pracować powinien każdy, kto jest do tego zdolny. Tymczasem młodzi Polacy opóźniają wejście na rynek pracy, jak tylko mogą, bo wymóg odbywania praktyk nakładany przez część uniwersytetów jest fikcją. Sprawę załatwiają zaświadczenia od rodziców i ich znajomych. W badaniu z 2009 r. GUS alarmował o niskim poziomie doświadczenia zawodowego młodych Polaków. Najczęściej startują z pustym CV, zawierającym głównie roszczenia.

Zróbmy sobie raj

Młodzi absolwenci chcą od razu dużo zarabiać. Pragną mieć etat – i elastyczny czas pracy. Tylko kto powiedział, że pierwsza praca ma być lekka, łatwa i przyjemna, a do tego dobrze płatna? Kto obiecał młodym, że do 30. roku życia będą posiadaczami własnego mieszkania? Kto wreszcie dał im gwarancję, że przez pierwsze pięć lat samodzielnego życia stać ich będzie na wszystko: wakacje dwa razy do roku, markowe ciuchy, własny samochód? Czy odrobina ciężkiej, cierpliwiej pracy za grosze, połączona z oszczędnym życiem, naprawdę jest moralnie odrażająca, jakby rodem z mrocznych powieści Dostojewskiego? Prof. Andrzej Blikle, ma-

tematyk i król cukierników, tak wspomina w natemat.pl swoje początki młodego naukowca: „W 1969 r. wygrałem konkurs na stypendium ufundowane przez włoski rząd. 300 dolarów miesięcznie pozwalało na życie w hotelu Albergo Moderno, gdzie w pokoju bez łazienki i śniadania płaciłem 1,50 dolara dziennie. Ani wcześniej, ani później nie mieszkalem w tak podłym miejscu. W akademickiej stołówce wydawałem 2 dolary dziennie. W sumie żyłem za jakieś 150–200 dolarów miesięcznie”.

Bo nawet największa fortuna musi się od czegoś zacząć. Tymczasem roszczeniowa postawa gniazdowników niweczy ich naturalne atuty: młodzieżową kreatywność i aktywność. Ostrzega przed tym Meg Jay, psycholożka badająca stosunek młodych Amerykanów do pracy. W książce „The Defining Decade” nawołuje do jak najwcześniejszej aktywności zawodowej, właśnie wtedy, kiedy mają po dwadzieścia kilka lat – bo to w tym najproduktywniejszym psychofizycznie okresie młody człowiek stworzony jest do uczenia się i eksploatacji wiedzy. Do budowania doświadczenia i tworzenia sieci kontaktów, które później przydadzą mu się w życiu. Tak, żeby za kilkanaście lat został pełnoprawnym uczestnikiem społeczeństwa obywatelskiego.

Od kilku tygodni dyskutujemy o 24-letniej Sandrze Borowieckiej, której list pełen żalów na sytuację młodych w Polsce wydrukowało kilka portali. Sandra jest butna, bezczelna, nieco naiwna. Ale nie jest roszczeniowa. Nie ma w niej inercji, którą przejawia część jej pokolenia. W liście pisze: „Nie wina to kraju ani okoliczności, ani żadnej z partii, ale wyłącznie młodych Polaków, którzy zgadzają się na to, by traktowano ich jak śmieci”. I obwieszcza, że wyjeżdża z Polski realizować marzenie o pracy w mediach, nawet jeśli pierwsze miesiące miałyby spędzić na zmywaku.

I pewnie tak będzie. Może Sandra wygra – a może niedługo wróci do kraju, bogatsza o doświadczenie, dobry angielski, z rozpoznawalnym w Internecie nazwiskiem. Ale jedno jest pewne: ona świadomie walczy o własny raj. ☹

AGNIESZKA KALINOWSKA

Składam samokrytykę. Na siebie i moje pokolenie, bez pomysłu, honoru i autorytetów

S tarsi oburzają się na młodzież. Tak było zawsze? Może podobnie, ale nie tak samo. Czemu we wkraczających dziś w dorosłość tyle pretensji do starszych? Ja mogę odpowiedzieć, że odkąd uzyskałam jakąś tam świadomość społeczno-polityczną, mam żal za niewykorzystaną szansę. Za niewyciśnięte 20 lat wolnej Polski.

Wy, rodzice, macie do nas pretensje o nasze pretensje. Ze sami nie wiemy, co studiuujemy, że to dla nas cel sam w sobie, a nie środek do celu. Racja. Zawód: syn, wieczny student z mieszkaniem i toyotą yaris od mamy to plaga naszych czasów. Ale kto do tego doprowadził? Ano wy, drodzy rodzice. Bo to wy od 20 lat oduczacie nas myślenia.

Ja miałam fart. Moi rodzice pomogli mi nauczyć się samodzielnie myśleć. Mam własne zdanie. Ale w szkołach wprowadzane są coraz płytsze programy nauczania, jeden sposób myślenia i interpretacji w kluczach maturalnych. Kolejne klony maturzystów o północy wyrecytują proces rozmnażania pantofelka, ale nie skleją trzech zdań o świe-



cie, w którym żyją. Tysiące absolwentów szkół wyższych nie wiedzą, co powiedzieć, jeśli nie przeczytają tego wcześniej w odpowiedniej gazecie. I do nas są pretensje, że się trzymamy mamej spódnicy?

Nie gardzę ludźmi, którzy wierzą, że studia dadzą im apartament na warszawskim Wilanowie i szczęście. Jest mi ich żal. Może czas obudzić się ze snu?

Wszyscy, świadomie czy nie, pozwalamy sobie na ignorancję. W każdym temacie. Mówią, że głupota jest błogosławieństwem, ale ja dziękuję za takie błogosławieństwo. I to jest zarzut, jaki stawiam mojemu pokoleniu. Nie goniemy za rozumem, nie mamy potrzeby samodzielności, nie szukamy autorytetów, a przecież sami kiedyś powinniśmy zostać dla kogoś autorytetem. Nie mieliśmy własnej wojny ani własnej rewolucji. Nie musieliśmy tak naprawdę opowiedzieć się po złej czy dobrej stronie, więc nie znamy pojęcia konsekwencji. Wszystko bierzemy a vista, jest, jak jest, będzie lepiej lub gorzej, lecz zawsze jakoś. I adorujemy tę byle-

jakość, tę przytłumioną codzienność, gdzie jedyną decyzją, jaką podejmujemy, jest wybór małej lub dużej kawy w Strabucksie. Z mlekiem czy bez, bez cukru czy z cukrem. Tak niweczmy swoje sumienia, w setkach nie nicznających decyzji, wiecznie czekając na piątek i święty spokój.

Ostatnio widziałam w Internecie zdjęcie graffiti z Piły. Napis brzmiał: „Mam 23 lata i nie wiem nic”.

Cytując klasyka, co to za pomysł, żeby o życiu decydować za młodu, kiedy jest się kretynem? Ano najlepszy z możliwych. Mam całe życie na weryfikację własnych wyborów, które na szczęście w moim przypadku nie ograniczają się do dietetycznej latte. A pretensje do całego świata gównem mi dadzą. W jednym z moich ulubionych filmów, „25. godzina” Spike’a Lee, jest scena, w której główny bohater wygłasza do lustra monolog o nienawiści do mieszkańców Nowego Jorku. A odbicie odpowiada mu: „Fuck you, Montgomery Brogan. You had it all, and you threw it away, you dumb fuck!”. ☹



ALEKSANDRA KANIEWSKA

jest analitykiem ds. polityki zagranicznej w Instytucie Obywatelskim, absolwentką Modern Japanese Studies na Uniwersytecie Oksfordzkim, publicystką.



MARZENA HAPONIUK

jest socjologiem, ekonomistą, analitykiem ds. rynku pracy i polityki społecznej w Instytucie Obywatelskim.

Zacznę od tego, że jestem licealistką pospolitą. Żadnym geniuszem, tylko typowym młodzieżowym indywiduum. Studia i wybór pracy są jeszcze przede mną. Ale już niedługo. W przyszłym roku matura i proszę wierzyć lub nie, ale dalej nie mam najmniejszego pojęcia, co chcę robić w życiu.

Może to wszystko dlatego, że jest zbyt dużo opcji. Może. Ale główny problem polega na tym, że moje szanowne liceum nigdy nie zaprezentowało mi w interesujący sposób tego oceanu możliwości. Nawet gorzej: nikt porządnie nie pokazał mi nawet jednej z nich. Jedyne spotkanie z uczniami, jakie w tej kwestii sobie przypominam, poprowadziła specjalistka od HR z popularnej sieci tanich supermarketów. I przez większość czasu przekonywała nas, że historie o pracownikach, które muszą godzinami tkwić za kasą w jednorazowych pieluchach, to medialne brednie z palca wyssane.

Owszem, są strony internetowe różnych uczelni. Ale nikt tam nie wyjaśnia, jak wygląda praca, którą proponuje się absolwentom później, po studiach.

Oczywiście z niektórymi zawodami siłą rzeczy się stykam. Widzę je na co dzień i na ich temat mogę się wypowiedzieć. No więc sprzedawcy muszą godzinami stać. Do budowy metra z moim metr pięćdziesiąt wzrostu i pięćdziesięcioma pięcioma kilogramami wagi raczej się nie nadaje, do brukowania chodników kostką Bauma chyba też, a policjantów nikt nie lubi. Spośród pracowej oferty, którą teoretycznie kusi nas świat, moi znajomi wybrali zaledwie garstkę zawodów. Biolchem to przyszli lekarze, matfiz to architekci, hispol – prawnicy. Z informatykami nie trzymam, no i znam jedną dziewczynę, która chciałaby zostać pilotem.

Oczywiście to wszystko mogą być towarzyskie kłamstewka. Przecież są na tym świecie ludzie, którzy mają ma-



ARCHIWUM PRYWATNE

ALEKSANDRA K.

Szkoła kochana, daj mi konkret!

zenia. Zapaleńcy, przyszli mistrzowie obranej drogi, niecofający się przed niczym nosiciele światła. Żaden się jeszcze przede mną nie zdradził, wszystko to okaże się po latach, ale ja na pewno nie jestem jednym z nich. Lubię przede wszystkim nic nie robić. Praca dla mnie to nie życie. I nikt mi nie wmówi, że zarabianie, posiadanie dwójki dzieci i kredytu na mieszkanie uczyni mnie pełnowartościowym obywatelem.

Chwilowo mam nadzieję zostać gniazdownikiem. Albo zamieszkać w lesie i jeść przejechane gołębce. I nie jest tak, że obraziłam się na świat, bo ten jeszcze nie zdążył mnie skrzywdzić.

Lubię się po prostu wylegiwać w łóżku, czytać książki i póki mam szansę na to, by nie podejmować żadnej decyzji, chętnie z niej skorzystam.

Mój ojciec stwierdził kiedyś (i co jakiś czas to powtarza), że właśnie dlatego, że w gruncie rzeczy nic mnie nie obchodzi, świetnie sobie w życiu poradzę. Że jestem bałaganiarą, więc jestem odporna na stres. Zawsze, gdy to mówi, śmieję się wdzięcznie i dziękuję za ciepłe słowa. Dobrze wiem, że moi zarobieni rodzice nie tylko mnie kochają, ale też naprawdę lubią. Generalnie mam z nimi szczęście. Przypuszczam, że kiedy w końcu wypchną mnie z domu, nie zarąbię ich w odwecie siekierą i kto wie, może wtedy wreszcie wezmę się w garść i podejmę tak zwaną życiową decyzję.

Ale mam jedno marzenie pro publico bono, niewinne i nawet dość słodkie. Niech w szkole pojawi się paru ludzi od platform wiertniczych, robienia konserw czy kierowania ruchem lotniczym, którzy szczerze lubią swoją pracę i potrafią mi o niej coś ciekawego powiedzieć. Coś konkretnego. Niech pokażą mi swoje miejsce pracy, zaprezentują współpracowników, pochwalą się efektem swoich działań. Patrz, Olu, to jest dywan, a maszynę, która brała czynny udział w procesie jego tworzenia, sam w zeszłym tygodniu naprawiłem. I patrz, Olu, to jest właśnie ta maszyna, nazywa się niedoprzedzarka i działa tak i tak.

Szczery, widoczny gołym okiem konkret zawsze, odkąd pamiętam, czarował mnie, pociągał i wzruszał. Kocham każdego mechanika, który wymienia sprzęgło lub koło. Roznamięnionym okiem chłonę postępującą budowę szos. Niestety, nie bawią mnie liczby. Najpewniej nigdy nie będę brać udziału w dziele stworzenia. Pływam w świecie, w którym brakuje szczerego doradcy i przykładu do naśladowania. I to jest główny problem w moim domowym gnieździe.

Mam 23 lata. Za miesiąc kończę studia i na myśl o tym ogarnia mnie bezsilna złość. Nie tylko mnie, cały mój rok. „Zepsute dzieciaki, które potrafią tylko żądać – piszecie – niedojrzałe bękarty reformy edukacji”. Ale ja wcale nie mam pustego CV i bizantyjskich wymagań. Po prostu telepie mną (nami) strach, że pomimo ukończenia dwóch kierunków studiów i znajomości dwóch języków obcych nie znajdziemy pracy.

Kiedy w 2008 r. przyjechałam z Łodzi do Warszawy, Wydział Dziennikarstwa na UW jawił mi się jako boskie foyer przed wejściem do redakcji. I wkuwałam mądrości o najróżniejszych systemach medialnych, a także filozofię, historię i ekonomię. Które, jak wiadomo, są nieodzowne w pracy dziennikarza. Później było trochę zajęć warsztatowych. Ale nie za wiele, bo zabrakło funduszy na tzw. nazwiska czy choćby solidnych praktyków. Więc, z lekka stropiona, czym prędzej zaczęłam stażować.

Najpierw był portal internetowy, który szybko upadł. Nigdy nie dostałam 150 zł za teksty, które tam opublikowałam. Na szczęście zaraz znalazł się kolejny portal, który polubił mnie do tego stopnia, że wkrótce zostałam naczelną z zarobkami 600 zł miesięcznie.

W międzyczasie dorabiałam jako asystentka szwedzkiego fotografa, który przygotowywał album o Polsce. Zresztą kapitalny. Był wymyślony dla zagranicznych czytelników, którzy nie mają o Polsce pojęcia, więc oprócz pięknych miejsc i ciekawych ludzi zawierał m.in. zdjęcia pralki Frani i kiszzonego ogórka. Ale że kryzys akurat zaczynał się rozkręcać, projekt zakończył się kłapą.

Zatrudniłam się więc w studiu fotograficznym (100 – 150 zł za asystowanie przy sesji) i zaczęłam drugi kierunek. Pracowałam w portalach i robiłam zdjęcia na zlecenie tzw. prestiżowego magazynu o sztuce (ok. 300 zł za sesję). To tylko drobny wycinek prac, ja-

kich się imałam. Za resztę (byłam m.in. scenarzystką i prowadzącą w audycji internetowej, która nigdy nie ujrzała światła dziennego) płacono uniwersalną walutą w mediach – czyli wpisem do CV i słowem „dziękuję”. To drugie

IWA PAWLAK

Ja nie uciekam przed pracą, tylko w panice ją gonię



ARCHIWUM PRYWATNE

nie zawsze. Ale pokornie wypełniałam te wszystkie obowiązki, bo liczyłam na to, że w końcu ktoś potraktuje moje starania poważnie i zaproponuje mi pracę.

Nic bardziej mylnego. Teraz hitem w mediach są trzymiesięczne bezpłatne staże w pełnym wymiarze godzin. Nie wspominając o popularnej telewizji informacyjnej, w której stażysta za swój pobyt musi słono zapłacić.

Odpowiedź: trzeba było iść na politechnikę. Czy na informatykę, to o pracę byłabyś spokojna. Albo najlepiej do technikum. Państwo zaoszczędziłoby na mojej edukacji wyższej, a w kraju brakuje spawaczy. Tylko co, jeżeli w niebieskim kombinezonie mi nie do twarzy? Lub mówiąc wprost, mam inne aspiracje i zdolności?

Tego w analizach się nie uwzględnia. Więc kiedy spotykam się ze znajomymi z roku, to nie rozmawiamy o przyszłości. Nikt nie chce o tym myśleć, lęk o jutro nie należy do tematów pożądanых w towarzystwie. Mamy gdzieś z tyłu głowy to, co mówią nam starzy dziennikarze i fotografowie: że kiedyś w tym zawodzie było łatwiej. I że kto wie, czy film „Zawód: Reporter” nie stanie się niedługo zapisem wymarłego zawodu, jak jakiś „Park jurański”.

Ja w każdym razie jeszcze próbuję. Łapię fuchy, kontakty, zaczynam nowe staże, bo mam jeszcze płomyczek nadziei na normalną posadę. Szanowne panie ekspertki, to nie nasza wina, że perypetie na rynku zawodowym nie kończą się happy endem. Dlatego i mnie chodzi po głowie pomysł wyjazdu, bo nadzieja na dobrą pracę też ma swój termin ważności.

Chciałabym jeszcze dodać, że wielomiesięczne bezpłatne praktyki wcale nie są chytrym sposobem na uchylanie się od pracy. Są szansą na cień szansy na jej zdobycie.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA DROTKIEWICZ

Uduchowione miasto zbudowane na kwarcu

Kiedy myślimy o Berlinie, pod powiekami natychmiast pojawiają się pruska pikielhauba, szarobury mur i fryzjerski wąsik Hitlera. Dorota Danielewicz, autorka wydanej właśnie książki „Berlin. Przewodnik po duszy miasta”, przekonuje, że niemiecka metropolia już nie chce grzeszyć.

Pod murem berlińskim, przynajmniej po zachodniej stronie, było gdzie przystanąć. Miał 156 km długości.

„Wielkość miasta można poznać po jego okrucieństwie” – to zdanie przypominało mi się, kiedy czytałam twoją książkę „Berlin. Przewodnik po duszy miasta”. To coś zupełnie innego niż epepeje o wyniosłych aglomeracjach, opisujące upokorzenia imigrantów. Opuściłaś Polskę, gdy miałaś 16 lat, dzięki czemu przeplatasz historię miasta z osobistą historią. Twoje dojrzewanie łączy się z odrodzeniem Berlina, z zabliznianiem jego ran.

Przekraczając granicę w lipcu 1981 r., myślałam że przyjeżdżamy na wakacje. Rodzice nie uprzedzili mnie, że chcą emigrować. Nie wiedziałam, że zostanę tu na zawsze. Ich decyzja, żeby zamieszkać w Berlinie, wówczas podzielonym, zranionym, złamanym na pół, w jakimś sensie złamała także i mnie. Kochałam rodzinny Poznań, nie wyobrażałam sobie życia gdzie indziej. I nagle znalazłam się w Berlinie Zachodnim, o którym w Polsce nie wiedzieliśmy absolutnie nic. Szkolna historia ograniczała się do III Rzeszy. Nie wiedziałam, jak ta część miasta wygląda. Na mapach był tylko Berlin Wschodni, Zachodni to była biała plama.

Miałaś poczucie straty?

Wydawało mi się, że straciłam wszystko: marzenia, wyobrażenia o przyszłości, ukochane wielkopolskie lasy, pierwszą miłość. Zagubienie orientacji w zewnętrznym świecie spowodowało, że straciłam także wewnętrzną busolę. Czułam się rozbita, nie wiedziałam, jak żyć, czego pragnąć. Rozsypały się znajome kody społeczne, nie wiedziałam, co jest dobre, a co złe.

Powiedziałas o zrastaniu się miasta – i rzeczywiście: późniejszy o siedem lat upadek muru, zrośnięcie się Berlina w jedność także u mnie spowodowały proces wewnętrzny zdrowienia. Czasem leczą nas krajobrazy, czasem procesy historyczne. A Berlin zasnął bardzo szczególnego doświadczenia, symbolicznego zresztą dla całego świata. Także i we mnie coś się wówczas zrosło.

Właśnie tak odczytuję twoją książkę: jako baśń z dobrym zakończeniem, opartą na-

faktach. Dlatego wielka historia, polityka miesza się u ciebie z codziennością. To pod twoim domem, we francuskich delikatesach, twój sąsiad, były policjant, który wioził Willy'ego Brandta w nocy z 13 na 14 sierpnia 1961 r. na miejsce budowy muru, zajada tartę Tatin. Brandt, późniejszy kanclerz Niemiec, a ówczesny burmistrz Berlina, wypowiedział pamiętne słowa: „Berlin zostanie wolnym miastem”. Ty piszesz, że on „nie był poetą, tylko politykiem i nie zdawał sobie sprawy, ile dobrego mogą zdziałać słowa, dobitnie wypowiedziane we właściwym miejscu i czasie przez odpowiednią osobę. Zdanie to zabrzmiało jak wyśpiewana przez poetę kadencja, zdanie, od którego nikt w Berlinie i poza nim nie mógł się już uwolnić”. Twoja wiara w słowo, w zaklętą formułę też jest baśniowa. Opowiedz, jak wybierałaś historie do książki.

Chciałam opowiedzieć o Berlinie poprzez ludzi, których spotykam. Z którymi przeżyłam lata albo jakąś szczególną chwilę. Osobiste anegdoty przeplatałam faktami z historii, dzięki czemu tworzą się interesujące potrawy literackie: esej łączy się z gawędą, a reportaż z bajką.

Zapraszam czytelnika na spacer po parku z Franzem Kafką, na piwo nad jeziorem Wannsee z Czesławem Miłoszem. Można tutaj zatańczyć poloneza w salonie Radziwiłłów albo cza-czyć z Billym Wilderem w hotelu Esplanade. Opowiadam zarówno o znanych, jak i o nieznanych berlińczykach, którzy tworzą duszę Berlina. Bo nie tylko ludzie mają swoje dusze, miasta także. Też oddychają, nienawidzą i kochają.

Pragnęłam nadać tym historiom pogodny ton, więc dobór jest niemal automatyczny. Organiczny. Jakby moje ciało kazało mi opowiadać tę, a nie inną anegdotę. Dlatego nie piszę o sprawach tragicznych, które zdarzyły się w Berlinie i w moim życiu: o upadku, chorobach, rezygnacji.

Poszukiwanie harmonii, aspektu pozytywnego, bajkowego dotyczy także historii Niemców, którzy mieszkali w mojej okolicy, niedaleko placu św. Marka. Piszę m.in. o Ruth Andreas Friedrich, wspaniałej dziennikarce i antyfaszystce, która nie uciekła z hitle-



DOROTA DANIELEWICZ

(ur. 1964, Poznań) – od 1981 r. mieszka w Berlinie. Absolwentka slawistyki i etnologii na Freie Universität (Berlin) i Ludwik Maximilian Universität (Monachium). Jako dziennikarka i literaturoznawczyni współpracowała m.in. z Literarisches Colloquium, a także z polską redakcją rozgłośni radiowej SFB/RBB oraz z Radio France International. Autorka licznych publikacji na łamach prasy polskiej i niemieckiej („Berliner Zeitung”, „Märkische Allgemeine”, „Der Tagesspiegel”, „Kultura”). Wydała m.in. antologię poezji polskiej „Kochać to, co niewidzialne” (1997). 29 maja nakładem wydawnictwa W.A.B. ukazała się jej książka „Berlin. Przewodnik po duszy miasta”.

rowskich Niemiec. Mieszkała w dzielnicy Steglitz, kilka kroków od mojego domu. Napisała w pamiętnikach: „Jeżeli wszyscy [nastawieni antyfaszystowsko Niemcy] stąd wyjadą, nie będzie komu dać świadectwa”. I razem z mężem, pochodzącym z Rosji kompozytorem i dyrygentem Leo Borchardem, pomagała Żydom ukrywającym się w Berlinie. Organizowali kartki na jedzenie, pomoc lekarską. Leo Borchard marzył o tym, aby dyrygować Berlińskimi Filharmonikami – i to właśnie on poprowadził pierwszy koncert orkiestry po wojnie. Filharmonicy pod jego batutą zagrali zresztą w mojej dzielnicy Steglitz. W niegdyś sali koncertowej Titania Pałacu, dziś przerobionej na kino.

W podobny sposób przypominam kilkoro berlińczyków, którzy nie występują w książkach historycznych, ale uczynili wiele dobrego. Byli szlachetni, mądrzy i odważni.

Twoja książka ma w tytule słowo „przewodnik” i rzeczywiście zapraszasz do miejsc wartych zobaczenia. Piszesz o kolekcji Berggruenna, pokoju do medytacji przy Bramie Brandenburskiej, bunkrze Christiana Borosa. Nie ograniczasz się do szlaków wydeptywanych przez turystów.

Berlin to system połączonych ze sobą „wioszek”, zwanych kiezami. Każdy kiez ma własne małe centrum z knajpkami, sklepami, gabinetami lekarskimi. No i koniecznie z targiem. Mieszkańcy kiezów spotykają się nie tylko wtedy, gdy odbierają dzieci z przedszkola, ale też na lokalnych imprezach i festynach. To takie sąsiedzkie życie swoją miejską wioską, podobnie jak w Nowym Jorku.

Jestem lokalną patriotką, więc w każdym nowym miejscu zamieszkania zachowuję się jak detektyw: obwąchuję okolicę, penetruję zakątki, uliczki i kawiarnie. Wchodzę w podwórka, studiuje szyldy, informacje świadczące o pobytach sławnych osób i wizytówki firm...

...a czasem wkopujesz się głębiej, w glebę...

Owszem. Trzeba przeświecić duszę miasta. Studiowałam mapy i rozmawiałam z geomantami, którzy badają



DOROTA DANIELEWICZ

energię miejsc. Stąd wiem, że czakram serca Berlina znajduje się niedaleko kolumny zwycięstwa w Tiergarten, koło pałacu prezydenta – Bellevue.

A z glebą, na której mieszkamy, jest tak, że ona wpływa na charakter człowieka. Na przykład ludzie mieszkający na czarnoziemach (jak w Szwarzwaldzie albo w Wielkopolsce) są dobrze „uziemieni”, świetnie dają sobie radę w sprawach materialnych. Natomiast berlińczycy, mieszkający na piaskach, na kwarcu, są uduchowieni. Niekoniecznie realizują idee, które przychodzą im do głów. W języku niemieckim istnieje na coś takiego słowo „Luftikus”, oznaczające człowieka, który jest „myślami w powie-

trzu”. Może dlatego tylu przyjezdnych daje sobie radę w Berlinie, łącząc materialną stronę swoich osobowości z tutejszą wolnością w rozwijaniu idei?

Tu w zasadzie nie wytwarza się wspólnej materii. To miasto dobrych pomysłów, coś dla artysty, filmowca czy pisarza.

Piszesz o tym, jak odebrałaś z lotniska Imre Kertésza, z którym miałaś poprowadzić spotkanie autorskie. Noblista źle się czuł, więc zabralaś go do makrobiotycznej restauracji. Tak, bolał go brzuch. Namówiłam go na zjedzenie potrawy z soi, której normalnie w życiu by nie tknął. No i pomogło.

Po upadku muru w 1989 r. Berlin stał się mekką polskich handlarzy, co budziło w niej niejednym sercu tęsknotę, smutek i żal. Ale dziś też można się tu potargować, choćby dla zabawy: na jarmarkach z mydłem i powidłem (powyżej). Rany po rozdarciu miasta w 1961 r., któremu towarzyszyły demonstracje pod wodzą burmistrza Willy Brandta (po prawej), są wreszcie zabliźnione.



AFP IMAGE FORUM



Jak na tę książkę wpłynął twój warsztat dziennikarki radiowej?

Styl pisania dla radia jest skondensowany. Ważne jest każde słowo, bo liczy się każda sekunda. Przez lata byłam korespondentką RFI, więc musiałam się mieścić w minutowych wejściach, zwykle z dużymi tematami politycznymi. Więc nauczyłam się pisać lakonicznie, ot i wszystko.

Lubię styl Hanny Krall, z którą spędziłam wiele czasu, tłumacząc jej spotkania autorskie i jeżdżąc z nią po Niemczech. Inspiruje mnie Ryszard Kapuściński, którego miałam okazję tłumaczyć i poznać. Ich podejście do języka jest dla mnie ważne. Każde słowo powinno być na swoim miejscu, kontekst musi być przemyślany.

Takie pisanie długo trwa, ale w końcu co jest istotne w przekazie informacji? Uporządkowanie, kontekst, rytm i sens. W Internecie informacji jest tak wiele, że pracą staje się ich wybór.

Powiedziałaś „rytm”, a kompozycja twojej prozy jest muzyczna. Czego słuchałaś przy pisaniu?

Bacha. Koncerty brandenburskie, kwartety na wiolonczelę, koncerty organowe i fugi. Mam całą kolekcję w komputerze.

Życiowe fabuły też miewają muzyczne zapętlenia.

Tak było np. ze szkołą podstawową w dzielnicy Lichtenfelde West, gdzie podczas studiów pomagałam dzieciom z Polski w odrabianiu zadań domowych. Potem zamieszkałam w okolicy, urodziłam dzieci i z czasem okazało się, że to jest właśnie ich „rejonówka”.

Opisujesz zarówno miejsca wytworne, takie jak Paris Bar, jak i centra kultury alternatywnej. Np. komunę, w której mieszkałaś. Gdzie lepiej się czujesz?

Ja się wszędzie dobrze czuję. W poniedziałek mogę się ubrać jak hipiska, a we wtorek wyjść w białej bluzce od fryzjera, uczesana à la Grace Kelly. Rozmaitość odpowiada mojemu temperamentowi. Berlin też temu sprzyja, bo jest szalenie bogaty, jeżeli chodzi o środowiska, kultury, sposoby życia. Wszystko to nie

wyklucza się nawzajem, tylko pięknie ze sobą współgra. Tutaj równie łatwo odnajdujesz się w centrum ezoterycznym, tańcząc boso szamański taniec z zawiązanymi oczyma, jak i na wyraźnym koktajlu w hotelu Ritz Carlton.

A może kultura alternatywna osiągnęła w Berlinie tak wysoki status, że już wcale nie musi walczyć? Może spokojnie „zmieszczaniec”?

Coś w tym jest. Senat Berliński organizuje warsztaty dotyczące integracji cudzoziemców, w których czasami biorę udział. I rzeczywiście widać, jak wiele treści alternatywnych przeniknęło w ostatnich latach do polityki. Choćby do głów tych, którzy decydują o przyszłym wyglądzie miasta. Kilka miesięcy temu zaprezentowano wspaniały zestaw audioguide'ów na temat Berlina przyszłości. Za 30 lat. To były przeczudowne utopie, wiszące ogrody: wizja miasta, którego idea już żyje w berlińskich umysłach karmionych kwarcem. Projekt niby alternatywny, ale dofinansowany przez miasto.

Pojęcie elity w Berlinie jest złożone. Jest elita polityczna, dyplomatyczna, ekonomiczna, ale równie ważne są ciche elity duchowych guru. Takie kreatywne środowisko jest np. związane z teatrem Gali na Oranienburger Strasse, które łączy techniki sceniczne z badaniem rozwoju osobowości.

Piszesz: „berlińczykiem może być każdy (...), kto stara się o upadek jakiegoś muru, dzielącego na części coś, co powinno być całością”. Jednak z drugiej strony piszesz o odpowiedzialności.

Cóż zrobić? Mój syn Alexander powiedział raz obok pomnika Holocaustu: „Mamo, trudno być Niemcem”. Ale kiedy pisałam tę książkę, miałam pewne olśnienie. Otóż w tym czasie toczyła się debata o integracji cudzoziemców. Chodziło o to, że każdy cudzoziemiec powinien znać niemiecką kulturę wiodącą, Leitkultur. Było to całkiem zabawne, bo nie każdy rodowity Niemiec czyta Goethego czy Kleista i tę swoją historię zna. W każdym razie myślałam



Autorka książki „Berlin. Przewodnik po duszy miasta”, zaprasza nas w podróż po zakamarkach kulturalnej metropolii. Ale to nie znaczy, że turystyczne hity (u góry Reichstag, z prawej Brama Brandenburska) są niewarte zobaczenia: zwłaszcza w atmosferze zabawy, bez posepnych konotacji.



o przybyszach, którzy korzystają tutaj z łaski spokojnego, dostatniego życia, oraz o młodych Niemcach, którzy często mają już dość poczucia winy. Nie chcą być oprawcami Europy, nie chcą wiecznie płacić długu.

I naraz pomyślałam sobie, że jedynym wyjściem jest zaferowanie współodpowiedzialności (czy współuczestnictwa) w tej winie, w tym płaceniu. Jeżeli przybywam tutaj, nawet z kraju tak poszkodowanego jak Polska, i żyję,

to powinnam współnieść tę niemiecką odpowiedzialność. Może to kontrowersyjna myśl, ale silnie to odczułam. A więc współuczestnictwo w winie, współpłacz zamiast odgraniczania siebie od złych, morderczych Niemców. Połączenie się z nimi w smutku – bo tu już nie o winę chodzi, tylko właśnie o smutek. O to, żeby usiąść z Niemcem czy Niemką, objąć człowieka i powiedzieć: „Teraz będzie nam razem smutno, dobrze? Posmujemy się wspólnie!”



ANNA WITTENBERG

Cudowne jest życie wieśniaka

Olimpijskie motto „*Citius, Altius, Fortius*” (szybciej, wyżej, silniej) pasuje do sportu, ale na co dzień niekoniecznie się sprawdza. Ile jest historii o białych kołnierzykach funkcjonujących tylko dzięki terapii i lekom? Na szczęście są śmiałkowie, którzy zmienili motto na „*Wolniej, Słabiej, Niżej*” i cieszą się życiem.

Pławna Górna to malownicza wieś pomiędzy Lwówkiem Śląskim a Jelenią Górą. Do najbliższego miasteczka jedzie się 15 km, do Wrocławia – 130, do Warszawy – 490. Właśnie tyle pięć lat temu zdecydowała się pokonać Joanna Appelt, rodowita warszawianka. Dziś, zamiast przy stole w kawalerce na Kabatach, czerwcowy poranek zaczyna od śniadania w ogrodzie swojego XIX-wiecznego domu i przekonuje, że decyzja o

wyprowadzce na prowincję uzdrowiła jej życie. Trudno orzec, czy jest to już dziejowy trend, ale o podobnych odczuciach opowiadają także jej sąsiedzi. Jak zapewnia Joanna, z wielkich miast przenoszą się w okolice już nie tylko warszawiacy, poznaniacy czy wrocławianie, ale także Niemcy, Holendrzy, Belgowie. Nawet Australijczyk. Na polskiej prowincji jest im nie tylko zielono i spokojnie, ale też taniej. A to w kryzyse się liczy.

Po pierwsze: precz z kredytem

– W 2004 r. byłam na wycieczce na Dolnym Śląsku. Zauroczył mnie. Zakochałam się w pięknych poniemieckich domach. Nie od razu pomyślałam, żeby tam zamieszkać. Pomyśl przyszedł dwa lata później, kiedy odebrałam piękne, długo wyczekiwane mieszkanie na warszawskich Kabatach. Przez chwilę cieszyłam się kluczami, ale szybko zrozumiałam, że przez następnych 30 lat będę się zamartwiać spłatą kredytu. To

sta w poszukiwaniu lepszego życia. Dom Joanny nie był co prawda w najlepszym stanie, ale okoliczni mieszkańcy zapewniali, że wszyscy, którzy w nim mieszkali, byli szczęśliwi. Warszawianka wzięła to za dobrą monetę. Wśród szpargałów znalazła zresztą sporo pamiątek po poprzednich właścicielach. Po tym jak wyremontowała budynek, urządziła z nich niewielki kącik pamięci.

Z podobnych kredytowych pobudek w małopolskich Rusocicach wyładowała Ewelina Zambrzycka-Kościelnicka. Wcześniej, pracując w mediach, wraz z mężem mieszkała między innymi w Warszawie i Krakowie. W żadnym z tych miast nie zdecydowali się jednak zamieszkać na stałe. – Nie chcieliśmy pakować się w długi, by kupić duże, przyszłościowe mieszkanie – wspomina Ewelina i przekonuje, że za pieniądze, które starczyłyby w Krakowie na trzy pokoje bez miejsca parkingowego, udało się im kupić dom, w którym zmieści się i wielki pies, i kilka kotów, i wyczekany potomek, dla którego wieś będzie zresztą idealnym miejscem na dorastanie. Nie dość, że będzie mieć do dyspozycji ogród większy niż niejeden miejski plac zabaw, to jeszcze sama okolica Rusocic zachęca do krótszych i dłuższych wycieczek. W sąsiedztwie są między innymi dawne rozlewiska Wisły.

O wyprowadzce Jana Przasnka zdecydowali z kolei rodzice, kiedy on sam właśnie kończył studia. Jak przyznaje, dom w plenerze zawsze był ich marzeniem, a on – w końcu dorosły już facet – nie widział powodu, żeby protestować. Mimo że warszawski Służew, gdzie wcześniej mieszkał, do dziś pozostaje jego ukochaną częścią miasta. Litera „SŁZ” Janek ma wytatuowaną na żebrach.

– To było w okolicach 2007 r., kiedy ceny mieszkań w Warszawie zaczęły rosnąć w bardzo szybkim tempie – mówi i przedstawia podobną kalkulację jak wszyscy, którzy wyprowadzają się na prowincję. – Równowartość 54 metrów w mieście wystarczyła na budowę domu w Górkach, 70 km od Warszawy – mówi.

Wystarczy zresztą przejrzeć serwisy z ogłoszeniami, by sprawdzić, że ten przelicznik wciąż działa. Aby zostać są-

było uderzające spostrzeżenie – tłumaczy Joanna. – Więc pomieszkałam dwa lata i powiedziałam: dość.

Lokal na Kabatach poszedł pod młotek. Kredyt został spłacony, a Joanna spakowała rzeczy swoje oraz kilkuletniego syna i wyruszyła na Dolny Śląsk. Jak przyznaje, znalezienie domu na sprzedaż nie było trudne – coraz więcej starych, poniemieckich budowli pustoszeje po tym, jak ostatni spadkobiercy umierają lub wyprowadzają się do mia-

siadem Joanny w Pławnej Górnej, trzeba wyłożyć na dom najmniej ok. 180 tys. zł. W Rusocicach za budynek z 1946 r. właściciel życzy sobie 200 tys. Około 250 tys. zł trzeba zapłacić za średniej wielkości dom w Górkach.

Po drugie: własna firma

Choć od budowy domu i zakończenia studiów minęło pięć lat, Jan wciąż mieszka w Górkach. W przyszłym roku obchodzi 30. urodziny, ale o życiu w mieście nawet nie marzy. – Po co mi to? – śmieje się. Z prostego wyliczenia wynika zresztą, że gdyby wynajął mieszkanie w Warszawie, musiałby zacząć się mocno ograniczać. Zarówno z podróżami (tylko w tym roku był już w Afryce i Izraelu), jak i z pomysłami, które podsuwa mu ułańska fantazja. W ubiegłym roku zamontował na dwóch kamienicach w Budapeszcie wielkoformatowe płachty z wyznaniem miłości do jednej z mieszkańek miasta. Na dwa dni stał się bohaterem wszystkich węgierskich serwisów informacyjnych.

Ale to nie koniec profitów, które Janek czerpie z mieszkania na wsi. Prowincja pomogła mu uruchomić własną firmę Sky Pro, która oferuje prace wysokościowe: odśnieżanie dachów, instalację reklam wielkoformatowych, remonty elewacji. Firma powstała dzięki 20-tysięcznej dotacji na rozpoczęcie działalności gospodarczej, o którą mogą się ubiegać mieszkańcy małych miejscowości. Janek zainwestował w samochód, materiały, oferty.

Własna firma to na prowincji norma, nie tylko ze względu na dopłaty. Ludzie aktywni rzadko zarabiają tu na etacie. W poprzednim, miejskim życiu Ewelina Zambrzycka-Kościelnicka pracowała jako dziennikarka i redaktorka, między innymi w „Życiu Warszawy”. Teraz prowadzi blog kulinarny oraz sklep internetowy kocham-jesc.pl, w którym można dostać wszystko, co niezbędne w kuchni prawdziwej pani (albo pana) domu: od blachy do ciasta w kształcie koszulki piłkarskiej aż po garnek do gotowania szparagów. Sama Ewelina uwielbia gotować. Jej podmiejska kuchnia pełna jest przetworów, ziół

ARCHIWUM PRYWATNE

w doniczkach, a jesienią – suszonych jabłek i grzybów.

Joanna Appelt tłumaczy, że podobnie funkcjonuje większość jej nowych przyjaciół. – Tu nic nie spada z nieba, trzeba liczyć na siebie. Moi sąsiedzi zajmują się rękodziełem, prowadzą warsztaty artystyczne podczas różnych sezonowych imprez. W naszej okolicy domy są ogromne, więc część sąsiadów prowadzi agroturystykę. Albo, przykładowo, fabryczkę lnianych ubrań. Spośród wszystkich moich znajomych byłam jedyną osobą, która szukała tradycyjnej pracy – dodaje Joanna.

Była przekonana, że dobry nauczyciel z długoletnim doświadczeniem zaczepi

Ewelina przyznaje, że choć kupno w metropolii, to właśnie te powszednie rachunki mogą wyrównać stawki. – Opłaty są na zbliżonym poziomie, choć brak wielu udogodnień, które daje miasto. Nie ma kabłówek, trzeba płacić za telewizję satelitarną. Mały jest wybór operatorów internetowych, a śmieci odbierane są tylko raz w miesiącu – wylicza i dodaje, że do wszystkiego należy też doliczyć koszt paliwa, które zużywa się, dojeżdżając choćby do najbliższego sklepu.

Dariusz Wieczorkowski, dziennikarz Radia Wrocław, którego sytuacja rodzinna wyгнаła z tej metropolii do położonego 30 km na południowy wschód Jelcza-

zużycia gazu, bo butle są wkopane za domem i jeśli się źle obliczy, gaz się skończy. Darek, który mieszka w superoszczędnym ekodomku, do którego prąd płynie także z kolektorów energii słonecznej, dodaje jednak, że największe oszczędności wynikają z samej specyfiki życia na prowincji. – Tu nie ma dokąd wyjść wieczorem, więc pieniądze, które przepuściłoby się w knajpie, zostają w portfelu – mówi.

Ekojaja od kurek z Górek

Kiedyś na wsi kielbasy były po świnioobiciu u sąsiada, a po mleko prosto od krowy wystawiało się garnek na płocie. Dziś jest inaczej; nawet podstawowe zakupy robi się w sklepie, a ceny są zbliżone do miejskich. – Coś pośrodku między Carrefourem i miejskim sklepem osiedlowym – precyzuje Ewelina. Z jednym wyjątkiem: na wsi łatwiej i taniej można znaleźć naturalne produkty, które do miast docierają tylko z okazji różnych ekotargów. Oczywiście z odpowiednio wysoką marżą. – Tutaj znacznie taniej kupujemy znakomite sery, robione tradycyjnymi metodami i pozbawione konserwantów wędliny, warzywa i owoce od pobliskich wytwórców czy wreszcie tradycyjne chleby z małych piekarni – tłumaczy.

Dzięki temu Janek, który gdy wieszka reklamy w Warszawie, pomieszkują za friko u znajomych, może się zrewanżować w naturze. Ostatnio podrzucił im karton „ekojajek od kurek z Górek”. Bo wreszcie najważniejsza oszczędność życia na wsi bierze się stąd, że wiele dóbr można wyprodukować samemu. Joanna na przykład pomału przymierza się do hodowli kur, a na razie własnoręcznie piecze chleb na zakwasie (który na jajka wymienia z sąsiadem).

Jest zresztą specjalistką od rozmaitych barterów i „organizowania”. Na przykład kiedy remontowała dom, materiałów szukała sama i odkupywała je za grosze od innych gospodarzy. – Miejscowi zaciągają zabytkowe domy gładzią szpachlówką. Mnie zauroczyły mury pruskie, kamienie, gliniane tynki. Od tego typu elewacji nie ma w Polsce specjalistów, wszystko robi się samemu, trzeba

kombinować, jakie połączenia będą najlepsze – mówi.

Grunt to bez nerw

Chociaż moi rozmówcy są różni, jedno ich łączy. Wszyscy twierdzą, że wolniejsze tempo codziennych zdarzeń, lepsze jedzenie i cisza to nie tylko wytchnienie dla portfela, ale też balsam na skołatane miastem nerwy. – Po latach życia w tłumie potrzebowaliśmy ciszy i odosobnienia – mówi Ewelina. – Las Kabacki, przy którym mieszkaliśmy, w weekendy niczym nie różni się od Marszałkowskiej. Żadnego wytchnienia – dodaje. I wspomina z humorem, jak marzyła o leżaku, książce, kawie i ciszy. Żeby znowu było tak jak w rodzinnym domu w dzieciństwie, kiedy w letnie poranki bujała się na huśtawce przed domem, a obok na trawie spał pies. A tu za ścianą techno, druga sąsiadka odkurza, no i bachor z góry wyje jak dusza potępiona. Od szóstej z minutami...

Dla Darka codzienny powrót do domu w Jelczu jest święty: jak wyjazd na wakacje. – W mieście brakuje prawdziwej bliskości z ludźmi, wspólnoty – tłumaczy. – Lokalsi są otwarci. Łatwiej porozumieć się z nimi niż z wrocławianami, dla których dom to eksterytorialna twierdza – mówi. I powoli, niepostrzeżenie wtapia się w lokalną społeczność. Ma już pierwszego prawdziwego kumpla: taksówkarza. – Dzwoniłem do niego, kiedy potrzebowałem wrócić z nocnej imprezy we Wrocławiu – opowiada. – Oczywiście płaciłem za kurs, ale widziałem, że nie kosił mnie na takie stawki jak korporacja. No i zostaliśmy kolegami. Razem jeździmy na gokarty, jest normalnie. To gość, któremu można zaufać – mówi.

Joanna ściągnęła za to do Pławnej kilkoro znajomych z Warszawy, którzy najpierw przyjeżdżali w odwiedziny, pograć w kanastę i poleniuchować na wsi, a później pokupowali tutaj

domy. Jej zdaniem wieś przyciąga ludzi osobliwym poczuciem socjalnego bezpieczeństwa, o które jest tu dużo łatwiej niż w mieście. – Ono pojawia się w chwili, kiedy masz zebrane drewno na zimę, a w szafkach zrobione przetwory – mówi. Zapewnia, że na wsi zimą nie wpadasz w depresję, tylko czytasz sobie książki i leniuchujesz. – Wiesz, po co pracowałeś wiosną i latem, świat jest przewidywalny – ocenia. I dodaje, że jeśli czegoś w życiu żałuje, to że na Dolny Śląsk nie wyniosła się wcześniej. Dom kupiła chwilę przed 40. urodzinami.

Idealna egzystencja dla introwertyka? Być może. Odwrót od korporacyjnego magla? Prawie na pewno. W każdym razie uciekinierów przybywa. – Proszę spojrzeć w okno – wskazuje dłonią Darek. – Jeszcze 10 lat temu hulał tu wiatr. Dziś budowa, jak okiem sięgnąć.

Autorka jest dziennikarką na Temat.pl

Na wsi zawsze można pomóc przy wykopkach gospodarzowi, który ma duże pole ziemniaków, i dostać trzy worki w rozliczeniu.

się wszędzie (z wykształcenia jest geologiem, ale całe życie zawodowe pracowała w szkole, ucząc geografii). Szybko okazało się, że na małomiasteczkowy etat mają szansę tylko krewni i znajomi królika, bo państwowymi posadami rządzą lokalne koterie. W rezultacie Joanna przez pierwsze dwa lata była zarejestrowana jako bezrobotna w urzędzie pracy. W mieście byłby to dramat, ale na wsi? – Tutaj brak stałej pracy jest mniej dotkliwy niż w metropolii – tłumaczy spokojnie. Bo na wsi zawsze można pomóc przy wykopkach gospodarzowi, który ma duże pole ziemniaków, i dostać trzy worki w rozliczeniu. Albo wypielić sąsiadce ogród i otrzymać w zamian kosz warzyw.

Codzienna kalkulacja

Do niektórych rozliczeń gotówki jednak nie może zabraknąć. Jak szacują właściciele podmiejskich domów: zużycie koks w zimie to około 3 ton na sezon. Woda (jeśli oczywiście mamy wodociąg) – około 90 zł na miesiąc, prąd – 120 zł. Za to wszystko nie da się rozliczyć w ziemniakach.

Laskowic, na paliwo przeznaczają 700–800 zł miesięcznie. Do pracy we Wrocławiu musi dojeżdżać codziennie (próbował autobusem i pociągiem, ale wtedy tracił dodatkowe dwie godziny). – Ale jeśli mamy być superskrupulatni, to w Jelczu ubezpieczenie samochodu jest kilkaset złotych tańsze – zauważa. Podobnie uważa Janek, który ubezpiecza auto w Mińsku Mazowieckim. On dodatkowo obniża koszty eksploatacji samochodu, grupując większe zlecenia związane z instalacją reklam i przyjeżdżając do miasta na kilka dni. Po robocie mieszka u siostry, kuzyna lub u znajomych, gdzie na stałe ma swój materac, szczotkę do zębów, ręczniki. Dzięki temu np. przy zleceniach w Warszawie nie musi pokonywać codziennie 70 km z Górek i z powrotem.

Jak twierdzą „prowincjonalni”, wieś uczy oszczędzania na każdym kroku. Joanna zauważa na przykład, że teraz zużywa zdecydowanie mniej wody, niż kiedy żyła w Warszawie. – Nie mam liczników, ale mimo to oszczędzam – mówi. – Bo wiem, jaką wydajność ma studnia. Tak samo jest z segregacją śmieci. Z kontrolą

REKLAMA

ARMIN
VAN BUUREN

PIĄTY AUTORSKI ALBUM
NAJPOPULARNIEJSZEGO
DJ'A NA ŚWIECIE!

ZAWIERA PRZEBOJE

- WAITING FOR THE NIGHT
- THIS IS WHAT IT FEELS LIKE

JUŻ W SPRZEDAŻY!

armada

Wolę

SONY MUSIC

Foer o hodowli

Krewetki

Dzisiejsze rybołówstwo polega w dużej mierze na technologii, a w mniejszym stopniu na ludziach. Dlatego przy masowych połowach w sieci wpadają ogromne ilości niepożądanych stworzeń. Przyjrzyjmy się na przykład połowowi krewetek. Rybacy wyrzucają przyłów (zwykle już martwe lub umierające stworzenia, często zaliczające się do gatunków zagrożonych), który stanowi od 80 do 90 procent połowu, za burtę. Krewetki to tylko 2 procent masy poławianych na świecie owoców morza, ale przy ich łowieniu powstaje aż 33 procent światowego przyłowu. → str. 55

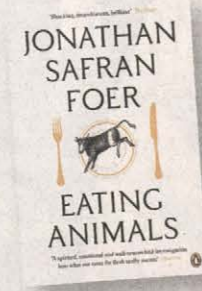
Środowisko

ONZ podsumowała wpływ przemysłu mięsnego na środowisko. Według organizacji hodowanie zwierząt na mięso (czy to w zakładach chowu przemysłowego, czy na farmach): „jest jedną z dwóch lub trzech najważniejszych przyczyn współczesnych problemów ekologicznych zarówno tych lokalnych, jak i tych globalnych. [Hodowlę] powinno się brać pod uwagę przy rozważaniach nad rozwiązaniem kwestii erozji gleby, zmiany klimatu, zanieczyszczenia powietrza, niedoboru i zanieczyszczenia wód oraz zaniku bioróżnorodności. Chów przemysłowy to najważniejsze źródło problemów ochrony środowiska”. → str. 65

Kurczaki

Manipulowano genotypem kurcząt oraz sposobem odżywiania i środowiskiem tak, by pozyskać z nich jak najwięcej jaj (nioski) lub mięsa, a szczególnie mięsa z piersi (brojlery). W okresie od 1935 do 1995 roku waga przeciętnego brojlera wzrosła o 65 procent, czas jego życia skrócił się o 60 procent, a wymagania żywieniowe spadły o 57 procent. To tak jakby dziecko osiągnęło wagę 300 kilogramów w wieku 10 lat, a spożywałoby tylko batoniki zbożowe i preparaty witaminowe. → str. 118

Od lat 80. liczba ferm drobiu w Chinach i Indiach zwiększa się co roku o 5–13 procent. Gdyby Hindusi i Chińczycy zaczęli jeść tyle samo drobiu co Amerykanie (27–28 kurczaków rocznie), obywatele tych dwóch krajów zjadłoby w ciągu 12 miesięcy tyle samo kurczaków, ile dziś konsumują mieszkańcy całego świata. → str. 159



Książka Jonathana Safrana Foera ukazała się w oryginale w 2009 r.

ZUZANNA ZIOMECKA

Kogo kochasz, kogo zjesz?

Kochamy nasze zwierzęta domowe. Wydajemy mnóstwo pieniędzy na ich utrzymanie, leczenie, pielęgnację. Tymczasem na mięso ze zwierząt hodowlanych wydajemy coraz mniej, ponieważ technologia ich masowej hodowli zmniejsza koszty produkcji, a jednocześnie zwiększa cierpienie.

Jonathan Safran Foer nie kojarzy się z zaangażowanym dziennikarstwem. Po autorze m.in. „Strasznie głośno, niesamowicie blisko” świat spodziewał się kolejnej opowieści o Ameryce po 11 września. Tymczasem na półki polskich księgarń wjeżdża właśnie tłumaczenie jego wydanej w 2009 r. książki „Zjedanie zwierząt” – literatury faktu o dylematach współczesnych mięsożerców. Nawet jeśli czytelnik takowych nie ma, gdy rozpoczyna lekturę, z pewnością na schabowego spojrzy inaczej, gdy ją skończy.

Foer zabiera się do śledztwa po rodzinach syna. Swoją wieloletnią huśtawkę od wegetarianizmu do wszystkożerstwa postanawia rozstrzygnąć ostatecznie na podstawie faktów. Na zebranie rzetelnych informacji i analiz amerykańskiego agrobiznesu poświęca trzy lata. Książki jednak nie pisze w postaci klasycznego reportażu, tylko bawi się formą i doskonałym wyczuciem dramaturgii. Raz przedstawia słownik pojęć (np. pasza i światło, świeżość, przetwórstwo), innym razem narrację w pierwszej osobie aktywistki bądź pracownika fermy, snuje też wspomnienia z dzieciństwa i rozważania na temat ojcostwa, cy-

tuje Kafkę i Derridę. W jego książce jest wiele opowieści – o miłości i trosce ludzi tylko wobec wybranych gatunków zwierząt, o jeziorach gnoju, o klatkach na kurczaki wielkości kartki A4, o modyfikacjach genetycznych i grypie pandemicznej. Jednak najciekawszą z nich jest opowieść o naturze człowieka, któremu wiedza nie zawsze dyktuje wybory.

Foer eksponuje fundamentalny konflikt między tym, co czujemy, a tym, co robimy. Wychodzi z założenia, że większość osób dorosłych ma świadomość warunków, a więc i cierpienia, w jakich żyją zwierzęta, które jemy. Jedzenie ich uzasadniamy okrągłymi argumentami postewolucyjnymi (gdyby nie hodowle, te gatunki by nie przetrwały!) i teoriami medycznymi (białko zwierzęce to konieczny składnik zrównoważonej diety człowieka), z którymi Foer podejmuje sprawną polemikę. Choć porównania nie dokonuje wprost, jego nastawienie do przemysłu hodowlanego i jedzenia mięsa mają źródła w Holokauście.

Babcia autora jest bowiem polską Żydówką z Białegostoku. Podczas II wojny światowej żyła w ukryciu. To jej stosunek do jedzenia po ledwo uniknię-



AFP IMAGEFORUM

Foer o hodowli

Kafka

Max Brod opisuje zachowanie Kafki przyglądającemu się rybom w berlińskim akwarium: Nagle zaczął gadać do ryb pływających w oświetlonym akwarium. „Wreszcie mogę popatrzeć na was w spokoju, nie jem was już więcej”. W tym czasie przeszedł na wegetarianizm. → str. 40

Derrida

To uprzedmiotowienie [zwierząt] zawsze wiąże się z przemocą. Nie da się ukryć, że ludzie robią wszystko, by swoje okrucieństwo usprawiedliwić lub przynajmniej zatuszować. Świat wołałby po prostu zapomnieć o krzywdzie, której doświadczają zwierzęta. → str. 119

Grypa i pandemia

W 2004 roku grupa naukowców zajmujących się chorobami przenoszonymi przez zwierzęta zebrała się, by przeanalizować zależność między stanem zwierząt hodowlanych a wybuchami epidemii. Nowe patogeny stanowią dla systemu ochrony zdrowia podwójny problem. Po pierwsze, niepokojący jest fakt, że istnieje związek pomiędzy zakładami chowu przemysłowego a wszystkimi rodzajami patogenów, np. nowym szczepem bakterii *Campylobacter*, *E. coli* czy salmonellą. Po drugie, ludzie stworzyli warunki dla powstania superpatogenu, który byłby groźniejszy od wszystkich dotychczasowych. Taki wirus-hybryda mógłby wywołać epidemię podobną do tej z 1918 roku. → str. 149

Gnój

Smithfield (największy amerykański producent wieprzowiny) co roku zabija więcej świń, niż liczą populacje mieszkańców Nowego Jorku, Los Angeles, Chicago, Phoenix, San Antonio, San Diego, Dallas, San José, Filadelfii, Detroit, Jacksonville, Indianapolis, San Francisco, Columbus, Austin, Fort Worth i Memphis. To ponad 31 milionów zwierząt. Według obliczeń rządowej agencji EPA jedna świnia produkuje rocznie dwa do czterech razy więcej odchodów niż człowiek. Czyli na jednego Amerykanina przypada 127 kilogramów gnoju. Zwierzęta należące do Smithfield wydalają tyle, co wszyscy mieszkańcy stanu Kalifornia i Teksas razem wzięci. → str. 193

tej śmierci głodowej latami kształtował wrażliwość rodziny autora. Dialog z nią na temat najciemniejszego momentu z tego okresu zapada w pamięć i choć Foer sili się na obiektywność, stanowi to grzbiet, w który dalsze fragmenty książki się wklejają.

„Najgorzej było pod koniec. Najwięcej ludzi zginęło właśnie wtedy. Każdy dzień mógł być ostatnim. Raz jakiś rosyjski chłop przyniósł mi z domu kawałek mięsa, gdy zobaczył, w jakim jestem stanie.

- Uratował ci życie.
- Nie zjadłam tego mięsa.
- Jak to?
- To była wieprzowina. Nie zjadłabym wieprzowiny.
- Czemu?
- Jak możesz pytać czemu?
- Bo jest nieczysta?
- Oczywiście.
- Ale przecież chodziło o twoje życie.
- Jeśli nie się nie liczy, nie ma sensu ratować czegośkolwiek”.

Mimo że w książce autor rozwodzi się nad katastroficznym wpływem przemysłu mięsnego na środowisko naturalne

i przedstawia thriller medyczny o superwirusach odpornych na stałe dawki antybiotyków, którymi karmione są zwierzęta w hodowlach, osi argumentów Foera są zagadnienia etyczne.

W tym celu maluje dokładne portrety warunków, w jakich trzymane są zwierzęta w masowych hodowlach w USA, opisuje nadużycia oraz oficjalne i realne praktyki uboju.

Choć jego argumenty wskazują wyraźnie na wegetarianizm, nie zostawia czytelnika bez wyboru. Ciekawa pod tym względem jest końcówka książki, gdzie oddaje głos Billowi i Nicolette Nimanom z Niman Ranch – hodowcom zorientowanym na dobrobyt zwierząt i szybką, bezbolesną śmierć. Wprowadza ich w dialog z aktywistami wegańskiej organizacji PETA, którzy nie akceptują połowicznych rozwiązań. Czytelnicy nie dostają więc jednoznacznego przepisu na życie i żarcie ze spokojnym sumieniem. Konfrontując nas ze sprzecznością lokowania troski i uczuć tylko tam, gdzie sprawia nam to przyjemność, Foer wymusza zobaczenie w kotleciku niegdyś żywego stworzenia. I zadaje pytanie, czy droga do naszej kuchni powinna i musi być drogą przez mękę. ☹



Zjedanie zwierząt, Jonathan Safran Foer, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, premiera 19.06. Książka pod patronatem „Przekroju”.

ROZMAWIA ZUZANNA ZIOMECKA

Na naszych talerzach

O agrobiznesie w Polsce mówi Marek Kryda, ekolog, działacz i publicysta.

Dlaczego mali rolnicy przegrywają u nas z wielkim agrobiznesem?

W Polsce dopuszczono do znacznie większej koncentracji produkcji rolniczej niż w innych krajach europejskich. W naszym kraju 5 proc. podmiotów odbiera aż 80 proc. dopłat unijnych, tymczasem w Unii Europejskiej jest 20 proc. odbierających 80 proc. dopłat. Pokazuje to też skalę przejmowania ziemi przez wielkie spółki takie jak brytyjski Top Farm czy duński Poldanor – mają one największą powierzchnię gospodarstw w Polsce.

Skąd pochodzi mięso, które kupujemy w supermarketach?

Od dużych dostawców, którzy z reguły posiadają zarówno wielkie fermy hodowlane, jak i ubojnie i zakłady mięsne. Gospodarstwa rodzinne nie są w stanie z nimi konkurować.

MAREK KRYDA

jest członkiem Międzynarodowego Komitetu Sterującego Inicjatywy Odpowiedzialności Agrobiznesu (USA) oraz Polskiej Inicjatywy Agrośrodowiskowej.

Czy karmienie zwierząt antybiotykami wraz z paszą, praktyka powszechna w wielkich amerykańskich hodowlach, jest u nas dozwolone?

Na fermach nie wolno stosować antybiotyków używanych w terapii ludzi, ale przepis ten jest łatwo omijany, co doprowadza do rozpowszechnienia się groźnych bakterii odpornych na antybiotyki. Dlatego też w Polsce jest coraz więcej przypadków śmierci spowodowanych sepsą, czyli zespołem ogólnoustrojowej reakcji zapalnej organizmu, wywołaną przez mikroorganizmy, odporne na przykład na metacyklinę (MRSA).

Czy unijne regulacje dotyczące ogłuszania i innych łagodzących cierpienie praktyk rzeźniczych różnią się od amerykańskich?

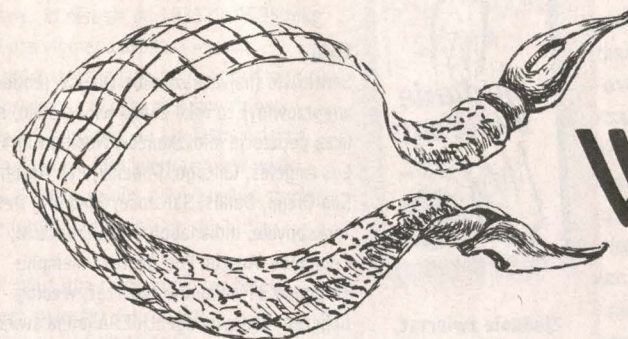
Regulacje są dobre, ale często bywają omijane przez wielkie rzeźnie. Powodem jest drastyczne przyspieszanie



EAST NEWS

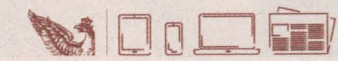
działania linii ubojowych. Jeżeli w ciągu ośmiu godzin pracy ubojowiec ma zabić 50 świń, jak to się często dzieje, to nie ma on czasu nawet naostrzyć noży, nie wspominając o skutecznym ogłuszeniu przed ubojem. Problematyczny jest również nadzór nad skutecznym ogłuszeniem. Według statystyk aż 40 proc. elektrycznych aparatów ogłuszających zwierzęta przed ubojem nie działa właściwie.

REKLAMA



OPINIE W SIECI
W SIECI OPINII
wsieci.rp.pl

W sieci komentarzy, opinii, cytatów i analiz coraz trudniej się odnaleźć. Nowy serwis wylawia z Internetu tylko te najciekawsze. Najświeższe. Najgłośniejsze. Najbardziej kontrowersyjne. Teraz znajdziesz je w jednym miejscu.



świadczanie
informacje
profesjonalisci
odpowiedzialność
porządkowanie
obiektywizm
prawo
tradycja
nowoczesność
poszanowanie poglądów
wiarygodne źródła
PRAWORZĄDNOŚĆ
dialog
wyzwania
ekonomia
opiniotwórczość
współczesnej Polski
autorytety
niepodważalne
społeczeństwo
siła mądrości
jako pierwsi
rzetelne
wnioski

REDAKTOR NACZELNY
„RZECZPOSPOLITEJ”

W dzisiejszym świecie dociera do nas coraz więcej informacji, ale wiemy coraz mniej. Brakuje nam czasu na zdobycie wiedzy – uporządkowanej, pogłębionej, kompleksowej. W „Rzeczpospolitej” szybko docieramy do faktów. Odkrywamy przyczyny zdarzeń, aby przekazać sprawdzoną wiedzę. Bo tylko taka wiedza daje bezpieczeństwo i pewność działania.

RZECZPOSPOLITA
jeśli chcesz wiedzieć więcej

Był pan w szkole prymusem?

Skądże znowu. Miałem kłopoty z matematyką i fizyką. Byłem za to bardzo dobry z historii i języków obcych.

Lubiłem punk rocka. W liceum nosiłem kurtkę z naszywką Sex Pistols i ten seks zirytował nauczycielkę. Ale kiedy grzecznie wytłumaczyłem, że Sex Pistols to progresywna grupa walcząca z zachodnią reakcją, konflikt został zażegnany.

Seks jest dobry na wszystko.

Owszem. Ale wtedy uratowała mnie raczej prawda, bo w końcu Pistolsi rzeczywiście krytykowali burżuazyjne zepsucie. Dziś wspominał te głupstwa z uśmiechem. To były przecież lata 80., zupełnie inna Polska niż teraz.

Zdarza się panu jeszcze zatańczyć pogo?

Czasem słucham starych płyt, ale wolę jazz. Niepokorny jazz, grany np. przez Mahavishnu Orchestra, Petera Brotzmana czy Pink Freuda, miewa w sobie coś z ducha punk rocka. Jest bardziej inspirujący niż muzyka z windy.

Używa pan sztuki, wykładając historię?

Naturalnie. Pamiętam, jak oglądałem ze studentami w Notre Dame „Popiół i diament” Wajdy. Dyskretnie obserwałem ich twarze, na których widniały narastające zaskoczenie i podziw.

Artyzm ich poruszył? Czy bardziej intelekt twórców?

Moi studenci rozumieli już, na czym polegała specyfika PRL. Byli więc zdziwieni, że w latach najsurowszego reżimu mógł powstać w Polsce film polityczny omijający cenzurę. Dzieła takiego formatu jak „Popiół i diament” są dobrym źródłem historycznym. Wielowymiarowo pokazują dawną rzeczywistość społeczną, oddają ducha czasów.

Są inspiracją do poważnych badań?

Oczywiście. Także popularne seriale z epoki, takie jak „Stawka większa niż życie”, „Janosik” albo „Czterej pancerni i pies”, które miały wielomilionową widownię. W trakcie badań nad PRL niektóre sceny oglądałem kilkanaście razy, a nawet

ROZMAWIA JERZY ZIEMACKI

Pochwalmy się Polską

Jesienią ruszają polskie studia doktoranckie na Oksfordzie. To świetna **promocja dla naszego kraju**. O programie stworzonym z myślą o światowej elicie naukowej opowiada jego szef prof. Mikołaj Kunicki.



Prof. Mikołaj Kunicki, który większą część życia naukowego spędził za granicą, przekonuje, że rozpoznawalność Polski w świecie jest zbyt mała. Jego program na Oksfordzie ma to zmienić.

robiłem pisemne transkrypcje dialogów. Trzeba przeczytać te dialogi wyjęte z obrazkowego kontekstu, bo dopiero wtedy widać, jak starannie dobranych pojęć i skrótów myślowych używali scenarzyści.

Jaką tezę naukową można postawić na podstawie seriali PRL?

Cóż, na ogół dosyć prosta: w najważniejszych dla siebie kwestiach władza wraz z twórcami indoktrynowała społeczeństwo za pomocą rozrywki telewizyjnej. Seriale są kierowane do masowego widza, są łatwe w odbiorze. Promowały więc gotową, spreparowaną wizję historii, wygodnej np. dla reżimu Gomułki.

A dziś? Co nasi filmowcy mówią o Polsce?

Zdarzają się rzeczy wybitne, które chciałbym pokazywać zagranicznym studentom. Na przykład filmy Wojciecha Smarzowskiego. Moim zdaniem bardzo ważna w ostatniej dekadzie jest „Wojna polska-ruska” Xawerego Żuławskiego. To prowokacyjny i oryginalny film, który na pewno spodobałby się studentom w Berkeley.

Doktorat obronił pan na kalifornijskim Stanfordzie, uważanym za jeden z najlepszych uniwersytetów świata. O czym traktowała pańska rozprawa doktorska?

O naszej historii najnowszej. Ścisłej – o Bolesławie Piaseckim, który z przedwojennego faszysty stał się prokomunistycznym katolikiem. Na jego przykładzie pokazałem ruch idei w powojennej Polsce: rozmaite połączenia komunizmu z nacjonalizmem i katolicyzmem.

Korzysiałem między innymi z archiwów przy Uniwersytecie Stanforda. Duża część tamtejszych zbiorów dotyczy historii Polski i stanowi prawdziwą kopalnię złota dla badaczy komunizmu. Dotarłem do materiałów, których nie znają historycy pracujący w polskich archiwach.

Jak opisałby pan w trzech słowach Uniwersytet Stanforda?

Że go kocham. To idealne miejsce do studiowania. W przeciwieństwie do nobliwego Stanforda Berkeley to uczelnia bardzo liberalna. Studenci często nie zgadzają się z obowiązującą rzeczywistością polityczną. To właśnie oni robili ruch kontestujący wojnę w Wietnamie. Tam rozpoczęły się bunty w 1968 r. i rewolucja seksualna.

Co pan tam wykladał?

Najnowsze dzieje naszej części Europy. Przede wszystkim przełamywałem stereotypy, bo amerykańscy studenci często rozumują w kategoriach zimnowojennych. Uważają, że wszystko, co znajdowało się po wschodniej stronie muru berlińskiego, było sowieckie, komunistyczne. Jednolicie szare. A to przecież nieprawda. Mimo wielu podo-

bieństw Polska, Rumunia czy Rosja rozwijały się zupełnie różnie. My w znacznym stopniu zachowaliśmy oryginalną kulturę, obyczajowość i sztukę, a nawet prywatną własność w rolnictwie i religię.

Co pan sądzi o dzisiejszej, skłóconej Polsce?

Jestem przede wszystkim dumny z tego, co udało nam się osiągnąć. Mamy niepodległy kraj o otwartych granicach, który trwa nieprzerwanie od 25 lat.

Został pan wybrany na dyrektora Programu Studiów o Współczesnej Polsce na Uniwersytecie w Oksfordzie. To przedsięwzięcie naukowe bez precedensu.

Udało nam się dokonać bezkrwawej rewolucji i stworzyć niepodległe państwo. Światu trzeba wreszcie o tym opowiedzieć.

Dziś o sukcesie gospodarczym czy politycznym kraju decyduje w dużym stopniu jego wizerunek. Tymczasem Polska pod względem PKB plasuje się wysoko, ale w rankingach rozpoznawalności wypada nieproporcjonalnie nisko. Polskie Studia na Oksfordzie to odpowiedź na to wyzwanie, ponieważ St. Antony's College, w ramach którego powstaje program, to wiodący ośrodek studiów międzynarodowych. Ludzie, którzy trafiają tam na studia, to przyszli liderzy i decydenci z całego świata – politycy, ekonomiści, dyplomaci.

Poznają Polskę jako dynamicznego lidera regionu, benchmark udanej transformacji, ciekawe społeczeństwo, kulturę, gospodarkę. Bez precedensu są tu dwa założenia organizacyjne: fakt, że studia będą poświęcone Polsce współczesnej, oraz to, że będą interdyscyplinarne – obejmą zarówno zagadnienia historyczne, jak i gospodarcze, kulturowe, społeczne.

Nie uważa pan, że obejmuje funkcję niemal dyplomatyczną?

Tylko w sensie metaforycznym. Jednym z ojców założycieli programu jest Nor-

man Davies, znany na całym świecie ambasador i promotor polskiej historii.

Jakie są cele programu?

Będziemy popularyzować nowoczesną Polskę i chwalić się naszymi sukcesami po roku 1989. Udało nam się dokonać bezkrwawej rewolucji i skutecznej ewolucji od państwa podległego do niepodległego. Od społeczeństwa zastraszonego przez władzę do otwartego. Trzeba o tym wreszcie opowiedzieć światu.

Interesują nas także współczesne procesy społeczne, dokonujące się przemiany cywilizacyjne, a także rozwój i oddziaływanie nowych mediów.

Jak będą rekrutowani studenci?

Zaczynamy od elitarnych zajęć, przeznaczonych dla doktorantów. Z czasem poszerzymy ofertę dla studentów studiów magisterskich. Chcemy przyciągnąć specjalistów zajmujących się historią, socjologią, politologią, prawem i kulturoznawstwem.

Dlaczego startujecie właśnie teraz?

Inicjatorzy programu, prof. Norman Davies i prof. Timothy Garton Ash, myśleli o powołaniu takich studiów od lat. Udało się dzięki Leszkowi Czarnieckiemu, jednemu z najbogatszych Polaków, który uwierzył w taki pomysł na promocję kraju. Ruszamy jesienią dzięki funduszom przekazanych przez powołaną przez niego Oxford Noble Foundation. Natomiast z akademickiego punktu widzenia ciekawym kontekstem dla uruchomienia studiów jest tzw. arabska wiosna, czyli niedawne wydarzenia w Egipcie i aktualna sytuacja w Syrii. Wzbudziły ogromne zainteresowanie zagadnieniami związanymi z procesem transformacji ustrojowej. A my to przecież przećwiczyliśmy, mamy taką transformację za sobą.

Może więc w końcu zostaniemy mesjaszem narodów?

W tej kwestii stanowczo zachowałbym umiar. Ale wierzę, że połączenie polskiego entuzjazmu i brytyjskiej solidności to doskonała recepta na sukces. ☐

**KATHY RYAN**

Pionierka łączenia na łamach prasy zdjęć, sztuki i reportażu fotograficznego. W 2010 r. jej pismo zdobyło pierwszą w historii nagrodę Emmy za serię produkcji wideo wykonanych przez Ryan i zespół, sukces został powtórzony w kolejnym roku. Jurorka wielu konkursów fotograficznych, m.in. World Press Photo. Wykłada na New York School of Visual Arts.

ROZMAWIA MARTYNA SZTABA

Fotograficzny skarbiec z Nowego Jorku

Łódzka wystawa zdjęć wybranych z 30-letniej historii „New York Times Magazine” to centralne wydarzenie Fotofestiwalu i święto dla fanów reporterskiego pstryknięcia. A także okazja do poznania **Kathy Ryan**, szefowej działu foto w najświetniejszym magazynie świata.

Kathy, jak zainteresowałaś się obrazem?

Miałam osiem czy dziewięć lat, kiedy moja nauczycielka, siostra Mary William, podarowała dzieciom w szkole małe reprodukcje słynnych malowideł. Opowiadała o tym, co przedstawiają. O czym myślał artysta, który je namalował, co oznaczają postacie. Pamiętam, jak wklejałam te reprodukcje do zeszytów. To było autentyczne wprowadzenie do historii sztuki i pierwszy moment, kiedy popatrzyłam na obrazy w poważny sposób.

Od malarstwa do „Timesa”?

Fakt, chciałam zostać malarką. Skończyłam historię sztuki na Douglass College. Ale po dyplomie stwierdziłam, że samotność w pracowni to nie dla mnie. Mam inny temperament, lubię pracować z ludźmi. Zatrudniłam się więc w agencji fotograficzno-informacyjnej Sigma jako archiwistka. Potem awansowałam na stanowisko fotoedytorki. Wybierałam m.in. zdjęcia dla „New York Timesa”. I pewnego dnia Peter Howe, tutejszy fotoedytor, po prostu mnie zatrudnił.

Czytałaś wcześniej ten magazyn?

Jasne, kupowałam go co niedzieli. Ten angaż był jak spełniony sen.

Jak wygląda twoja praca?

Zwykle jestem w firmie koło 9 rano. Potem jest obgadywanie planów z fotografami, mailowe burze mózgów itd. Na bieżąco obrabiamy zdjęcia, które do nas docierają, no i ustalamy z grafikami najlepszą selekcję materiału. Wychodzę koło 19, chyba że coś się przedłuży ze względu na sesję.

Który dzień lubisz szczególnie?

Poniedziałek, bo wtedy myślimy nad okładką następnego numeru. No i piątek, gdy przeglądamy po kolei gotowe sesje.

Rozumiecie się z fotografami bez słów?

To sami zawodowcy, ale bez słów się nie da. Generalnie dużo gadamy, bo dyskusje zapewniają odpowiednią kreatywność.

Czy zdanie działu foto jest najważniejsze w waszym magazynie?

Nie. Materiał musi zadowolić szefów poszczególnych działów.

Skąd wiesz, że konkretne zdjęcie będzie ważne dla czytelników? Ze przykuje ich uwagę, okaże się znaczące?

Tego nigdy nie przewidzisz. Czasem czuję, że coś może sprowokować silną reakcję, ale prawda wychodzi dopiero w druku.

Wybierasz fotografie do ilustrowania tekstu czy tekst jest dopasowywany do zdjęcia?

Zdjęcie nie powinno dosłownie ilustrować opisywanej sytuacji. To byłaby strata, bo zdjęcia często niosą więcej znaczeń niż słowa. Natomiast z foto-reportażami drukowanymi w dziale LOOK i z esejami fotograficznymi jest tak, że tekst jest dopisywany do zdjęcia.

Jesteś kuratorką łódzkiej wystawy. Jak dokonałaś wyboru zdjęć?

Interesowały mnie oryginalność, emocje i siła wyrazu. A spektrum rozpościęra się od reportażu przez portrety studyjne i zdjęcia ilustracyjne aż po sztukę i modę, żeby pokazać skalę wizualnej wrażliwości pisma.

Jaka będzie fotografia za 30 lat?

Myślę, że płynnie przejdzie w ruchome odmiany obrazu.

Masz swoje konto w serwisie internetowym Instagram. Po co ci ten profil?

To fajne narzędzie do wyszukiwania nowych talentów. Mogę tam np. przesunąć ekran i obejrzeć prace 50 fotografów, którzy działają w różnych zakątkach świata. A prywatnie to coś dla zajętych ludzi, takich jak ja, którzy mogą zrobić szybkie pstryk uciekającej chwili.



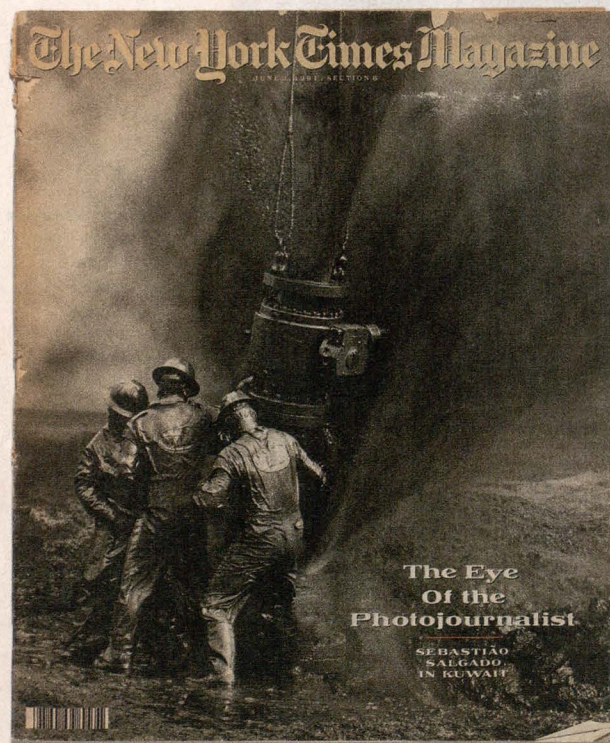
RESEMBLANCE. ROCHAS STRETCH OTTOMAN SHORT-SLEEVE JACKET, \$2,513, AND MATCHING SKIRT, \$1,789. AT BARNEYS NEW YORK. MOSCHINO SHOES.



RESEMBLANCE. GIVENCHY HAUTE COUTURE HAND-FELTED-WOOL JACKET WITH VULTURE FEATHERS AND TRAPPED-FEATHER-TRIMMED GEORGETTE DRESS. TO ORDER. (212) 650-0055. COSTUME NATIONAL GLOVES.

75

Dobre zdjęcie powinno mówić samo za siebie. Ale nastrojowy tytuł, obmyślony pod czujnym okiem redaktorów „New York Times Magazine”, może zdziałać cuda. Tak jak w przypadku pracy z cyklu „The Selma Blair Witch Project” Rogera Ballena, zatytułowanej „Resemblance” (2005).



„New York Times Magazine” wcale nie koncentruje się na konfliktach militarnych, katastrofach czy sportowym wysiłku. Dla fotoedytorów pisma równie ważne są wystylizowane portrety gwiazd takich jak Julianne Moore, uchwycone w niemal katatonicznym zamysleniu przez Gregory’ego Crewdsona („Untitled”, 2002).

Werner Herzog nie był jedynym artystą, który odkrył groźne piękno Kuwejtu, zniszczonego przez Irakijczyków. Ten słynny obraz zagłady, zawarty w filmie „Lessons of Darkness”, powraca tutaj w okładkowej sesji autorstwa Sebastião Salgado, poświęconej speccom od gaszenia płonących szybów naftowych (cykl „Kuwait”, 1991).

Wystawę „30 lat The New York Times Magazine” obejrzyj w ramach 12. Międzynarodowego Festiwalu Fotografii w Łodzi, Centrum Festiwalowe OFF Piotrkowska, ul. Piotrkowska 138/140. Uwaga: ekspozycja potrwa tylko do 16 czerwca, więc warto się pospieszyć.

Jakub Żulczyk

Płyta na całe życie



JAKUB ŻULCZYK

Nowa płyta Daft Punk ma być tym, czym ruch slow food dla rynku żywności – powrotem do tego, co mięsiste, organiczne, prawdziwe, niezabecowane w benzoesanie sodu.

Zastanówmy się przez chwilę, jak bardzo ważną rolę w ustalaniu kanonu kultury popularnej odgrywają PR, promocja oraz tak zwany concept art. Wiecie, o co mi chodzi. Pewne rzeczy uznane są za arcydzieła właśnie dlatego, że zgraja zatrudnionych przy danym projekcie osób wmówiła nam, że one nimi są. Czy „Sierżant Pieprz” jest naprawdę najlepszą płytą Beatlesów czy jedną z najmniej udanych, rozklekotanych i przegadanych? Czy „Gra w klasy”, „Alef” i „Sto lat samotności” to rzeczywiście wielkie powieści czy raczej trudno dzisiaj przyswajalne zakalce? Czy Almodóvar to car transgresji światowego kina czy jedynie serwujący queerowo podkręconą przeróbkę wenezuelskiej telenoweli sprytny cinkciarz? A jak to pytanie ma się do dzisiejszych czasów, gdy nowe objawienia są produkowane w tempie kolejnych kliknięć „lubię to?”, w których wszystko żyje – literalnie – pięć minut?

Kiedy jechałem wczoraj metrem, zauważyłem, że cała stacja Centrum jest obklejona reklamami nowej płyty Daft Punk „Random Access Memories” – albumu, który w momencie, gdy piszę ten felieton, już został obwołany przełomowym arcydziełem. To znaczy został nim obwołany, jeszcze zanim ktokolwiek go usłyszał. Nowa płyta Daft Punk ma być tym, czym ruch slow food dla rynku żywności – powrotem do tego, co mięsiste, organiczne, prawdziwe, niezabecowane w benzoesanie sodu. Ma rozbroić panującą na rynku muzycznym „wojnę głośności” – czyli realizowanie muzyki tak, aby sprawdzała się na laptopach i plastikowych słuchawkach od odtwarzaczy mp3, płaska, sucha, głośna i zadaszona od kompresji. Ma brzmieć jak prawdziwa muzyka, czytaj: ta nagrywana 30–40 lat temu. Swoją drogą, w ciekawych czasach żyjemy, skoro na taką rewolucję porwał się zespół, który kilkanaście lat temu nagrał swoją pierwszą płytę jedynie za pomocą samplera i automatu perkusyjnego, a przez całą karierę paradował w strojach robotów.

Czy nowa płyta Daft Punk rzeczywiście jest taka genialna? Owszem, jest wyprodukowana jak złoto, poszczególne instrumenty brzmią na niej miękko, ciepło, dosadnie i selektywnie, no ale żeby docenić to w pełni, trzeba mieć trochę lepsze paczki niż te wmontowane w iMaca. Jej tak zwana zawartość muzyczna – reminiscencje disco i soulu z lat 70. – może w swoim eleganckim stonowaniu rzeczywiście wydać się odświeżająca w czasach, gdy połowa dzisiejszego popu muzycznie przypomina piaskowanie zębów. Czy jest w

niejednak rzeczywiście coś porywającego, czy to tylko genialni PR-owcy z Sony Music chcieli, abyśmy w to uwierzyli?

Jestem przekonany, że trwałość i nieprzemijalność będą coraz częściej przewijającym się hasłem w briefach i agencjach reklamowych. W świecie tak płynnym i ponowoczesnym, że miga w oczach nawet Baumanowi, świecie, w którym co dwa miesiące wychodzą nowe generacje telefonów, zmienność i jakość „na całe życie” staną się nową treścią wolnego rynku. Ta zasada będzie się tyczyć zarówno samochodów, telefonów, butów, jak i szeroko pojętej kultury popularnej. Genialna kampania reklamowa nowej płyty Daft Punk to jedna z pierwszych jaskółek tego naddciągającego procesu. Album reklamowany jako pomnikowe dokonanie, znajdujące się estetycznie gdzieś poza czasem, najprawdopodobniej stanie się hitem sprzedażowym 2013 r. „Random Access Memories” ma być odbierana jako muzyczny ekwiwalent samochodu, którym będzie można jeździć przez następne 30 lat.

Czy rzeczywiście ktoś będzie słuchał nowej płyty Daft Punk za trzy dekady? Zakładając, że jakiś nagły kataklizm nie cofnie nas do ery rysunków naskalnych, pewnie tak. Będą jej słuchać ci, którzy przy hulającym obecnie w radiu przuroczym singlu „Get Lucky” odnajdą miłość, spędzą wakacje życia albo przeżyją coś równie sympatycznego. Tak naprawdę każdy z nas nosi w sobie swój popkulturowy kanon, a kluczem do jego selekcji są jedynie nasze emocje – to piosenki, filmy i książki, które towarzyszyły nam w momentach, gdy samo życie robiło na nas największe wrażenie. Czy będzie słuchana na takiej zasadzie, na jakiej dzisiaj odbieramy kamienie milowe kultury – z odpowiednim namaszczeniem? Wątpię, bo to po prostu porcja sympatycznej, wysmakowanej, a przy tym absolutnie wchłanialnej przez komercyjne radio muzyki. No ale przecież to, co będzie za 30 lat, nie ma dzisiaj żadnego znaczenia. Potrzebujemy arcydzieł po to, aby czuć, że cały ten otaczający nas jazgot kultury ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie. Paru sprytnych, pracujących w Columbiu gości zrozumią ten mechanizm bardzo dobrze. Oczywiście nie przeszkadza to nikomu bawić się przy „Get Lucky”. Ta sympatyczna piosenka na tle pstrokatej, robiącej dzisiaj za pop klubowej łupaniny rzeczywiście prezentuje się całkiem nieźle. Tak jak ładna i młoda dziewczyna w skromnej sukience na imprezie pełnej silikonowych aktorek porno. ☺

Autor jest pisarzem, dziennikarzem i felietonistą. Wydał m.in. „Radio Armageddon” (2008) i „Świątynię” (2011). U nas pisze o kulturze i show-biznesie.



ANDRZEJ WIERNICKI/EAST NEWS

ROZMAWIA MONIKA BRZYWCZY

Hanna Banaszak wychodzi z szuflady

Kiedy pod koniec lat 80. zmysłowo śpiewała „Nie, nie możesz teraz odejść, jestem rozpalonym lodem”, przez całą Polskę przechodził dreszcz. **Królowa polskiej piosenki**, gwiazda festiwalu w Opolu i Sopocie, ulubienica Starszych Panów, nagrała właśnie płytę dedykowaną Jerzemu „Dudusiowi” Matuszkiewiczowi, a na jubileuszowym 50. Festiwalu w Opolu zaśpiewa „Sambę przed rozstaniem”. Nam opowiada, dlaczego nie lubi być sławną.

Pani Hanno, co się z panią dzieje, dlaczego tak mało pani w mediach? Przecież jest pani naszym dobrem narodowym, zjawiskiem, legendą...

Przecież jestem: funkcjonuję zawodowo, regularnie grywam koncerty w filharmoniach i teatrach w całej Polsce. Pojawiam się na festiwalach, np. w ubiegłym roku na Lady Jazz Festival w Gdyni...To, że artyści nie ma w mediach, nie musi znaczyć, że się skończył. Ale faktycznie unikam mediów, ponieważ w dzisiejszej formie specjalnie mnie nie interesują. Może dlatego, że startowałam w czasach, kiedy poprzeczka była stawiana dużo wyżej. Programy telewizyjne starannie przygotowywały wybitne osobowości telewizyjne. A dzisiaj na ogół wszystko jest strasznie powierzchowne i rozchichotane. Zwyczajnie nie mam ochoty w tym uczestniczyć. Ale to też nie tak, że coś światu demonstruję. Takie są czasy. Przyjmuję to do wiadomości, ale ja – jak mówi klasyk – robię swoje. Mam osobistą, całkiem sporą i inteligentną publiczność. To się dla mnie liczy.

Przygotowując się do rozmowy, szukałam wywiadów z panią. Byłam pewna, że pisma kobiecie panią przepętały nieraz, a tymczasem... nic nie znalazłam.

Do mnie takie pisma raczej się nie zgłaszają... Zdarzyło się kilkanaście lat temu, że jedna z tych gazet zrobiła mi profesjonalną sesję fotograficzną, przeprowadziła ze mną długą rozmowę, ale ostatecznie materiał nie był już dla niej interesujący. Rozczarowałam wydawcę, bo nie opowiadałam o życiu prywatnym, między innymi dlatego, że osoby, z którymi mam na co dzień do czynienia, niekoniecznie muszą sobie tego życzyć. A poza tym nie sądzę, żeby to było ważne. Wolę rozmawiać o sensie istnienia niż o osobistych sensacjach. Sama też nie należę do czytelniczek takich wynurzeń. No może okazjonalnie, np. u fryzjera, z nudów rzucę czasem na nie okiem, by znów się upewnić, że to w dalszym ciągu zafałszowana idealnymi odsłonami papka efekciarskich treści. Tam nie ma prawdy o człowieku. Jest albo jałowa dyskusja, albo przeinterpretowane aferki. Wolę książki, a ostatnio także audiobooki.

Napisze pani kiedyś książkę?

Nie wykluczam. Wiele się ciekawego w moim życiu wydarzyło.

Skoro jeszcze nie ma pani biografii na rynku, spróbujmy odtworzyć pani muzyczną historię. Zaczynała pani jako totalna małolata,

jako się w tamtych czasach mówiło, na festiwalu Złota Tarka, gdzie oślęła pani polskich jazzmanów...

Muszę się przyznać, że nie lubię o tym rozmawiać. Opowiadałam już o tym tyle razy! Ostatnio trzy dni temu. Nawet teraz przy moich skromnych kontaktach z mediami, po premierze płyty z piosenkami Jerzego „Dudusia” Matuszkiewicza, wciąż sięga się do moich początków. Pozwolę sobie zatem uniknąć obszernej odpowiedzi na to pytanie. Zresztą ja już tam nawet nie sięgam pamięcią. To było dawno i już mnie te czasy specjalnie nie interesują... Przelotnie kłaniam się tylko ludziom, którzy się wówczas przyczynili do mojego dzisiejszego sukcesu. Jestem już jednak gdzie indziej. Cieszę się moją teraźniejszością.

No pewnie. Tu i teraz jest najważniejsze. Ale nagrywając płytę dedykowaną „Dudusiowi”, na której słuchamy pięknych piosenek, często sprzed 30–40 lat, każe nam pani wracać myślami do starych czasów, no i do waszej kooperacji, która także zaczęła się przed laty. Tak jak mówiłam, czasem się komuś zapragnę ukłonić. „Duduś” to bardzo ważna postać w moim życiu. To on pierwszy polecił mi innym twórcom. Usłyszał mnie na festiwalu Złota Tarka, kiedy

występowałam z zespołem Sami Swoi. Spodobało mu się, jak śpiewam... Dziś jest starszym panem. Chciałam mu złożyć hołd. Przerwałam zatem na chwilę inne, bardziej współczesne nagrania i po drodze wykonałam płytę „Dudusiową”.

Pamięta pani moment, gdy panią usłyszał? Jak to wyglądało? Podeszedł? Gratulował?

Tak... Rozmawialiśmy. I niedługo potem razem z Wojciechem Młynarskim zaproponowali mi zaśpiewanie piosenki „Mam ochotę na chwileczkę zapomnienia”. Nie wiem, czy wyjęli to z szuflady, czy napisali specjalnie dla mnie... Ale tak to się zaczęło.

No właśnie, jak to było z tymi duetami twórczymi kompozytor-tekściarz, jak oni się dobierali? Dzwonili do siebie i mówili: słuchaj, mam świetną muzykę, napiszesz mi do tego tekst, albo odwrotnie?

Trzeba zacząć od tego, że w tamtych czasach piosenki pisywali przede wszystkim ludzie wybitni, poprzeczka była ustawiona bardzo wysoko. Zarówno tekstowa, jak i dźwiękowa. Niełatwo było dostać się z piosenką do radia. Zanim się nagrało nowy utwór, pokazywało się go kilku znawcom tematu, oni musieli go zaakceptować. Każda z osób zainteresowanych chciała sobie dobrać najlepszych współpracowników. Utalentowany autor chciał pracować z wybitnym kompozytorem i odwrotnie, a potem zastanawiali się, kto najlepiej ich dzieło zaśpiewa. „Duduś” często pracował z Młynarskim, Przybora z Wasowskim, Osiecka z Krajewskim. To były takie długofalowe i owocne współprace.

Pani była ulubienicą kilku wybitnych osobowości. Zakochali się w pani Starsi Panowie, specjalnie napisali piosenkę... A potem znakomite teksty dla pani pisał Janusz Kofta. Pani, młodziutka dziewczyna, i nagle to spore zainteresowanie branżą. Jak pani to wspomina?

Miałam dużo szczęścia. Dzięki „Dudusiowi” informacja szybko się rozeszła po środowisku. Potem Młynarski przyszedł mnie posłuchać właśnie tu, gdzie dziś rozmawiamy – do dzisiejszego hotelu Sofitel, a wtedy Victorii. Był tu taki klu-

b, nazywany Piekiełkiem, który zapraszał znane zespoły na miesięczne występy. I Sami Swoi dostali taką propozycję. Wojtek wpadł na jedną z prób, spodobał mu się mój głos i tak się to zaczęło. Już wtedy byłam chyba po pierwszym programie telewizyjnym. Później, ku mojemu wielkiemu zdumieniu, pan Jerzy Wasowski przysłał mi piękną piosenkę.

To była „Panienka z temperamentem”.

Tak. A potem, nieco już ośmielona, zapytałam, czy obaj panowie zechcieliby napisać dla mnie cały recital telewizyjny. Wiele w tym było przypadku, ale oczywiście również talentu... nie chcę być fałszywie skromna. Ale mam wrażenie, że przypadek, że ktoś usłyszał, opowiedział – odegrał sporą rolę.

Jako 19-letnia dziewczyna miała pani treść, wychodząc na scenę, wiedząc, że na widowni są znani muzycy, twórcy, tekściarze?

Nie. Treści do dziś raczej nie miewam. Pewien rodzaj nieśmiałości częściej miewałam w życiu niż na scenie. Treść jest dla mnie podszyta wielką, skrywaną potrzebą ustawienia się na wysokim piedestale. A ja w tamtych czasach tak bardzo kochałam śpiewać, że się w ogóle nad treścią nie zastanawiałam, tylko cieszyłam się, że zaraz się dorwę do mikrofonu. Nic innego nie miało znaczenia. Chodziło o obcowanie z harmonią, melodią, instrumentami, a niekoniecznie o zrobienie wrażenia. Poza tym, co tu dużo mówić, otrzymałam od losu sporą dawkę możliwości, więc czego miałam się bać?

Naście lat, a tu koncerty, muzycy, nocne życie – co na to wszystko pani rodzice?

Moi starsi koledzy muzycy obiecali im, że się mną zaopiekują, o czym oczywiście zapomnieli, jak tylko przekroczyli próg mojego rodzinnego domu. Ale nie było ze mną jakichś większych problemów, choć oczywiście były zdarzenia, ludzie, którzy mogli zaprowadzić mnie na manowce, jednak ostatecznie jakoś z tych kuszeń szczęśliwie wybrnęłam.

Gdzie się chodziło w tamtych czasach w Warszawie?

Do klubów jazzowych, na przykład do Akwarium. Spotykaliśmy się również w domach, knajpach, hotelach... Rozmawialiśmy, słuchaliśmy muzyki, pojawiał się alkohol, choć nie byłam jego wielką entuzjastką. Wokół było szaro, więc przynajmniej staraliśmy się żyć kolorowo. Poza tym byliśmy młodzi, więc bawiliśmy się, wygłupialiśmy.

Pamiętam taki moment – koniec lat 70. Byłam dzieckiem, rodzice mieli malucha, w nim słuchaliśmy radia i tam w kółko leciała piosenka „W moim magicznym domu”. Radio grało ją non stop. Znałam ją na pamięć. Śpiewałam razem z panią. Telewizja, radio, koncerty. W tamtym czasie pani była wielką gwiazdą, jak to pani wspomina?

Nie znosiłam tego! Po prostu nie znosiłam! I moje odejście od mediów jest też między innymi tym spowodowane. Dodatkowo dla niektórych (zwłaszcza kobiet) bywałam osobą dość kontrowersyjną, bo swoimi piosenkami całkiem apetycznie uwodziłam... Po zejściu ze sceny chciałam się jednak stawać anonimowa, ale świat mi na to wówczas nie pozwalał. Są różne typy osobowości. Jedni noszą w sobie potrzebę przeglądania się w cudzym zachwycie, inni są introwertyczni. Mnie w tamtych czasach wewnętrzna natura kierowała raczej do cienia.

Cóż, popularność to nie jest moja najmocniejsza strona. Nie noszę w sobie dostatecznej dawki ekshibicjonizmu-

żeby się nią napawać. Dobrze się czuję z moją dzisiejszą nierozpoznawalnością. Oczywiście zdarza się, że czasem ktoś mnie rozpozna, ale nie tak nagminnie jak w latach 80. Wtedy nie mogłam spokojnie przejść ulicą. To był czas, gdy marzyłam o tym, żeby ludzie dali mi wreszcie święty spokój, żebym przestała być obiektem nieustannych komentarzy. Zarówno tych złośliwych, zawistnych, jak i bardzo entuzjastycznych.

Była pani takim wyjątkowym połączeniem talentu, muzykalności i seksapilu, kobiecości, urody. Wielu facetów kochało się w Hannie Banaszak... A pani śpiewała do nich „Mam ochotę na chwileczkę zapomnienia” albo „Bo we mnie jest seks, gorący jak samum”.

Ale to była kreacja sceniczna! Potem zakładałam dzinsy, sandały i wracałam do bloku na Osiedlu Kosmonautów.

To był pani wybór czy ktoś to seksowne emploi dla pani wymyślił?

Wymyślił? Nie! Ale faktycznie w którymś momencie się zorientowałam, że dostaję do zaśpiewania bardzo konkretny typ utworów, i to od najlepszych twórców. To był zalew takich piosenek. W tym 80 proc. wspaniałych zarówno literacko, jak i muzycznie! Ale w końcu się tym znudziłam i zbuntowałam. Powiedziałam, że już więcej nie takiego nie zaśpiewam. Byłam już zmęczona postacią, w którą wtoczył mnie przypadek. I przestałam się pokazywać w telewizji przez chy-



KRZYSZTOF OPALINSKI

barok. Odmawiałam wszystkim, chyba że mi proponowano zupełnie inną estetykę. Ale generalnie zniknęłam, choć oczywiście telewizja wciąż maglowała stare nagrania. W tym czasie nawiązałam współpracę z Jonaszem Koftą, który od razu zrozumiał, że już chcę śpiewać repertuar dojrzałszy. Bardzo wiele mu zawdzięczam, ponieważ tylko on od razu uwierzył, że mnie na to stać. Bo jak się kogoś wsadzi w jakąś szufladę, to trzeba się bardzo napracować, żeby z niej wiarygodnie wyjść. Mnie się udało. W dużej mierze dzięki Jonaszowi.

Powiedziała pani: „Jonasz nie zdążył zobaczyć, jak jego wiersze interpretuję na scenie, ale zdążył wysłuchać moich nagrań. Z tekstami, które przed laty dostałam, do dziś trudno mi się rozstać. Są uniwersalne, ponadczasowe, dotyczą każdego człowieka. Noszą w sobie jakąś ludzką cielesność”.

Zdążyłam je nagrać z Januszem Stroblem i jego zespołem, po czym odtworzyłam je Jonaszowi. Moje interpretacje spodobały się. Chwilę później Kofta zmarł tragicznie, nagle i nieoczekiwanie (w 1988 r. w wyniku powikłań po zakrzepnięciu się podczas posiłku – przyp. red.). Tuż potem, na festiwalu w Opolu, odbył się dedykowany mu koncert. Organizatorzy chcieli, żebym wykonała piosenkę „Kiedy księżyc jest w nowiu”. Ale się uparłam, że chcę zaśpiewać „Sambę przed rozstaniem”. To było problematyczne, bo to nie jest polska muzyka. Napisał ją amerykański kompozytor – Baden Powell. W końcu wyszło na moje, a „Samba” zdobyła ogromny aplauz i stała się wielkim przebojem.

I jest nim do dziś. Czy jest taka piosenka, którą szczególnie lubi pani śpiewać?

Chyba nie... Powiem szczerze: najbardziej lubię to, czego jeszcze nie dotknęłam. To, co już zrobiłam, co znam, to rodzaj odpowiedzialności zawodowej. Ludzie kupują bilety na moje koncerty. Gdy wychodzę na scenę, mam obowiązek jak najpiękniej i najciekawiej wykonać swój recital. Raczej jednak proponuję nowości. Ale robię też ze trzy wyjątki. Do nich należy „Samba przed rozstaniem”. Jest tak pięk-

na, że nie męczy mnie nawet po latach. Natomiast „W moim magicznym domu” czy „Pogoda ducha” są już dla mnie niezjadliwe. Naśpiewałam się ich latami. Nie można wечно odcinać kuponów od samej siebie. I nawet te piosenki Jerzego Matuszkiewicza, choć są dla mnie bardzo urocze, stanowią przerywnik w tym, co obecnie robię. Najciekawsze jest dla mnie teraz to, co wymyślam sama.

Na przykład muzykę do wiersza „Nienawiść” Wisławy Szymborskiej. Skąd ten wybór?

Ten wiersz zrobił na mnie wielkie wrażenie. Zupelnie nie mogłam się od niego uwolnić. Postanowiłam więc, że go zaśpiewam. Wzięłam książkę, przepisałam, dokonałam skrótów, przestawiłam kolejność zwrotek i dodałam dwa słowa, bo piosenka, pieśń rządzi się swo-

Bywałam osobą dość kontrowersyjną, bo piosenkami apetycznie uwodziłam... Po koncertach chciałam być anonimowa. Zakładałam dzinsy, sandały i wracałam do bloku na Osiedlu Kosmonautów.

imi prawami. Później poprosiłam kilku kompozytorów, żeby mi napisali muzykę. Ale gdzieś podskórnie czułam, że tego się nie da zaśpiewać, bo wtedy spłyca się treść. A ja chciałam, żeby to było szlachetne, proste i wyraziste. Otrzymałam muzycznych propozycji nie zaakceptowałam. W końcu weszłam do studia i sama zaczęłam coś wymyślać. Udało się. Dopiero wtedy z duszą na ramieniu skontaktowałam się z Michałem Rusinkiem, poprosiłam, żeby spytał panią Wisławę, czy zgodzi się na taką ingerencję w tekst. Wiedziałam, że pozwoliłam sobie na zbyt wiele. Ale pani Wisława wysłuchała i odpowiedziała, że jej się to podoba. A chwilę potem usłyszałam wywiad z Michałem Rusinkiem, w którym opowiadał, że poetka na ogół nie lubi muzycznych interpretacji swoich wierszy... Woli, gdy wiersze są czytane. Sądzę, że intuicja poniosła mnie w dobrą stronę, ponieważ moja propozycja jest melorecytacją.

50. jubileuszowy
Krajowy Festiwal
Piosenki Polskiej w Opolu
odbędzie się 14-16.06.
www.festiwalopole.com

Niedługo wraca pani do Opoli, by wystąpić na 50. jubileuszowym Festiwalu Piosenki Polskiej. Co pani zaśpiewa?

Zaproponowano mi „Sambę przed rozstaniem”. Ten festiwal to zawsze było wielkie wydarzenie dla branży muzycznej. Okazja do spotkań wszystkich koleżanek i kolegów. Tam bywało całe moje pokolenie. Przyjeżdżali wszyscy najwspanialszy artyści. To była przyjemność spotkać się między koncertami, pośmiać się, porozmawiać. Wieczorami w klubie festiwalowym śpiewaliśmy, graliśmy, piliśmy wino. Było cudownie! W tym roku jadę tam z mniejszym entuzjazmem, bo wiem, że to już nie to samo miejsce. To już nie jest to moje Opole, nie mam co do tego złudzeń.

Kto panią ubierał? Podczas oglądania na YouTube nagrań z lat 70., 80. możemy podziwiać pani spektakularne stroje.

Faktycznie, w tamtych latach miałam niezłe suknie i byłam z takimi kojarzona. Ale dla mnie sfera ciuchów nigdy nie była specjalnie istotna. W tamtych czasach to raczej mnie ubierano, niż ja o to zabiegałam. Zapewne również bardziej mi na tym zależało kiedyś niż dzisiaj. Teraz do sprawy podchodzi zdecydowanie bardziej ascetycznie. Oczywiście dbam o sceniczną estetykę, ale tylko o tyle, o ile to konieczne. Ważniejszy jest dla mnie przekaz artystyczny. Zbyt efektowny kostium często w tym przeszkadza, rozprasza.

Czyli swojego wizerunku scenicznego dziś pani specjalnie nie kreuje?

Jeśli chodzi o kostiumy, to kreuje jedynie powściągliwość, tak aby zbyt efektowna sukienka nie zamazywała tekstu!

Syndrom Pudelka dotknął panią z wyprzedzeniem kilku dziesięcioleci...!

Można tak powiedzieć, choć oczywiście dzisiaj to zjawisko znacznie przybrało na sile. Kiedy obserwuję, jak to obecnie wygląda, współczuję wszystkim zainteresowanym. Choć niektórzy sami się podkładają, mimo wszystko nie rozumiem tego rodzaju nagonek. To dla mnie dziennikarska prostytut-

cja. Zaprzędawanie siebie. Rozmianie się na drobne. Współczuję tego rodzaju „dziennikarzom”, że idą na tak konformistyczne łatwizny i interesowne kompromisy. Czasem nawet wstyd mi za nich. Ja już jestem odporna, ale młode ofiary można w ten sposób źle skrzywdzić. Żyjemy w świecie brutalnym i bezwzględny.

Podobno jest pani świetnym kierowcą...

Raczej tak. Ja w ogóle jestem Zosią Samosią (pewnie nieprzypadkowo nadano mi takie drugie imię). Nie tylko dowozę sama siebie na koncerty, ale też jestem menedżerem mojego zespołu. W moim przypadku jest to o tyle proste, że nie zdarzyło mi się dotąd zabiegać o koncerty. Koncerty, że tak powiem, same do mnie dzwonią. Jestem dobrze zorganizowana. Uważam, że człowiek powinien być pożyteczny. Mozolna praca nam dobrze robi. To jest właśnie sens istnienia. Nigdy nie siedzę beczynnie i nie marudzę, gdy jestem bardzo zmęczona, choć przecież czasem i to mi się zdarza.

Odrzucam takie zachowania, bo wiem, że wtedy odbieram sobie resztki dobrej energii. Chociaż muszę przyznać – moi muzycy śmieją się ze mnie, gdy przed koncertem czasem powtarzam: o boże, jak mi się nie chce. Ale ja tylko potrzebuję sformułować to zdanie (śmiech). Gdy go kiedyś nie wygłosiłam, koledzy mi przypomnieli: „No, no, Haniu, coś miałaś powiedzieć!”. Ale potem wychodzę na scenę i tego już nie ma. I koniec, oto całe moje marudzenie. To jedno zdanie działa jak rozładowanie. Jest jakby przewrotnym zakłębieniem na udany koncert.

Nie zazdrości pani Zbigniewowi Wodeckiemu kooperacji z zespołem Mitch and Mitch? Zależy się, że w tym roku wystąpią razem na Off Festivalu...

Wie pani, ja w ogóle niczego nikomu nie zazdroścę. Grywałam z wieloma młodymi muzykami, nawet z raperami. Tyle tego było... i tyle jeszcze przede mną. A Zbyszka wysoko cenię i w każdym nowym projekcie będę mu kibicować.



HANNA BANASZAK

Urodzona w 1957 r. w Poznaniu wokalistka jazzowa i piosenkarka. Zaczęła śpiewać w 1973 r. w duecie z Piotrem Żurowskim, potem z zespołem Sami Swoi. Debiutowała podczas koncertu Młode Talenty na KFPP Opole '76. Wiele ze śpiewanych przez nią utworów stało się przebojami, m.in. „Mam ochotę na chwilczkę zapomnienia”, „W moim magicznym domu” czy „Samba przed rozstaniem”. Swoją interpretacją współczesnia poezję Jana Kochanowskiego. Wykonuje wiersze Brodskiego, Szymborskiej, Kaczmarzkiego. Zmierzyła się wokalnie z muzyką Mozarta, Vivaldiego, Mangione, Metheny'ego, Davisa, Gershwin, Ellingtona... Komponuje, pisze poezję, robi zdjęcia. Właśnie wydała płytę z piosenkami Jerzego „Dudusia” Matuszkiewicza.

MONIKA SZYDŁOWSKA

Obrazy do oglądania z półdystansu

Meloman, czytelnik Nietzschego, skąpiec, samotnik, alkoholik. Ale przede wszystkim genialny malarz. Właśnie otworzyła się pierwsza duża, monograficzna wystawa **Marka Rothki** w Europie Środkowo-Wschodniej.



W środę 25 lutego 1970 r. asystent Marka Rothki przyszedł do pracy jak zwykle o godzinie 9 rano. Otworzył drzwi do pracowni na nowojorskim Manhattanie. Łóżko malarza było puste, odnalazł go w pomieszczeniu, które służyło za kuchnię i łazienkę. Leżał na podłodze w kałuży krwi. Przybyły doktor stwierdził samobójstwo. Autopsja wykazała, że przyczyną śmierci było też zatrucie antydepresantami. Mark Rothko miał 66 lat.

Łotewski żyd, który stał się symbolem amerykańskiej sztuki. Anarchista, który przyjmował zaproszenia do Białego Domu. Lewicowiec, który realizował zamówienia dla wielkiego biznesu. Członek nowojorskiej bohemy, który zarabiał na życie, ucząc rysunku żydowskie dzieci na Brooklynie. Życie i trwająca ponad 45 lat kariera malarska Marka Rothki to historia XX-wiecznych zakrętów, jakie musieli brać awangardowi twórcy. – Artysta, którego korzenie tkwiły w naszej części świata, wielki mistrz przymierzany do Giotta i Rembrandta, bohater dwóch sztuk teatralnych, zawołany dydaktyk, autor opublikowanych pośmiertnie refleksji o sztuce, wielbiony przez niezliczonych – wlicza Agnieszka Morawińska, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie. To tutaj od 7 czerwca trwać będzie wystawa „Mark Rothko. Obrazy z National Gallery of Art w Waszyngtonie”, pierwsza w Polsce monograficzna prezentacja współtwórcy szkoły nowojorskiej, znanego przede wszystkim z wielkoformatowych abstrakcji określanymi jako „malarstwo pół koloru”.

Amerykański socrealizm

Nie był samorodnym geniuszem, drugim Picassem, który podpatrując ojca w pracowni, w naturalny sposób znalazł formę dla swoich prób artystycznych. Właściwie przez dużą część życia malował przeciętne obrazy. Zaczynał w latach 30. XX w. od realizmu, miejskich krajobrazów, migawek z metra, był piewą zwycięstwa amerykańskiego człowieka nad siłami natury i przeciwnościami losu. Zresztą w czasach wielkiego kryzysu pozostawał, tak jak wielu innych, na garnuszku rzą-

dowych agencji wspierających malarzy. Urzędnicy zza oceanu wykorzystywali artystów w ten sam sposób jak w tym samym czasie ich odpowiednicy w komunistycznej Rosji: mieli chwalić moc państwa. Rothko, ale też Jackson Pollock czy Willem de Kooning w ramach comiesięcznej pensji ozdabiali swymi muralami poczty, dworce, banki, a estetyka tych prac nieraz ociera się o monumentalizm socrealizmu. Badacze do dziś znajdują ich „produkcyjniaki”, które nabierają kosmicznej wartości.

Lata 40. to zwrot ku surrealizmowi. Nic dziwnego, w Nowym Jorku znalazła się wówczas cała śmietanka europejskiej awangardy, na czele z Maxem Ernstem, André Bretonem, Salvadorem Dalim. Rothko czyta literaturę poświęconą mitom, archetypom, wyobraźni. To właśnie w mitach szukał metafory dla wydarzeń z lat 1939–1945. Stworzył wtedy obrazy zatytułowane „Edyp”, „Antygona” czy „Znak orła” inspirowany trylogią Ajschylosa poświęconą Agamemnonowi. Utrzymane w stylu surrealistycznym prace były pierwszymi, na które zwróciła uwagę krytyka, choć daleko im do najlepszych prac europejskich „niewolników wyobraźni”, jak nazywali siebie surrealiści.

W drugiej połowie lat 40. zaczął się zbliżać do czystej sztuki abstrakcyjnej. Malował tak zwane multiformy, z których wreszcie narodziły się słynne obrazy okresu dojrzałego, charakteryzujące się prostokątnymi zamglonymi płaszczyznami koloru.

Rothkowitz, Rothko, Roth

Dzieciństwo spędził w Dźwińsku, 90-tyśięcznym mieście, w którym połowę ludności stanowili Żydzi. Nie mieli prawa posiadać ziemi, więc ojciec przyszedłgo malarza prowadził niewielką aptekę. Wykazywał też sympatie lewicowe i syjonistyczne. Wraz z coraz częstszymi napadami carskich kozaków na Żydów jego poglądy się radykalizowały i przeszedł na pozycję ortodoksyjnego judaizmu. Krytycy sztuki widzą w późniejszych obrazach Rothki echa tamtych pogromów. Prostokątne formy, które pojawiają się w jego późniejszych pracach, mają na-



Zanim Mark Rothko (1903-1970) został legendą malarstwa, pracował m.in. jako roznosiciel gazet, a także aktor w objazdowej teatralnej trupie.

Z lewej: „Fantazja w metrze”, ok. 1940, olej, płótno. Reprodukacja dzięki uprzejmości National Gallery of Art, Waszyngton.

wiązywać do kształtu masowych grobów mordowanych Żydów.

W Nowym Jorku cała rodzina wsiada w pociąg do Portland na Zachodnim Wybrzeżu. Marcus bez znajomości angielskiego trafia do szkoły, rodzina walczy o przeżycie, zwłaszcza że po kilku miesiącach umiera ojciec. Najmłodszy z rodziny Rothkowitz musi pracować w magazynie i roznosić gazety. Równo 10 lat później postanowił wyjechać z miasta.

Markus Rothkowitz miał 10 lat, kiedy wsiadł z rodzeństwem i matką (ojciec od kilku lat pracował już w Ameryce) w 1913 r. na pokład statku „Car” w położonym nad Bałtykiem porcie Lipawa.

Podkreślał, że jako wschodnioeuropejski Żyd czuł się w Ameryce obco. Podczas studiów na uniwersytecie w Yale założył podziemne pismo, w którym krytykował ciągłe dążenie do prestiżu i bogactwa. Wyrażał też swoje postępowe poglądy w kwestiach obyczajowości, antykonceptji czy robotników. Przez kilka lat nie potrafił odnaleźć swojego miejsca. Zapowiadał się nawet na całkiem dobrego muzyka, ze słuchu nauczył się gry na pianinie i mandolinie. Później rzucił Yale i dołączył do grupy teatralnej Josephine Dillon, pierwszej żony Clarka Gable'a.

Zachowały się plakaty, na których ten nieśmiały okularnik figuruje jako podstawowy aktor trupy. Jego zmiennikiem w razie choroby był Gable. W końcu wyjechał do Nowego Jorku, gdzie, jak wspominał, „malarstwo odkrył przypadkowo”. Pierwszą wystawę miał w wieku 30 lat.

Amerikaninem stał się dopiero w 1938 r., po 14 latach oczekiwania na obywatelstwo. W tym czasie wielu Żydów zmieniano nazwiska, aby pozbyć się charakterystycznego brzmienia. W styczniu 1940 r. zrobił to też Marcus Rothkowitz i stał się Markiem Rothką. Ponad 20 lat wcześniej jego bracia przyjęli nazwisko Roth. Jednak malarz uparł się przy „Rothko”. Jego zdaniem „nie brzmiało ani amerykańsko, ani żydowsko, ani rosyjsko. Było na tyle niezwykle, że budziło respekt”. – Żeby zrozumieć Rothkę-malarza, trzeba zrozumieć Rothkę-człowieka, osobowość bardzo skomplikowaną, nadwrażliwą, uchodzącą ze Starego Świata oznaczonego konfliktami, któremu przyszło uczestniczyć w ważnym w dziejach sztuki przełomie, kiedy to centrum wydarzeń artystycznych przesunęło się z Paryża do Nowego Jorku. Ten sam Rothko był myślicielem i malarzem, studiującym literaturę i słuchającym muzyki klasycznej; to one często wzbogacały jego światło i kolor – twierdzi kurator wystawy Marek Bartelik.

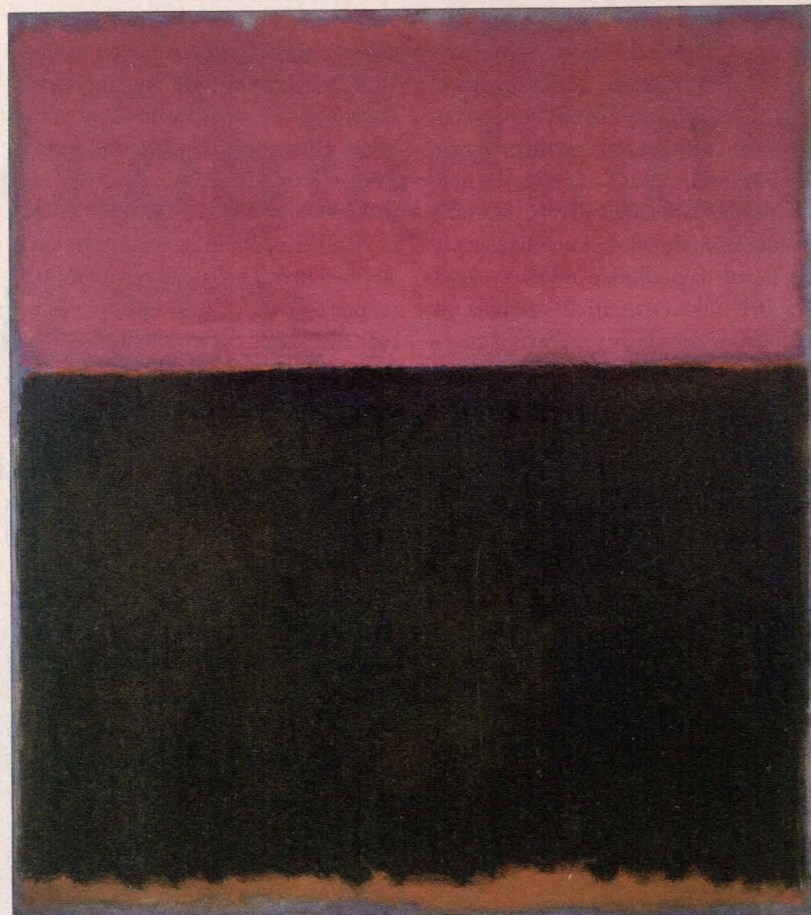
Kolor, światło, metafizyka

Nie miał szczęścia do kobiet, dwukrotnie się rozwodził. Ale karierę zawdzię-

Mark Rothko i muzyka

„Zostałem malarzem, bo chciałem wnieść malarstwo na poziom oddziaływania muzyki i poezji” – to najczęściej cytowane słowa artysty. Rothko śpiewał arie, chodząc po ulicach Manhattanu, sam nauczył się grać na fortepianie sonaty Mozarta i namiętnie słuchał płyt w pracowni. „Muzyka kameralna albo opera, w takiej kolejności. Mozart, Mozart, Haydn, Mozart, Schubert albo Mozart. I spieraliśmy się: Haydn kontra Beethoven, kwartety kontra tria” – wspomina syn malarza Christopher Rothko. Malarz obserwował także rozwój współczesnej mu sceny nowojorskiej, znał się z guru amerykańskiej muzyki Johnem Cage'em i przyjaźnił się z Mortonem Feldmanem, pionierem notacji indeterministycznej. Ten drugi złożył mu nawet hold w kompozycji „Kaplica Rothki”.

„Bez tytułu”, 1953, technika mieszana, płótno. Reprodukacja dzięki uprzejmości National Gallery of Art, Waszyngton.



cza dwóm niezwykle wpływowym damom. W 1943 r. poznaje w Nowym Jorku Peggy Guggenheim, znaną kolekcjonerkę wspierającą artystów, która wraz z Marcelem Duchampem założyła galerię Art of This Century. Malarzowi schlebiali towarzystwo rozkochanej w sztuce arystokratki, która była jednak skupiona na budowaniu wyłącznie własnej pozycji. Miał już ponad 40 lat i szukał galerii, która wreszcie uniezależni go od zajęć w szkołach. Od początku lat 30. Rothko utrzymywał rodzinę nie ze sztuki, ale z pensji nauczyciela rysunku. Do spektakularnego sukcesu doszło w 1946 r., kiedy zajęła się nim młoda kolekcjonerka Betty Parson. 44-letni Rothko znalazł w końcu marszanda.

Ale błyskotliwą karierę rozpoczęła dopiero wystawa „Piętnastu Amerykanów” zorganizowana w 1952 r. w nowojorskim MoMA. Pokazano na niej prace twórców dojrzałych, często po czterdziestce, z dorobkiem i już ukształtowanym stylem.

Niezwykle wpływowy wówczas magazyn „Life” urządza im sesję fotograficzną i określa mianem New York School, choć kiedy patrzyło się na ich dzieła, trudno było na pierwszy rzut oka znaleźć punkt wspólny. Sami artyści wyjaśniali, że łączy ich nie sam styl, ale brak zainteresowania malarstwem. Liczy się jedynie akt tworzenia i towarzyszące mu emocje.

W obrazach Jacksona Pollocka czy Willema de Kooninga objawiały się w odruchowym, podświadomym działaniu artysty, czyli – mówiąc dosadnie – chlapaniu farbą na płótno. U Rothki nośnikiem emocji stał się kolor. To on i tylko on miał oddziaływać na widza. – Kolor jest narzędziem, a światło medium. Rothko to iluminista, malarz metafizyki – twierdzi Bartelik.

Z perspektywy 45 centymetrów

Ekspresjonizm z każdym rokiem zyskiwał na znaczeniu i stał się najpopularniejszym nurtem sztuki lat 50. Jednak



„Nr 2”, 1947, olej, płótno. Reprodukacja dzięki uprzejmości National Gallery of Art, Waszyngton.

niedawni rewolucjoniści szybko stali się klasykami. Lata 60. to okres największych triumfów, a zarazem gaśnięcia ich gwiazdy. Malarstwo w obliczu konceptualizmu, happeningu, pop-artu w konfrontacji z nowymi mediami zaczęło się jawić jako drobnomieszczański przeżytek. Nie tylko malarstwo figuratywne, ale również abstrakcja, która kojarzyła się z czymś, co wieszka się nad łóżkiem w dobrej zaprojektowanej sypialni. Malarski gest zostaje odrzucony jako uniwersalna istota sztuki. Sztuka roztapia się w życiu, a życie w sztuce. Nie tak to sobie wyobrażał Rothko, który coraz większą wagę przykładał do sposobu eksponowania prac. Uważał, że idealna odległość, z jakiej należy oglądać obrazy, to 45 centymetrów. Dzięki temu widz czuje się wciągnięty w pola kolorów, doświadcza ich wewnętrzny ruch i braku wybierał oświetlenie, kolor zasłon w oknach. Właściciel jednej z londyńskich galerii, Bry-

an Robertson, tak zrelacjonował niedzienne warunki, w jakich eksponowano jedno z dzieł: „kiedy oko przyzwyczało się już do ciemności, efekt był niezapomniany: tliło się delikatne, czerwone światło, które wydobywało się ze ścian”. Stworzenie optymalnych warunków miało ułatwić dialog między kompozycjami, a także między dziełem i odbiorcą.

Kabriolet w garażu, obraz w restauracji

W 1962 r. galerzysta Sidney Janis, który popierał Motherwella, de Kooniga czy Pollocka, zaczął promować artystów pop-artu i Nowych Realistów. Starzy mistrzowie, którzy nie przeczuwając niczego, przyszli na wernisaż, pełni oburzenia szybko opuścili salę. „Czy ci młodzi malarze spiskują, by nas zabić?” – zastanawiał się Rothko. Kiedy starzy zapukali do domu Janisa, by jak zwykle napić się wina po wernisażu, nie zostali wpuszczeni na bankiet. W środku bawi-

li się już Roy Lichtenstein, Claes Oldenburg i inni „szarlatani i młodzi oportuniści” – jak nazywał ich Rothko. On sam nie nadawał się do nadchodzącej epoki mediów. Dziełu potrzebne są słowa, niezbędne wyjaśnienia, a Rothko nienawdził krytyków, publicznych wystąpień, wywiadów, komentarzy. Najchętniej zakazałby pisanie recenzji z jego wystaw. Z kolejnymi galerzystami będzie się wyklócał o prawo do nieuczestniczenia w „promocji” swojej sztuki.

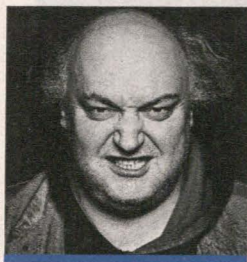
Wreszcie pod koniec życia zrezygnował z pośredników. Z każdym kupującym przeprowadzał „wywiad”, chciał wiedzieć, komu sprzedaje prace. Zresztą nie umiał się cieszyć z zarobionych pieniędzy, choć próbował. Kiedy był na Zachodnim Wybrzeżu, kupił sobie kabriolet, by podróżować z rodziną na plażę. Większość czasu auto stało jednak w garażu, bo malarz nie umiał go prowadzić.

Choć kolejne nurty sztuki awangardowej wypchnęły go z orbity wpływów na współczesną scenę artystyczną, rosła jego pozycja na rynku i jako ekskluzywnego dekoratora wielkich pomieszczeń. Wielka amerykańska firma Seagram & Sons zamówiła u niego wykonanie murali w nowo powstałej siedzibie, którą zaprojektował Ludwig Mies van der Rohe. Miały ozdabiać restaurację Four Seasons, przeznaczoną dla zarządu. Malarz tworzył wstrząsające obrazy, pokazujące „brzemie, ciężar historii ludzkości”. Kiedy jednak przybywa na obiad do lokalu, w którym mają być eksponowane jego prace, jest zniesmaczony pretensjonalną atmosferą. Zrywa umowę z Four Seasons, zatrzymuje obrazy i rezygnuje z 2,5 mln dolarów wynagrodzenia. „Obraz żyje dzięki obecności, rozrasta się, nabierając tempa w oczach wrażliwego obserwatora. Umiera z tego samego powodu. Stąd ryzykownym i bezdusznym jest wystawiać go dla świata. Jak często musi być osłabiany przez wulgarny wzrok okrutnika, myślącego tylko o powstaniu powszechnego cierpienia” – pisze tuż przed śmiercią Mark Rothko. ☞

Mark Rothko. Obrazy z National Gallery of Art w Waszyngtonie Muzeum Narodowe w Warszawie, 7.06-1.09 www.mnw.art.pl

Maciej Nowak

Hopla!



ARTUR KOT

Cielecka, budując postać Sally Bowles, poszła na całość, w walce o sceniczny sukces jest równie bezwzględna jak jej postać. Bezwstydną, czarującą, nadaktywną, upadła i oszłamiającą.

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

niedziątek, Redbad Klijnstra, Maciej Stuhr, Wojciech Kalarus, Andrzej Chyra, Piotr Polak, Bartosz Gelner). Śmiech grzęźnie w gardle, radość zmienia się w przerażenie. Hopla! Bawimy się do upadłego! A teraz młynek! Nóżka do góry, nóżka do dołu!

Bohaterką wieczoru jest Magda Cielecka nie tylko dlatego, że pokonała kontuzję. Zagrała jak szalona marionetka, która zerwała się z nici. Połamana, cała w kątach ostrych, z poplątanymi kończynami. Unieruchomiona na temblaku złamana ręka aktorki rozszerza jej środki wyrazu. Ograniczenie – jak to często bywa – wyzwala kreatywność. Cielecka, budując postać Sally Bowles, poszła na całość, w walce o sceniczny sukces jest równie bezwzględna jak jej postać. Bezwstydną, czarującą, nadaktywną, upadła i oszłamiającą. Niech się chowa Sally Lizy Minelli z „Kabaretu”! Takiej Cieleckiej nigdy dotąd nie widzieliście, taką Cielecką Cielecka wyzwała się ze wszystkich dotychczasowych stereotypów i zaszufładowała. Jest genialną i energetyczną wokalistką, perwersyjną tancerką w peep-show, namiętną kochanką i wielką diwą odbierającą Oscara. Cyniczną karierowiczką i emocjonalnym destruktem. Kobiętą bluszczem i kobietą rakieta.

Zamysł ideowy „Kabaretu warszawskiego” to myślątko raczej płochę i pensjonarskie, bo czy zagrożenie opresją i nietolerancją we współczesnym świecie jest rzeczywiście wynikiem kompleksów erotycznych i braku miłości? Czy oświecenie przyjdzie ze strony osób transseksualnych, zawieszonych między tradycyjnymi rolami seksualnymi i genderowymi, takich jak Justin Vivian Bond, będąca mistrzem ceremonii w klubie Shortbus? W spektaklu postać tę gra Jacek Poniedziałek, który w finale pyta, czy w tym mieście ludzie potrafią się kochać. Czy odczuwają orgazm? Głoszenie tego typu objawień nie jest ani specjalnie mądre, ani specjalnie głupie, za to kompletnie bezbolesne. Jądro ciemności pozostaje nietknięte. Zabawa trwa na całego. ☞



MAGDA HUECKEL/NOWY TEATR

„Kabaret warszawski”
reż. Krzysztof Warlikowski

Od początku nowy film Refna „sprzedawany” był twarzą Ryana Goslinga. To on – choć na planie zjawiał się niemal w ostatniej chwili, w zastępstwie aktora, który zrezygnował z roli – widnieje na plakacie (i okładce płyty z soundtrackiem), jest główną postacią w kolejnych trailerach i traserach. Widownia czeka przecież po „Drive” na kolejnego Goslingowego rycerza współczesności, na bezlitosnego brutala, który z melancholijnym wyrazem twarzy będzie jednocześnie zabijał i walczył o miłość.

Ale w „Tylko Bóg wybacza” Gosling jest zaprzeczeniem wojownika. Nawet jeśli zdarza mu się kogoś uderzyć, głównie snuje się po ekranie, stoi i czeka. Grany przez aktora Julien nie mówi prawie nic. Kluczem ma być jego spojrzenie, ale – ciekawa rzecz – nie ma w tym spojrzeniu charyzmy, tajemnicy. Jest tylko parę min na krzyż z zestawu nie najlepszego, łopatologicznego aktorstwa: naiwne przerażenie, cięła bezradność, czasem wzruszenie i ból. Czy to Gosling aktorsko zawodzi, czy może Refn chce Goslingowy mit obnażyć?

Ząb za ząb, nie chcę, ale muszę

Z nowego filmu Refna – perfekcyjnego rzemieślnika, a jednocześnie uciekającego w soczystość barw daltonisty – zewsząd wyziera jaskrawa, bijąca po oczach czerwień. Zaułki burdela, kluby kick-boxingu i karaoke, restauracje i rozświetlone neonami ulice Bangkoku: głównymi bohaterami wydają się nie ludzie, ale labiryntowe przestrzenie, kolorystyczne kompozycje, architektura ujęć.

Jednym z pierwszych obrazów jest ciało nieletniej prostytutki, zmasakrowanej niczym dzikie zwierzę, skapaną w rozlewającej się po podłodze krwi. Zabija ją brat Juliana Billy, który za chwilę sam zostanie przez ojca dziewczyny zabity. Julien szykuje się do zemsty za zembstę, ale gdy dowiaduje się, co zrobił brat, puszcza niedoszłą ofiarę wolno. Wtedy na arenę wkracza matka Crystal (rewelacyjna Kristin Scott Thomas w długich blond włosach), która przyjeżdża do Bangkoku i niczym mafijny

PAWEŁ T. FELIS

Wydmuszka z obrazów filmowych

„Tylko Bóg wybacza” – ładny, ale pusty. Wobec „Drive” wyraźny krok wstecz. Ale może balon wokół duńskiego reżysera został napompowany ponad miarę, a **Nicolas Winding Refn** potrafi opowiadać głównie o świecie kolorowych popkulturowych znaków, które próbują coś znaczyć, ale znaczą już przeraźliwie mało?

ojciecchrzestny chce dopilnować, by zaszadzie „ząb na ząb” stało się zadość.

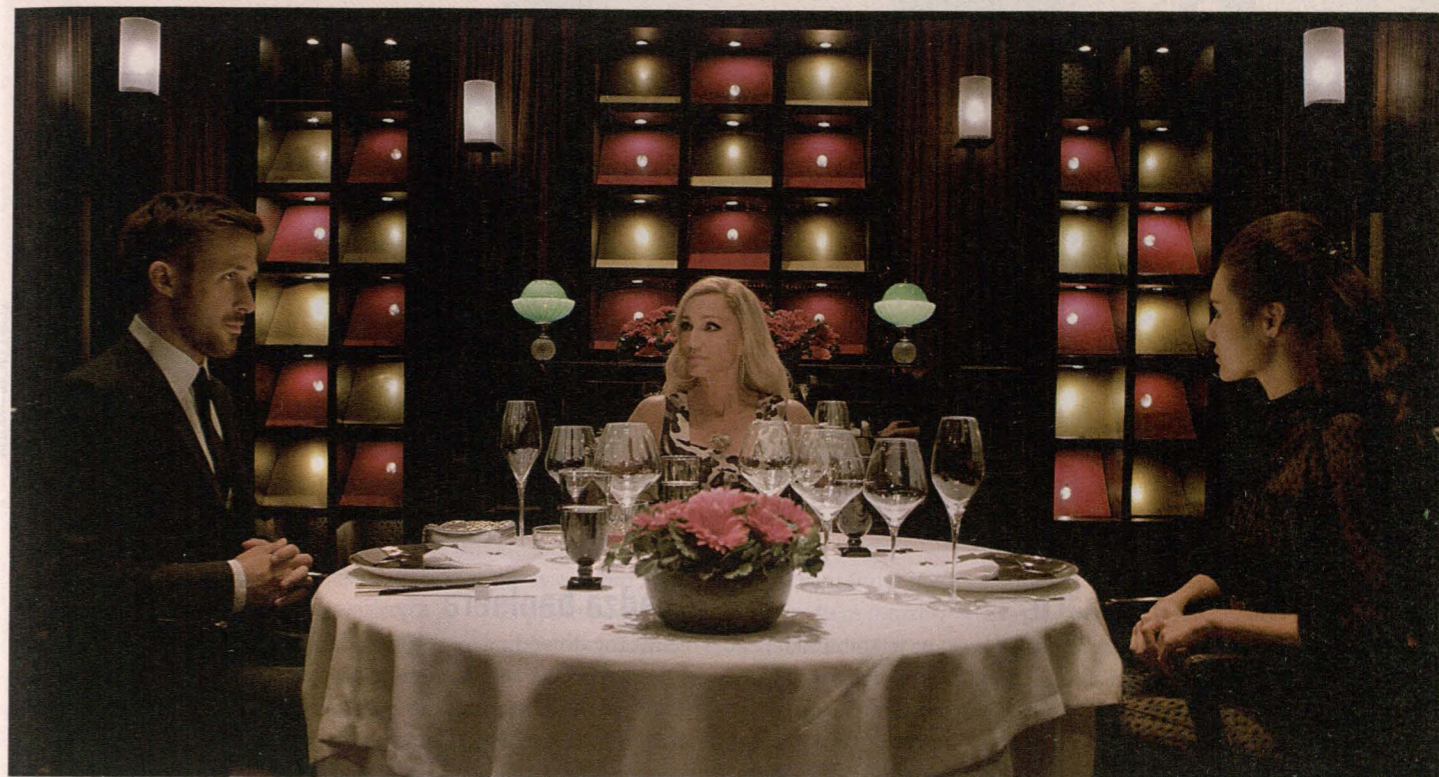
Jak sugeruje już sam tytuł filmu, od przebaczenia jest ktoś inny: bohaterowie Refna wyrzynają się więc nawzajem, na jedną śmierć odpowiadają kolejną, na dwa ciosy czterema następnymi. Tropem Crystal, której chodzi tylko o pomszczenie śmierci ukochanego syna, idzie jednak ktoś jeszcze. To Chang (Vithaya Pansringarm), rzekomy policjant, który pełni raczej rolę okrutnego, ale sprawiedliwego, starostamentowego Boga. Nie tylko zabija, ale też stosuje finezyjne tortury i brawurowe metody okaleczeń. Na zaszadzie: „nie chcę, ale muszę” – najchętniej śpiewałby cały czas ekliwne ballady, ale brudny świat zmusza go do sięgania po samurajski miecz jak po ostateczne ostrze sprawiedliwości.

Przemoc, matka i banal

„Panie niech zamkną oczy, a panowie niech patrzą uważnie” – zapowiada w pewnym momencie Chang, który

zachwilę da istny popis słusznej kary, z wbijaniem długich szpikulców w oczy ofiary włącznie. „Tylko Bóg wybacza” to bowiem wystylizowany do granic spektakl przemocy, swoisty teatr marionetek, które miotają się na ekranie, coś mówią, coś robią, ale jakby same dla siebie: jako widz nie znajduję w tym specjalnego sensu. A już na pewno nie widzę dramatu na miarę greckiej tragedii.

Refn sugeruje oczywiście mnóstwo znaczeń symbolicznych (na przemian myte i odcinane ręce Juliana, który dystansuje się od zemsty), podrzuca psychologiczne i freudowskie tropy. Mamy więc rywalizację dwóch synów z matką w tle (Crystal: „Billy był starszym bratem, miał większego fiuta: Julien też nie miał małego, ale Billy... jego był niewiarygodny”), kompleks Edypa i stłamszoną seksualność Juliana. „Tylko mama jest w stanie naprawdę mnie wgnieść w ziemię albo dowartościować” – mówił o sobie w Cannes Refn, zaraz po tym, jak w przerwie między wywiadami odbierał telefony od matki.



Mówił też o tęsknocie za duchowością, o Bangkoku, w którym odkrył nieznaną Europejczykom duchowość. O kalectwie mężczyzn, którzy nie są zdolni do tak finezyjnej przemocy jak kobiety, a w dodatku nie zachodzą w ciążę, więc nie mają jedynego na Ziemi dostępu do świata metafizycznego. Trochę to wygląda jak groteskowe kreowanie się na mędrca, który oczywistości lub banały sprzedaje jako prawdy objawione.

Refn twierdzi oczywiście, że to wszystko zawarł w filmie, a tylko płaskie oko europejskiego widza nie zawsze potrafi te subtelności odczytać. Wolne żarty: jeśli „Tylko Bóg wybacza” ma być filozoficzno-psychologicznym traktatem, to jest to traktat mentalnego przedszkolaka, który powtarza tylko to, co usłyszał od innych.

Świat ładnych i pustych znaków

W Cannes, które czekało na film Refna jak na arcydzieło popkultury, rozczarowanie większości dziennikarzy było ogromne.

„Tylko Bóg wybacza”

reż. Nicolas Winding Refn, Dania, Francja
2012, Gutek Film
90 min
👍👍👍

Ale czy to Refn zawiódł, czy oczekiwania wobec niego rozdepto ponad miarę?

Refn – kinofil bez szkoły filmowej – nigdy nie silił się na oryginalność, bo konsekwentnie kręci przecież „filmy z kina”, efektownie żonglujące tym, co już znamy. Czego dowodem jego „Bleeder” (1999) – hołd dla bezpretensjonalnie amatorskiej fascynacji filmami innych (w pewnym momencie Mads Mikkelsen wymienia reżyserów, których filmy trzyma na VHS w wypożyczalni: obok Romero, Peckinpaha, Cravena i Jodorowskiego są również Herzog, Fellini i Wajda).

Duński reżyser zawsze też obracał się w kręgu tematu przemocy: było już odgryzanie uszu, duszenie i sikanie na ofiary („Bronson”), ale też patroszenie ich jak kaczki i wbijanie odciętych głów na pal („Valhalla. Mroczny wojownik”). Z jednej strony odbrażował współczesnych gangsterów, których pokazywał jako nieudaczników nieudolnie próbujących dogonić wzory z kina (trylogia „Pusherów”), a zarazem

uwznioślał mitwojownika, który niczym zagubiony Chrystus brnie przez apokaliptyczne przedpiekle („Valhalla”) albo z zadawania bólu czyni rodzaj sztuki, artystycznego fachu („Bronson”). Zawsze też filmy Refna operowały na przecięciu realności i zwidu, były wizualnie ładne, efektowne, ale niespecjalnie głębokie. Również najsłynniejszy – i najlepszy – „Drive”, w którym jednak udało się z owych popkulturowych klocków zbudować nową, hipnotyczną jakość, na dodatek psychologicznie niejednoznaczna i przewrotna.

„Tylko Bóg wybacza” to powrót do Refna, który – jak w „Valhali” – świetnie opowiada, tylko nie bardzo wie, o czym. Być może w tym właśnie tkwi perwersyjna wartość tego filmu, który najlepiej traktować jak przekombinowaną mimowolnie, melancholijną balladę o popkulturze. Czyli o świecie pięknych obrazów, czytelnym i niekoniecznie oryginalnym znaków, które usiłują coś znaczyć, ale znaczą już przeraźliwie niewiele. 📺

Dorota Chrobak o filmach



reż. Haifaa Al Mansour, Arabia Saudyjska/Niemcy 2012, AP Manana, 97 min
 🍷🍷🍷

DRAMAT

Dziewczynka w trampkach

Pierwsza pełnometrażowa fabuła w całości nakręcona w Arabii Saudyjskiej, w dodatku przez kobietę. I o świecie kobiet opowiadająca. Mężczyźni są tu raczej nieobecni, a gdy już się pojawiają, wydają się nieobecni duchem. A mimo to poruszamy się w rzeczywistości zdominowanej przez nich do tego stopnia, że kobiety – niejako uprzedzając atak – tylko ową dominację umacniają. W tym monolocie zaczynają się jednak pojawiać pierwsze rysy... Niezwykły film. Za pomocą prostej historii o dziewczynce, która marzy o rowerze, autorce udało się ukazać świat, gdzie koegzystują nowoczesne centra handlowe i średniowieczne przesady. Ale walka o własne marzenia wygląda dokładnie tak samo jak na całym świecie. 🍷

Katarzyna Nowakowska o serialach

Mozaika zbrodni

Mam wrażenie, że słowo „serial” stało się obecnie wysoce niewystarczającym rozróżnieniem gatunkowym. Bo brytyjska „Vera” (ale kino+) to serial i „Arrested Development” (Netflix) to serial. A punktów stycznych niewiele.

Nie wystarczy nawet dopowiedzenie: kryminalny kontra komediowy. Bo nie to różni te serie najmocniej. Co zatem? Wolałabym uniknąć słów typu filozofia i paradygmat, więc powiem: metoda. „Vera” – klasyczna „zbrodnia tygodnia” z Brendą Blethyn w roli policjantki – to przykład serialu tradycyjnego, wznowione zaś po siedmioletniej przerwie „Arrested Development” ma w sobie wszystko, co charakteryzuje serie nowoczesne.

Co to takiego? Przede wszystkim odejście od schematu i powtarzalności. Serial nowoczesny ucieka od modelu: co odcinek nowa sprawa dla prawnika/przypadek medyczny dla dr. House'a/śledztwo. „AD” jest kolejną po „House of Cards” produkcją Netflix'a dostępną od razu w całości – nie



reż. Costa Gavras, Francja 2012, Against Gravity, 114 min
 🍷🍷🍷

DRAMAT

Żądza bankiera

Świetny dowód na to, że po osiemdziesiątce można pozostawać aktywnym, ba, wręcz nowoczesnym reżyserem, co w zmieniających się jak w kalejdoskopie realiach filmowych wcale nie jest takie oczywiste. Costa Gavras (m.in. „Z”, „Zaginiony”, „Pozytywka”) wrzuca nas na głęboką wodę międzynarodowej finansjery, gdzie razem z głównym bohaterem – świeżo upieczonym dyrektorem międzynarodowej korporacji – usiłujemy nie utonąć, utrzymać się na powierzchni, a może nawet wyjść na brzeg z rybą w zębach. Co prawda pierwsza część filmu rozbudza apetyty, które w drugiej części nie do końca zostają zaspokojone, ale solidna porcja kąśliwości plus darmowa lekcja ekonomii sprawiają, że rachunek wychodzi na plus. 🍷



ma czekania na odcinek za tydzień, nie ma powtarzalnego wzoru. Wręcz przeciwnie – ponieważ każdy odcinek ukazuje wydarzenia z perspektywy innego bohatera, a te uzupełniają się wzajemnie, dopiero obejrzenie pełnego sezonu pozwala ułożyć mozaikowy obraz całości. Sprytne to i nowe. I zmienia percepcję seriali, bo o ile spokojnie można ominąć jakiś odcinek w serialu

starego typu, o tyle tutaj lepiej nie.

Serialopisarstwo zmierza w dobrym kierunku. Coraz inteligentniejsze scenariusze, coraz fajniejsze patenty narracyjne. Co nie znaczy, że nie oglądam z przyjemnością „Very” – wręcz przeciwnie. To w swojej klasie znakomity serial – powiedzmy, dla fanów kryminałów Agathy Christie. Natomiast „AD” strasznie mnie rozczarowało, mimo że doceniam wszelkie inwencje gatunkowe. I nie tylko dlatego, że Micheal Cera im starszy, tym brzydszy. Ale to właściwie historia na osobny tekst.

„Vera” – od 9 czerwca w ale kino+

ROCK

Królowe i królowa



Queens Of The Stone Age, „...Like Clockwork”, Matador/Sonic
 🍷🍷🍷🍷

Pokaż mi, z kim się zadajesz, a powiem ci, ile znaczysz w branży. Z listy gości pojawiających się na „...Like Clockwork” wynika, że nie ma dziś w rock and rollu mocniejszych graczy niż Queens Of The Stone Age.

Co zaskakuje o tyle, że Josh Homme, lider kalifornijskiego zespołu, nie zawsze odnajduje się w prestiżowym towarzystwie. Album Them Crooked Vultures – supergrupy, w której składzie obok Homme'a znaleźli się: Dave Grohl



(Nirvana, Foo Fighters) i John Paul Jones (Led Zeppelin) – rozczarował przerostem niezdrowo ambjonalnego hałasu nad kompozycją. „...Like Clockwork” to jego doskonale przeciwieństwo – błyskotliwie napisany, imponujący zonglujący emocjami album. Zróżnicowany – od klasycznej ballady „The Vampire” po brudny, sugestywny trans „Smooth Sailing” – co dowodzi jednocześnie wszechstronności, świadomości

i brawury. Goście? Kogo tu nie ma! Jake Sheers z queerowej dyskoteki Scissor Sisters, mózg elektronicznego UNKLE James Lavelle, Dave Grohl, idol młodzieży Alex Turner (Arctic Monkeys) i wreszcie – Elton John, który wprosił się do studia, wyciągając numer do Homme'a od jego byłego współlokatora, twierdząc, że przyda się tej płycie prawdziwa królowa. To musiał być zaszczyt, oczywiście dla Eltona Johna. → Angelika Kucińska

BLUES/SOUL

Być jak Janis

Zderzyć się z pomnikiem Janis Joplin i wyjść z tego bez obrażeń? Znanej z Sisters Natu się udało.

Trzeba być cholemlie odważnym, aby porywać się na twórczość Janis Joplin. Czego jak czego, ale akurat odwagi trudno Natu odmówić. O tym, że starsza z sióstr Przybysz nie boi się wyzwania i chętnie podejmuje ryzyko, można było się już przekonać na jej dwóch poprzednich solowych płytach. Kiedy rozpadło się Sisters, nie próbowała zatrzymać przy sobie fanów zespołu. Stawiając na mało przebojowy anglojęzyczny repertuar, świadomie zeszyła z pierwszej linii rynku. Straciła część publiczności, ale jako artystka poszukująca zyskała. Płyta z wiekowymi piosenkami ikony bluesa i rocka to w tym kontekście krok wstecz, jednak Natu trzeba oddać, że z konfrontacji z wielką Janis wyszła obronną ręką. Dobrze, że poza ogrzonymi standardami jak „Move Over” czy „To Love Somebody” sięgnęła też po rzeczy mniej oczywiste. Brzmieniem i klimatem pozostała wprawdzie wierna duchowi oryginałów, ale zaśpiewała te piosenki jak własne: lekko, naturalnie i z soulowym sznytem. → Bartek Winczewski



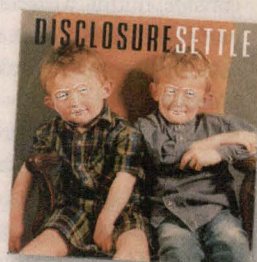
Natalia Natu Przybysz, „Kozmic Blues - Tribute To Janis Joplin”, Warner
 🍷🍷🍷

ELEKTRONIKA

Taniec z młokosami

Zakład, że w tym roku nikt nie porwie do tańca lepiej niż bracia Lawrence?

Pomyśleć, że kiedy w brytyjskich klubach królował UK garage i wokalny house, tworzący duet Disclosure bracia Lawrence jeszcze bawili się klockami. Tymczasem dekadę później to oni, wciąż nieprzyzwoicie młodzi, stoją na czele wskrzesicieli tych zapomnianych klubowych gatunków. Tak mocnego wejścia na scenie tanecznej elektroniki nie było od lat. 22-letni Guy i trzy lata młodszy Howard potrzebowali tylko kilkunastu miesięcy, aby z nieopierzonych amatorów awansować na najgorętsze nowe gwiazdy klubowego światka. Wystarczyło kilka przebojowych singli i remiksów. Ten albumowy debiut umocnił ich pozycję. Uzbrojeni w kolejne porywające hitowe produkcje, wspierani wokalnie przez m.in. Jessie Ware i Jamiego Woonę, dzięki „Settle” długo rządzić będą na parkietach. To nic, że nie grzeszą oryginalnością i wszystko to powtórka z popularnej niegdyś rozrywki. Przynajmniej nie udają, że chodzi im o coś więcej niż zabawę. Jeśli będziemy to mieli na uwadze, płyta Disclosure działa doskonale. → Bartek Winczewski



Disclosure, „Settle”, PMR/Universal
 🍷🍷🍷

MARCIN KUBE

Ukraiński gonzo trip

Dragi, wulgaryzmy i studentki polonistyki, czyli jak wygląda podróżowanie na wschód po polsku.

Wydaje się, że wszystko już zostało wymyślone i życie w ponowoczesnych czasach pozwala nam jedynie na zabawę w cytaty i gatunkowy koktajl. Lekka przesada, jednak znudzonych czytelników trudno dziś czymkolwiek zaskoczyć i ożywić. Tymczasem literackie zjawisko, jakim jest debiutancka książka Ziemowita Szczereka „Przyjdzie Mordor i nas zje”, nadeszło od strony reportażu. Co miesiąc ukazuje się kilka znakomitych pozycji z tego nurtu, ale większość pozycji na półkach księgarskich to rzeczy epigońskie, nudne, a czasem wręcz grafomańskie. Rzadko która nowość olśniewa formą i pomysłem tak jak „Przyjdzie Mordor...”.

Szczerek pisze podróżnicze reportaże gonzo, w których kategoria prawdy i zmyślenia schodzi na drugi plan. Dystansuje się wobec reportażowej mianery, w której superobiektywny quasi-antropolog przygląda się odmiennym kulturom i stara się nie oceniać. Jednocześnie unika pułapki, jaką zastawia na niego egzaltowany styl pisarzy poszukujących „ruskiego hard core'u” i stasiukowskiej melancholii w słowiańskim rozpadzie.

Gonzo wyrosło z mniej radykalnego nurtu new journalism. Dziennikarstwo stało się „nowe”, bo straciło swą przezroczystość, a dziennikarstwo wreszcie realizować autorskie ambicje. To nie znaczy, że literackie środki wcześniej nie trafiały do gazet – długa tradycję miały felietony i proza w odcinkach. Istota przełomu polegała na-



Ziemowit Szczerek, „Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian”
Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2013, 24 zł

dekonstrukcji klasycznie pojmowanego artykułu, w którym dotychczas liczyły się rzetelność, obiektywizm i dystans. W latach 60. i 70. dziennikarstwo zmieniło oblicze za sprawą takich postaci jak Truman Capote, Norman Mailer czy Tom Wolfe – dzisiaj już klasyków amerykańskiej literatury. Gonzo było jeszcze bardziej wywrotowe. Jest synonimem przekroczenia literackich i dziennikarskich barier. Ojcem gonzo jest Hunter S. Thompson, autor „Lęku i odrazy w Las Vegas” oraz „Dziennika rumowego”. Pierwsza pozycja jest lepiej znana w Polsce pod nazwą znakomitej filmowej adaptacji Terry'ego Gilliana – „Las Vegas Parano”.

Thompson w hotelowych pokojach zapisywał na bieżąco relacje z wydarzeń, w których brał udział, m.in. przez rok towarzyszył harleyowemu gangowi Hell's Angels, co opisał potem w publikacji. Nie omijał żadnych szczegółów, a raczej je podkreślał i dodawał pikantarii. Bezpośrednio angażował się w opisywane sytuacje, co w dalszej perspektywie przyczyniło się do jego licznych nałogów i uzależnień. Pokolenie wcześniej byłby pewnie bitnikiem. Pomimo upodobań do wszelakich używek na hipisa się nie nadawał, bo uwielbiał broń, którą kolekcjonował. W 2005 r. odebrał sobie życie strzałem w głowę z ulubionego colta.

Ziemowit Szczerek w swoim gonzo debiucie zebrał reportaże o podróżach na wschód, głównie na Ukrainę. Bohaterów przyciąga „wschodni kli-

mat”, choć nie potrafią powiedzieć, co to właściwie oznacza, poza pić na umór z miejscowymi. W błyskotliwych dialogach oddane są polskie kompleksy i naiwne przekonanie, że na Bugu kończy się Europa. Każdy akapit tryska humorem i żywym językiem, a narracja czasami przechodzi w narkotyczny trip. Początkujący pisarz portretuje fascynację „dzikim wschodem” i kpi z marzeń o kero-uakowskich przygodach na dziurawych drogach pośród stepów. Zamiast meskaliny i haszu jest wódka i ziołowy balsam Wigor. Pod kpinią kryje się jednak zrozumienie – Szczerek w pierwszym rzędzie śmieje się sam z siebie, nie przyjmując moralizatorskiej pozy. „Czasem docierało do mnie, że jeździłszy tam oglądać po prostu nędzę i że to nie było fair, bo w ten sposób chcieliśmy sami poczuć się mniej nędzni (...)”. Przyjemnie jest poczuć się Europejczykiem, który protekcyjnie klepie Ukraińców po ramieniu. A z drugiej strony raz na jakiś czas pojechać do Lwowa i narobić bydła z Wigorem w jednym ręku i wódką w drugim.

Przez liczne pociągi i marszrutki przewija się plejada barwnych postaci: studentki polonistyki w Drohobyczu, ukraińscy nacjonaliści i pijani backpackersi w pociągach. Uważne obserwacje i mnogość dowcipnych skojarzeń sprawiają, że lektura „Przyjdzie Mordor...” to czysta przyjemność.

Szczerek dystansuje się od wszystkiego, nawet od własnego pomysłu na pisanie. „Musiało być brudno, mocno, okrutnie. Taka jest istota gonzo (...) jest gorzała, są szlugi, są dragi, są pannieki. Są wulgaryzmy. Tak pisałem i było dobrze”. Świetny debiut.



Pięć kciuków dla Palina

Mroczny świt w indyjskim miasteczku, kiedy budzi się życie, a święte krowy radośnie ryczą w ciasnych zaułkach, oburzając turystów w tanim hoteliku. Szetlandzka deszczowa szaruga, w której majaczą cienie oceanicznych platform wiertniczych. I luksusowy pensjonat leczniczy w Czechach, wypełniony pozłaczanym tłumem rosyjskich nowobogackich. Takie scenografie dobrze pasują do Michaela Palina (rocznik 1943), niegdyś gwiazdora Latającego Cyrku Monty Pythona, a dziś podróżnika z etnograficznym i ekologicznym zacięciem. Oraz autora kilku powieści dla dzieci i dorosłych, z których ostatnia, zatytułowana „Prawda”, trafia właśnie na półki księgarskie. Ale niech was nie zwiedzie kolorowa okładka, na której widnieje rentgenowskie, lotniskowe prześwietlenie walizki, wypełnionej długopisami, notatnikami, pękiem kluczy na kółku i komórką. To thriller o dziennikarzu nazwiskiem Mabbut, który miał kiedyś wielkie literackie ambicje, ale dziś zarabia na książkowych laurkach, pisanych na zlecenie koncernu naftowego. Oprócz portfela niespełnionych marzeń Mabbut ma jeszcze



Hansenizm

Filip Springer obdarzony jest darem wspaniałego opowiadania o rzeczach trudnych. Jego kolejna książka, poświęcona wybitnej parze polskich architektów – Zofii i Oskarowi Hansenom, to połączenie reportażu, biografii intelektualnej i wartkiej opowieści o ludziach z wizją i silnym kręgosłupem moralnym. Mimo niewielkiej liczby zrealizowanych projektów ich osiedla (warszawski Rakowiec, Przyczółek Grochowski, Osiedle im. Juliusza Słowackiego w Lublinie, dom własny w Szuminie) budzą do dziś spory i kontrowersje. Hansen, twórca i propagator Formy Otwartej, przez lata pozostawał postacią marginalną. Czy stało się tak dlatego, że – jak podkreśla profesor Wiktor Gutt – był „człowiekiem o ponadprzeciętnym intelekcie”? Czy dlatego, że jego wizje wyprzedzały swój czas? A może dlatego, że był niepopraw-

dorsze dzieci z problemami, kupę długów i niewierną żonę. Zresztą Krystynę, Polkę. I oto pewnego dnia zaprzyjaźniona agentka literacka załatwia mu fuchę życia. Dzięki jej staraniom wydawnictwo Urgent Books (specjalność: bestsellerowa literatura faktu) zleca Mabbutowi napisanie biografii Hamisha Melville'a, ekologicznego superaktywisty, który samotnie tępi korporacyjne zło i występki, grasując incognito po całym świecie. Z pozoru pisarska chałtura okazuje się wyzwaniem na miarę Jamesa Bonda. Mabbut będzie musiał zaryzykować głowę, ale w nagrodę odkryje pełnokrwisty spisak... I byłaby to tradycyjna sensacyjna fabuła w hollywoodzkim stylu, godnym przebojowej ekranizacji z ekonutką w tle, gdyby nie sposób, w jaki została napisana. Eksmistrz absurdu po cichutku przeistoczył się w kapitalnego literackiego stylistę z ręką na miarę Malpassa. A że polskie tłumaczenie i skład olśniewają starannością, bez wahania pięć razy podnoszę kciuk. → Hubert Kropielnicki

Michael Palin, „Prawda”, Wydawnictwo Insignis, 39,99 zł

👍👍👍👍👍

nym fantastą? (w Fabryce Automatów Tokarskich chciał na przykład urządzić palmiarnię dla hutników). Springer nie odpowiada jednoznacznie: cierpliwie zbiera i wyluskuje wypowiedzi rodziny, przyjaciół, mieszkańców osiedli, współpracowników, byłych studentów, dziś uznanych artystów. Jest to piękna opowieść o rozwoju i upadku pewnej idei oraz cenie, jaką ponieśli Hansenowie za to, że mieli odwagę i siłę swoje idee wprowadzać w życie. „Zaczyn” to książka mądra, fascynująca i ciekawa, tak jak para głównych bohaterów. Fantastyczne spotkanie z architekturą przez duże A. → Monika Powaliż

Filip Springer, „Zaczyn. O Zofii i Oskarze Hansenach”
Wydawnictwo Karakter, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, 45 zł

👍👍👍👍👍



Ości w ozorku

Nie warto sięgać po tę książkę dlatego, że jej autor jest laureatem Paszportu „Polityki”, finalistą Nagrody Nike oraz pupilkiem krytyków. Nie trzeba się w nią wgrzyzać, bo podejmuje tematy modne, jak „postmodernistyczna rodzina” czy „życie singli w wielkim mieście”. Wabikiem na was, czytelników, niech nie będzie również błyskotliwie poprowadzona fabuła, bo nie jest ona ani aż tak porywająca, ani – w gruncie rzeczy – istotna. W swojej najnowszej powieści Ignacy Karpowicz zafundował nam oto prawdziwą ucztę językową. Język – rozpasany, psotny, zachwycony sam sobą, nieskoordynowany, chłonny – pozostaje w centrum „Ości”, podbija jakość narracji, w której

krzyżują się losy kilku bohaterów ze skłonnościami do życiowych dramatów. To w ten język autor „Gestów” metodycznie wbija igiełki swoich spostrzeżeń, ironiczne komentarze, smakowite cytaty. Pośród wyimków z Jonathana Franzena, Alice Munro czy Thomasa Bernharda postaci wykreowane przez Karpowicza – utkane z nośnych haseł, przez co do bólu współczesne – kochają się, zdradzają, płaczą i błagają o litość. A my śmiejemy się z tej telenoweli. Nie dlatego, że jesteśmy okrutni, lecz dlatego, że Karpowicz jest okrutnie zdolny. → Hanna Rydlewska

„Ości”, Ignacy Karpowicz, Wydawnictwo Literackie, 36,90 zł

👍👍👍👍👍

Hubert Klimko-Dobrzaniecki śledzi losy greckich uchodźców w Polsce, by opowiedzieć o wyobcowaniu, tęsknocie i pogoni za miłością. Specjalnie dla nas autor wybrał fragment swojej najnowszej powieści „Grecy umierają w domu”. Książka trafi na rynek 13 czerwca.

Wyobraźmy sobie następującą sytuację: jest park, a w parku stoi willa. Willa jest wiekowa, ma spadzisty dach oraz taras, z którego widać okolicę. W oddali majaczą kominy małego zaspianego miasteczka. Senność ta jednak pozorna jest, bo w części miejscowości skrywa się jeden z największych szpitali psychiatrycznych Francji. W willi są tylko dwie osoby i jeden kluczowy przedmiot. Kluczowy przedmiot nazywa się... klucz. Kluczem otwiera się piwnicę pełną wina. Jedna z osób jest łysa i znalazła się w willi prawie przypadkowo. Przed laty złożyła podanie o pobyt, ale wyładowała na liście rezerwowej. Ktoś jednak zrezygnował... Trzeba dodać, że łysa osoba jest polskiego pochodzenia i pisze książki. Druga osoba jest greckiego pochodzenia, ma wyjątkowe poczucie humoru, mówi biegle po francusku, a do tego to świetna, znana i utytułowana pisarka. Za pomocą klucza pisarka i pisarz otwierają piwnicę. I nie tylko opróżniają butelki czerwonego wina. Przy opróżnianiu również rozmawiają. Łysy odnotowuje w komputerze swoje przemyślenia. Książka zaczyna się pisać... Okazuje się, że choć przyjechali z odległych krajów, są sobie bardzo bliscy. Pisarz urodził się na Dolnym Śląsku, w miasteczku, które do pewnego momentu było polsko-greckie. Miał wielu znajomych i przyjaciół, dla których Polska stała się lub stać się musiała drugą, a czasami i pierwszą ojczyzną. Podejrzewa się, że to Grecy i ich opowieści doprowadzili do tego, iż pisarz, który jeszcze wtedy nie był pisarzem, kraj swój opuścił i od tamtego czasu udaje Greka. Dowodów na to można dopatrywać się w jego najnowszej powieści pod tytułem „Grecy umierają w domu”. W jakim stopniu mu się to udało, oceń sam, drogi Czytelniku „Przekroju”. Zapraszam do mojej opowieści.

Autor

Hubert Klimko-Dobrzaniecki, „Grecy umierają w domu”,

Znak, premiera 13.06.2013, 30,49 zł



MATERIAŁ PROMOCYJNY



„Grecy umierają w domu”

(fragment)

Ersi przebierała się kilka razy dziennie. Może to miejsce było jedyną możliwością pokazania tego, co miała w szafie? Zeszła w błękitnej bawełnianej sukience. Miała na głowie słomkowy kapelusz, a na oczach okulary przeciwsłoneczne. Szminkę na ustach. Ogromna, przewieszona przez lewe ramię torba już zostawiła siny odcisk na jej barku. Ostatecznie jechaliśmy na plażę, więc pewnie zapakowała do niej ręczniki, książki, papierosy, zapalniczki, bieliznę na zmianę, kremy, wodę, klucze, jakieś dokumenty, album ze zdjęciami, kolorowy telewizor, maszynkę do mielenia mięsa, kilo ryżu, apteczkę z lekarstwami, dmuchany materac, dyplom ukończenia studiów wyższych, prawo jazdy, pralkę, wymienialną błonę dziewczą, herbatę rumiankową, butelkę wina, korkociąg, kieliszki, testament ojca, wspomnienia z młodości zamknięte w alabastrowym flakoniku, termos z kawą, koło zapasowe do mojego samochodu, kartki zapisane poezją (część tomiku, nad którym obecnie pracowała), inne tomiki swoje i cudze, wycięte z gazet recenzje, ale tylko te pozytywne, cienie do powiek, perfumy, podpaski higieniczne, prezerwatywy w różnych kształtach, różnej wielkości i o różnych smakach, leżak, parasol przeciwsłoneczny, kapok, silnik do motorówki, żagiel, ceramiczną butelkę coca-coli na breloczku, listy miłosne, listy z banku z ponagleniami spłaty kredytu, zdjęcie swojej siostry z czasów przedmażeńskich, truczinę, konika na biegunach, żarówkę energooszczędną, gumę do żucia, drabinę aluminiową, siodło spręży-

nowe typu solo rider do modelu iron 883 black denim harleya-davidsona, latarkę, telefon komórkowy, radar wojskowy, porcelanowy serwis obiadowy na dwanaście osób, pół fortepianu i smyczek w całości, bukiet białych róż, kubek do kawy z napisem „Ersi”, niemiecki kosz na śmieci z napisem „Kosz na śmieci”, maszynę do strzyżenia trawy i może jeszcze małego yorka albo kocie syjamskie. Uszczelki do rurek miedzianych i kilka rolek papy. Świece zapachowe, listę zakupów do spożywczego, nintendo, które jakieś dziecko zostawiło w pociągu, woreczek suszonej mięty, świadectwo maturalne lekko poplamione, papierową flagę Grecji, szczotkę do ubikacji i kask na deskorolce, tak na wszelki wypadek. Tak na wszelki wypadek ma też w torbie chusteczki higieniczne, numer telefonu swojego lekarza zapisany czarnym flamastrem na dużym kartonie, butlę tlenową, encefalograf, płyn do mycia naczyń, klamki do wieszania bielizny, lawendowy odświeżacz powietrza w sprayu, tabletki z węglem na zatrzymanie i magnez na... aaa, magnez to mam ja, na rozluźnienie wszystkiego, a ona w tej torbie ma jeszcze z pewnością kilka płyt CD, domek na drzewie bez drzewa, wielozadaniowy szwajcarski scyzoryk, tekst układu z Maastricht, kawałek greckiej konstytucji, dwa opakowania tabletek na głowę, popielniczkę kryształową kupioną w dziewięćdziesiątym drugim od Polaka na placu w Atenach, korale, pierścionki, zegarki, kolczyki, rodzynki i migdały w skórce, rachatlukum oczywiście, ale tylko kilka kawałków, płetwy, rurkę i okulary do nurko-

wania. Aparat marki Kodak, z tych tańszych, do robienia zdjęć podwodnych. Najnowsze wydanie „Państwa Platona” i cały ikonostas zwędzony z Bułgarii. Tureckiego eunucha, takiego małego, dla lepszego samopoczucia. Trochę odtłuszczonej fety w puszcze do piłek tenisowych. Sieć też ma, haczyki i kije. Starą maszynę do pisania i kilka rolek taśmy do niej też z pewnością zapakowała. One wszystko pakują do tych toreb, ale mogę się założyć, że o czymś zapomniała. I patrzmy sobie teraz w oczy, po chwili rzucam okiem na torbę, na jej ramię uginające się pod ciężarem tych wszystkich niepotrzebnych przedmiotów i już wiem. Nie myliłem się. Ersi zdejmuję torbę. Kładzie ją na posadzce i...

– Słuchaj, muszę jeszcze skoczyć na górę. Zapomniałam spakować buteleczki z oliwą. Naszą oliwą. Mówiłam ci, że rodzice mają...

– Tak, pamiętam. Czy to potrzebne?

– Zobaczysz. Tylko chwila i jedziemy. Zawsze czegoś zapominam. A wydawało mi się, że wszystko zabrałam. Całe szczęście, że przypomniało mi się teraz, a nie na plaży. To co? Jeszcze chwilkę, dobrze?

– Może pójść z tą torbą do samochodu i poczekam w środku?

– Świetny pomysł, dziękuję.

Teraz wiem również, że w samochodzie przyjdzie mi długo czekać, bo Ersi, zanim znajdzie butelkę z oliwą, zrobi siku, potem się podetrze, potem się podmyje, potem jeszcze raz zmieni majtki, potem jeszcze raz spojrzy do lustra, potem zamknie za sobą drzwi, potem pomyśli, że zostawiła klucz w środku, potem się upewni, że nie, potem nie uwierzy sobie samej i znowu się zastanowi, ale klucz będzie miała w dłoni, i w końcu dopiero wtedy, po piętnastu minutach, zejdzie, wejdzie i pojedziemy. Jest rzeczywiście przyjemnie. Japońskie coś działa, działa sprawnie. A co ja zabrałem? Ano, kąpielówki i ręcznik leżą na tylnym siedzeniu. Okulary mam w schowku. Kremy? Nie używam kremów, a jakby co, to Ersi pożyczy, z pewnością ma krem. Jej torba też leży z tyłu i tylko jej nie ma. Nie doceniłem jej. Już dwadzieścia minut siedzę. Jest, nareszcie jest. Wsiada i nic nie mówi. Nie patrzy na mnie. Patrzy do przodu, przez szybę.

– Coś się stało?

W rękę trzyma zakorkowaną buteleczkę z oliwą. Odwraca się, jedną ręką grzebie w torbie, jakby robiła miejsce, i po chwili wsadza do niej oliwę. Rzuca komendę:

– Jedźmy.

– To gdzie?

– Wyjedź ze wsi, na wiatraki jedź.

Jadę. Dopiero teraz zauważam, że Ersi ma na stopach białe japonki.

– Może odeszła ci ochota? – pytam, bo jest całkowicie zmieniona na twarzy.

Znowu krótka komenda:

– Jedź.

– Ersi...

– Dzwonili z domu. Z ojcem jest bardzo źle.

– To może?

– Jedź.

Cisza. Kilkukilometrowa cisza.

– A teraz jak?

– W prawo i cały czas prosto. Potem ci powiem, jak dalej.

Znowu kilkukilometrowa cisza.

– Teraz w lewo i prosto, do końca. Jak się asfalt skończy, to zatrzymaj, dalej już nie ma drogi.

Cisza i pustki. Tak jak mówiła. Mała plaża, mała zatoka i my. Ersi wyjęła z torby te wszystkie rzeczy i dalej milczy. Kładzie ręcznik. Ja kładę swój. Przez chwilę leżymy obok siebie w ubraniach. Ta cisza, to milczenie są nie do zniesienia. To nie jest ona. Przyzwyczailem się do rozgadanej, wesołej kobiety, a tu... Po chwili wstaje i zdejmuję sukienkę. Potem japonki ustawia obok ręcznika. Nie ma na sobie stroju kąpielowego, tylko zwykły biały biustonosz i takie same majtki. Siada na ręczniku. Jej dłonie spotykają się w połowie pleców. Cyk. Jeden pewny ruch. Jakby mnie nie było, zupełnie nie zwraca na mnie uwagi. Jest gdzieś daleko. Pewnie tam... Widzę jej piersi. Średniej wielkości, z dużymi brązowymi aureolami. Nigdy nie mówiła o dzieciach i chyba ich nie miała. Tak mówią piersi. Ersi odkłada stanik na bok, ściąga majtki. Są teraz na końcu stóp. Wstaje ponownie i unosząc w górę prawą stopę, razem z nimi jak żuraw portowy przenosi je w stronę biustonosza. Palce w dół, majtki leżą na białych wzniesieniach. Odwraca się przodem do mnie. Stoi i patrzy. Teraz wiem, jak wygląda cała. Teraz nie ma już żadnych tajemnic.

– Podobam ci się? – pyta cicho.

– Tak – odpowiadam pewnie, ale bez zachwytu.

Nie potrafię dobrze kłamać. Nawet jeśli mi się nie podobają, to wypadłoby dać taką samą odpowiedź. Takie sytuacje nie przewidują innych odpowiedzi. Takie sytuacje nie przewidują innych pytań. Ale Ersi potrzebuje potwierdzenia, więc choć nie jestem jeszcze gotowy, ściągam koszulę, spodnie i majtki. I teraz ja niczego już nie ukrywam. Patrzy na mnie z góry jak nauczycielka, a jak miałyby patrzeć, przecież Ersi jest nauczycielką... Jesteśmy bezbronni, my, faceci. Kłamstwo wychodzi na jaw zaraz po zdjęciu majtek...

– Nie podobam ci się – mówi Ersi i jeszcze przez chwilę nie patrzy mi w oczy, tylko w miejsce prawdy.

– Nic nie szkodzi. Nie muszę ci się podobać. – Siada na ręczniku. – Dobrze.

Ufff, udało się, myślę, ale tylko przez moment, bo Ersi sięga do swojej przepastnej torby i już trzyma w dłoni buteleczkę z oliwą. Wyjmuje korek i nalewa sobie oliwę na dłoń. Odstawia na brzeg ręcznika otwartą butelkę. Oliwa jest ciepła, a jej dłoń miękka i delikatna. Jesteśmy bezbronni, my, faceci... Jesteśmy...

– Nie muszę ci się podobać. Mało mnie to dziś obchodzi – mówi Ersi i pracuje nade mną jak dobra korepetytorka.

Nie ma szans, żeby się nie udało. Wie, co robi, i robi to dobrze. Po chwili siedzi na mnie, a śliskie dłonie zostawiają tłuste znaki na mojej klatce piersiowej. Nie patrzy mi w oczy, choć głowę ma skierowaną na mnie. Oczy ma zamknięte i pewnie myśli o kimś innym, tak samo jak ja teraz. Muszę myśleć o kimś innym, żeby nie osłabił. Jesteśmy w sobie, ale jesteśmy oboje z kimś innym. Wiem, nie pierwszy raz mi się to zdarza, tak samo jak jej. Słyszałem kiedyś o ślubach na odległość. Ktoś inny w imieniu pana młodego przysięga te wszystkie awykonalne bzdury pannie młodej, bo pan młody jest na Alasce, a ona stoi w Buenos Aires przed urzędnikiem stanu cywilnego. Albo jakiś obcy facet przyrzeka podobne farmazony ustrojonej w biel narzeczonej innego, bo tamten siedzi w pierdlu w Szanghaju. Ersi jest bardzo wilgotna i rzetelnie pracuje nad swoim orgazmem. Żadnych zbędnych ruchów, żadnego całowania, pochylania się, bliskości ust. Ja też się staram. Nie jest ani duża, ani ciężka, więc lekki to grzech. Widzę, że zaczyna przyspieszać i oddychać głębiej. Nie mogę jej tego zrobić, żadnych świństw, muszę udawać do końca i idzie mi całkiem nieźle, bo wyobraźnia pracuje. Ersi zaczyna jęczeć i czuję, jak pulsuje i zaciska na mnie coraz śmielej swoje uda. Jej głowa w chmurach jest i oczy otwiera, i w niego patrzy, drętwieje, zastyga, okrzyk z siebie mocny wydaje. Żyły na wierzchu i pąsy na policzkach. Teraz upada na mnie i wyraźnie czuję, jak serce jej wali, uciec chce ze środka. Trzymam ją za pośladki. Jeszcze trochę się rusza w tę i nazad. W tę i nazad. Aż cichnie. Tylko morze teraz słyszę. Stoję w niej ciągle na baczność, niespełniony. Ale to nie koniec. Nie jej koniec. Bo Ersi siły zaczyna zbierać, ale już bardziej wtulona, mniej odległa, podgryza mi biceps albo to, co kiedyś miano dobrego bicepsa nosiło. Czuję, jak nowe siły nieziemskie w nią wstępują, a ona oddaje się im bezwolnie. Całego mnie ma. Dla siebie, swojej wilgotnej... Krzyk bardziej doniosły niż poprzednio dobywa się z niej. Krople potu spadają na mnie jak ciepły deszcz. Znowu jest w kosmosie i sama jest. Ale jest. Ponownie jest. Przechyla się w bok i opa-

da bezwładnie na swój ręcznik, i dyszy. A ja też jestem dla siebie i dalej stoję na baczność, i pulsuje mi śliskie kłące imbiru. Cisza. Nie słyhać niczego, nikogo. Ani morza, ani jej oddechu, nie słyhać świata. Świata nie ma. Ersi zaczyna się wyprężyć, odwraca się w moją stronę i patrzy w miejsce niespełnione.

– Przepraszam, przepraszam. Wybacz. Musiałam z kimś być. Musiałam.

Więc jestem kimś? To całkiem niezły układ. Patrzę w niebo. Widzę jedną chmurkę i czuję wilgoć jej ust. Nagroda pocieszenia jest rzetelna i głęboka. Bez wielkiego sapania. Oddycha przez nos. Dotykam jej włosów. Są nagrzane od słońca. Też jestem teraz tam, gdzie ona przed chwilą była. Ma mnie w sobie, ale nie ma mnie. Drzę. Tabletki z magnezem nie działają w takich chwilach. Nie ma takich tabletek z magnezem, który mogłyby w tym momencie opanować ten spazm. Jeszcze kilka drgawek i umrę do końca, a potem znowu się narodzię. Ersi sięga do swojej torby po chusteczki higieniczne. Tak, wiedziałem, że je tam ma. Wyciera usta, a potem mój brzuch. Znowu sięga do torby i wyjmuje butelkę wody mineralnej. Tak, wiedziałem, że ją tam ma. Upija ją łyk.

– Chcesz?

Kiwam głową. Piję. Wypijam połowę butelki.

– Dużo miałeś w sobie – mówi Ersi, ale się nie uśmiecha.

Czekam na to jej hi, hi, hi, lecz go nie dostaję.

– Często jesz ananasy?

– Od czasu do czasu. Normalnie raczej.

– Dziwne...

– Co dziwne?

– Smakujesz ananasami.

– To komplement czy zarzut?

– Komplement.

– Dziękuję.

Znowu sięga do torby. I co tym razem? Patefon? Telefon komórkowy. Też przewidziałem. Sprawdza coś. Nic. Czysto. Chowa telefon. Patrzę na jej japonki. Coś muszę zrobić, muszę jakoś rozładować to wszystko, bo ciągle nie wydaje się sobą. Krótkie pytania. Polecenia...

– Gdzie kupiłaś te japonki?

– Od jakiegoś Murzyna na plaży. Jeszcze w tamtym roku.

– Od tych, co chodzą z tymi kramami na plecach?

– Od takiego właśnie.

– Ile dałaś?

– Pięć euro czy coś...

– Przeplącałaś.

– Nie zastanawiałam się wtedy nad tym. A co?

– Mój Ojciec miał kiedyś japonki i...

– Mój ojciec umiera...

DOMINIKA WASILEWSKA

Wszystkie odloty Vivienne

Królowa punkowej mody hasło „no future” zamienia na ekologiczne manifesty i uniformy ze zużytych plastikowych butelek. Czy pod sztandarem etycznego krawiectwa **Vivienne Westwood** ma szansę rozpętać nową modową rewolucję? W nowojorskim MET trwa wystawa „**Punk: Chaos to Couture**”, a my przyglądamy się wiecznie zbuntowanej brytyjskiej projektantce.

Tak, to prawda, punk umarł. Jest po prostu kolejnym tanim produktem dla konsumentów. Cukierkowy rock na plastikowych tranzystorach. (...) Punk stał się modą tak jak kiedyś hipisi. I nie ma to nic wspólnego ze mną ani tobą”. Gdy zespół Crass wyśpiewał te słowa w 1978 r., rozwiana została naiwna wiara w to, że anarcho-punk jest jeszcze w stanie obalić establishment. Marketingowcy szybko wykorzystali fakt, że subkultura, bunt i rebelia dobrze się sprzedają. Punk rock opuścił squaty, oswoił chaos i wyciągnął agrafki z uszu, aby stać się hasłem kultury głównego nurtu. Trudno o większy paradoks. Jednak mimo że po Sex Pistols pozostał John Lydon reklamujący masło, a dzisiejsi „buntownicy” to w niemałej części dzieciaki, które w przerwie od manifestowania popijają kawę ze Starbucksa, punk rock nie stał się wyłącznie pieśnią przeszłości.

Środowisko punków, jak większość subkultur, jednym z kluczowych elementów swojej odrębności od reszty społeczeństwa uczyniło styl ubierania. To właśnie moda jest tą dziedziną, w której duch buntu jest wciąż żywy, o czym może świadczyć otwarta w nowojorskim Metropolitan Museum of Art wystawa „Punk:

Charyzmatyczna projektantka od lat walczy z systemem, który poniekąd sama tworzy. Teraz jest zagorzałą ekolożką.

Chaos to Couture”. „Ludzie mają niezwykle emocjonalny stosunek do punk rocka, ponieważ był on całkowitym zerwaniem z tym, co funkcjonowało wcześniej. To zupełnie nowy świat” – stwierdził na łamach amerykańskiego „Vogue’a” kurator wystawy Andrew Bolton. „Punk to przede wszystkim celebrowanie indywidualizmu, kreatywności i odwagi – chodzi o to, aby nie bać się zaprezentować własnej odrębności i być odważnym w swoim modowym przekazie” – wyjaśnił Bolton.


Moda regularnie gości w największych muzeach, jednak wystawa, w ramach której występuje na tle jednego z najsilniejszych odłamów alternatywnej kultury, stanowi wydarzenie bezprecedensowe. Duet ten to kompromis wypracowany z dwóch sprzecznych koncepcji: punkowej „do it yourself” i charakterystycznej dla haute couture „made to measure”. Do pogodzenia tak odmiennych estetyk świat mody musiał stworzyć silne

rzędy monarchistyczne. Na ich czele stanęła oczywiście Vivienne Westwood, niezaprzeczalna królowa punkowej mody.

„God Save the Queen”

430 Kings Road w Londynie. Butik Let It Rock założony przez Malcolma McLarena w 1971 r. odcina się od powoli zamierającej ery hipisów i wraca do estetyki lansowanej przez Teddy Boys w latach 50. Projektowaniem ubrań zajmuje się początkująca projektantka i partnerka McLarena Vivienne Westwood.

Urodziła się 8 kwietnia 1941 r. w angielskim miasteczku Glossop jako Vivienne Isabel Swire. Jak sama przyznaje, jej dzieciństwo nie miało nic wspólnego z londyńskim światem high life’u i sztuki. Ojciec był szewcem, a matka pomagała rodzinie wiązać koniec z końcem, pracując w przędzalni. Gdy Vivienne miała 17 lat, przeniosła się wraz z rodzicami do Harrow w hrabstwie Middlesex. Przyszła

 **Marketingowcy szybko wykorzystali fakt, że subkultura, bunt i rebelia dobrze się sprzedają. Punk rock opuścił squaty, oswoił chaos i wyciągnął agrafki z uszu, aby stać się hasłem kultury głównego nurtu.**



ikona mody podjęła się pracy w lokalnej fabryce, którą godziła z kursami przygotowującymi do zawodu nauczycielki. „Żyłam w mieście, które wyrosło na rewolucji przemysłowej. Nie miałam pojęcia, jak wyglądają galerie sztuki” – wspomina dziś Westwood. W wieku 21 lat jej życie na moment się ustabilizowało za sprawą ślubu z Derekiem Westwoodem, wraz z przyjęciem posady nauczycielki w szkole podstawowej oraz narodzinami pierwszego syna, Bena. W tym czasie bardzo nieśmiało w życiu Westwood zaczęła pojawiać się moda. Sama zaprojektowała i uszyła dla siebie suknię ślubną oraz sprzedawała własnoręcznie robioną biżuterię na Portobello Road. Jednak wciąż nie wierzyła, że dziewczyna z klasy robotniczej mogłaby kiedykolwiek brylować w świecie artystów.

Wszystko zmieniło się po rozwodzie z Derekiem, gdy Westwood poznała o pięć lat młodszego studenta Akademii Sztuk Pięknych Malcolma McLarena. Przyszły menedżer Sex Pistols otworzył jej drzwi do zupełnie nowego środowiska i pozwolił poczuć prawdziwą wolność płynącą



DZIĘKI UPRZEŹNIOMOŚCI THE METROPOLITAN MUSEUM OF ART

Wystawa w nowojorskim MET pokazuje związki muzyki z modą. Po prawej: kolekcja Ann Demeulemeester (wiosna/lato 2000). Poniżej: ikona kontrkultury Patti Smith.



DZIĘKI UPRZEŹNIOMOŚCI THE METROPOLITAN MUSEUM OF ART

z działalności twórczej. Vivienne rzuciła pracę w szkole, urodziła drugiego syna Josepha i całą energię skupiła na tworzeniu mody dla buntowników. Razem z McLarenem zmieniali nazwę butiku przy Kings Road aż pięciokrotnie i za każdym razem modyfikowali nieco styl sprzedawanych rzeczy. Too Fast to Live, Too Young to Die to okres skórzanych kurtek i rockandrolowych czaszek, SEX – fetyszy i estetyki rodem z filmów pornograficznych, a Seditionaries to już kwintesencja stylu punk. World Ends, ostatnia nazwa sklepu obowiązująca do dziś, stała się odpowiedzią na kończący się świat prawdziwego punk rocka, który w szybkim tempie przebił się do kultury masowej.

Vivienne, kiedy projektowała dla ikony punk rocka, zespołu Sex Pistols, i prowadziła kultowy butik, była w centrum rebelianckiej rewolucji, która szybko okazała się kolosem na glinia-

nych nogach. „Ziarno buntu zostało zasiane przez hipisów, a my [punkowcy – przyp. red.] byliśmy jego kontynuatorami. Myślę, że wiele ludzi nie myślało wcale o polityce i nigdy nie stali się polityczni w jakikolwiek sposób. To zawsze stanowiło moją motywację i właśnie dlatego dziś nie szukam w punku żadnego interesu. Poza tym, że wygląda świetnie” – wyjaśniła Westwood na łamach amerykańskiej edycji „Harper's Bazaar”. Projektantka szybko najbardziej dosłowne elementy punkowego stroju – jak agrafka, łańcuchy rowerowe i ciężkie skóry – dostosowała do zmieniającej się rzeczywistości. Chaos wkroczył na wybiegi za sprawą kolekcji „Pirates” jej autorstwa, która w subtelny sposób stała się parodią klasy wyższej. Miejsce rockowej rebelii, brudu i destrukcji zastąpił płásający w rytm muzyki Duran Duran i ubrany w piracką koszulę z

falbaniastymi rękawami nurt New Romantic. Kolejne kolekcje Vivienne Westwood szturmowały serca i szafy buntowniczek lat 80. rozkloszowanymi na krynolinie spódnicami, stanikami noszonymi na bluzkę, tweedowymi żakietami i butami rocking horse.

„Rebel Never Get Old”

„Noś ręcznik zamiast płaszcza, to bardzo szykowne. Albo bokserki męża przewiążane paskiem. O to właśnie chodzi w idei do it yourself” – twierdzi Westwood. Gdy świat mody napędzany jest przez pożądanie i luksus, rady wychodzące z ust projektantki brzmią co najmniej abstrakcyjnie. Kawałek tkaniny frotté zamiast trenca Burberry wykończonego jedwabną podszeawką? Vivienne Westwood nie dostosowuje się do branżowych zwyczajów i konwenansów. Tworzy swoją własną, wywrotową modę, która jest etyczna, zaangażowana politycznie oraz nieco zużyta i sprana. David Bowie śpiewał niegdyś, że prawdziwy rebel nigdy się nie zestarzeje. 71-letnia projektantka nie jest dziś już tą samą szaloną ambasadorką punka, która podczas odbioru Orderu Imperium Brytyjskiego „za zasługi dla mody” z rąk królowej zdradziła, że nie ma na sobie bielizny. Jednak w jej duszy wciąż obecny jest pierwiastek rebelii, równie silny jak kiedyś. Różnica polega na tym, że bunt przeciwko panującemu systemowi Westwood zamieniła teraz na walkę o lepszą przyszłość naszej planety.

W świecie rządzonym przez kaprys trudno o bardziej rewolucyjne podejście do krawiectwa. Bądźmy szczerzy, mało kto z nas, kiedy otwiera szafę lub idzie na zakupy, myśli „moje ubrania muszą być etyczne”. Chęć posiadania pięknych przedmiotów zazwyczaj nie idzie w parze z troską o środowisko naturalne. Jednak czy pożądane przez nas dobra, nawet te z wyższej półki, muszą być na bakier z ekologią? Vivienne Westwood ostatnimi kolekcjami krążącymi wokół koncepcji DIY udowadnia, że tworzenie luksusowej mody może być bardziej



Projekt Karla Lagerfelda dla Chanel („Vogue”, marzec 2011). Poniżej: Inspiracja Lagerfelda? Sid Vicious w 1977 roku. Zdjęcia pochodzą z ekspozycji „Punk: Chaos to Couture”.

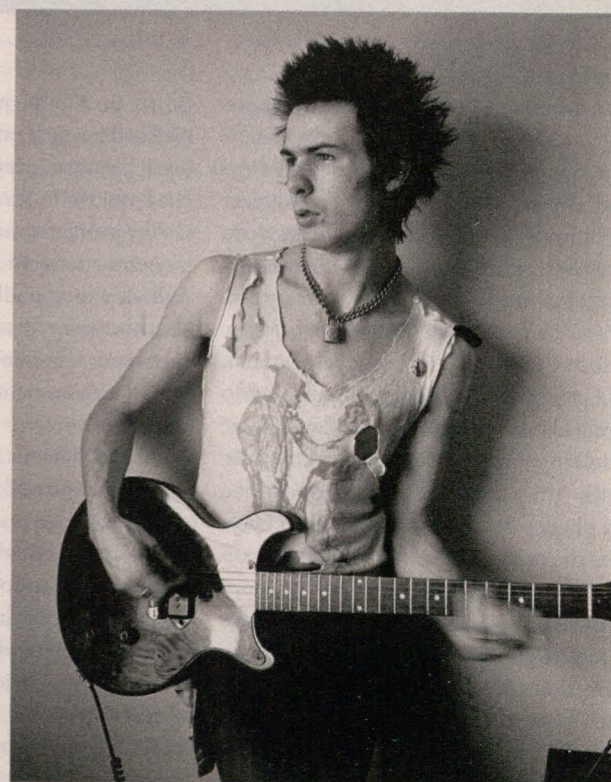
sień/zimę 2013. Czy takie wypowiedzi nie dowodzą, że mamy tu do czynienia z hipokryzją? Jej marka sprzedaje dobra luksusowe na całym świecie i co za tym idzie – generuje duże wydatki, obciąża środowisko i stanowi element globalizacji. Westwood jest tego w pełni świadoma i przyznaje się do winy. Jednak popularność i międzynarodowy charakter swojej działalności z powodzeniem wykorzystuje do szerzenia idei ochrony środowiska. Moda to wyjątkowy kanał, przez który tak silne osobowości jak Westwood mogą z sukcesem komunikować się z milionami ludzi.

„The Passenger”

„Gdybym poprosił Vivienne o stworzenie uniformów dla mojej firmy 35 lat temu, pewnie od razu wskazałaby mi drzwi” – ogłosił prowokacyjnie na łamach „Vogue’a” Richard Branson, właściciel linii lotniczych Virgin Airlines, dla załogi których Westwood zgodziła się zaprojektować ubrania służbowe. Branson miał pewnie rację, gdyż punk nie toleruje uniformizacji. Jednak cza-

świadome. Jej kultowe projekty, jak asymetryczne sukienki czy bufiaste minispódniczki, tym razem sprawiają wrażenie, jakby były uszyte z materiałów, które w poprzednim wcieleniu pełniły funkcję prześcieradła, ręcznika czy obrusu. Dawać nowe życie zużyтым przedmiotom, tworzyć coś z niczego i kierować się prawdziwymi potrzebami, a nie chwilowymi zachciankami to aktualne idee, na których projektantka opiera swoją pracę.

„Kupuj mniej, wybieraj mądrzej, zadbaj, aby przetrwało” – to rada powtarzana przez nią najczęściej, której nie omieszkala skierować nawet w stronę księżnej Cambridge Kate Middleton. „Byłoby świetnie, gdyby Kate wkładała te same ubrania więcej niż tylko raz. Dobrze wpłynęłoby to na środowisko i stanowiło pozytywny przekaz” – powiedziała Westwood reporterom po zakończonym pokazie Red Label na je-



DZIĘKI UPRZEŹNIOMOŚCI THE METROPOLITAN MUSEUM OF ART



sy się zmieniły, a projektantka z młodej rozrabiały przeszła na etap zaangażowanej aktywistki. Dlaczego tego nie wykorzystać i nie sprawić, że nawet stroje noszone przez stewardesy będą bardziej ekologiczne? I tak charakterystyczne czerwone uniformy nabrały nieco zieleni. Poliester, z którego je uszyto, został uzyskany ze zużytych butelek plastikowych i w 100 proc. nadaje się do recyklingu. Ta współpraca zdaje się być kolejnym dysonansem. Projektowanie dla firmy, której dochody pochodzą z plujących dwutlenkiem węgla olbrzymich maszyn? Tak, ale tylko ze względu na ekologiczne zacięcie Bransona, który robi wszystko, aby latanie Virgin Airlines uczynić mniej inwazyjnym dla Ziemi. Ochrona środowiska i praw człowieka to dla Westwood kwestie kluczowe. Systematycznie udziela się w organizacjach pozarządowych – od Amnesty Interna-

tional po Fundację Przyjaciół Ziemi. Najbardziej spektakularnego wsparcia udzieliła organizacji Cool Earth – wpłaciła na jej konto okrągły milion dolarów. Osoby publiczne angażujące się charytatywnie to często spotykany obrazek. Jednak w przypadku Vivienne hojności towarzyszy nieustannie nagłaśnianie problemu w mediach, a przede wszystkim włączanie manifestu ekologicznego do pracy twórczej.

Aktywistyczne szaleństwo, w jakie wpadła Westwood, staje się coraz bardziej czasochłonne, przez co projektantka regularnie dzieli się w mediach wątpliwościami dotyczącymi swej dalszej obecności w świecie mody. W rozmowie z „New York Post” przyznaje, że coraz trudniej jest jej pogodzić działania w trosce o planetę z zawodową pracą kreatora. Oby te przypuszczenia nie przełożyły się na rzeczywistość, gdyż w dzisiej-

Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku opanowała punkowa moda.

szej branży modowej prawdziwych buntowników pozostało niewiele. Madame Westwood już nieraz udowadniała, że przewidywalność jej nie dotyczy, jednak tym razem na pogłoski o przerwaniu kariery można spokojnie przymknąć oko. Chociaż nieustannie angażuje się we współpracę z organizacjami ekologicznymi, to tworzenie własnych kolekcji daje jej możliwość pełnego i efektywnego zmanifestowania poglądów. „Pewnie wszyscy wiecie, że zawsze wykorzystuję swoje pokazy jako platformę prezentującą istotę społecznej sprawiedliwości oraz nagłać problem ocieplenia klimatu” – mówi. Świat mody nieustannie przechodzi przez nowe rewolucje, z których tylko część na stałe zagości jako nowa jakość w myśleniu o krawiectwie. Etyczna moda ma wszelkie szanse stać się kolejną z nich. Jej rudowłosa ambasadorka na pewno się o to postara. ☞

KUBA DĄBROWSKI

Ciepło, zimno – tak samo

Walkera Evansa przygody w nowojorskim metrze.

Nowy Jork, luty 1938 r. Walker Evans ma 34 lata i jest w fotograficznym momencie przejścia. Za kilka miesięcy, jako pierwszy fotograf w historii, otworzy swoją indywidualną wystawę w MoMA. Wiadomo, że prawdopodobnie z miejsca zyska status żyjącego klasyka. W Muzeum Sztuki Nowoczesnej Evans pokaże zdjęcia, które przez kilka ostatnich lat robił dla Farm Security Administration – rządowej agencji zajmującej się między innymi fotograficzną dokumentacją skutków Wielkiego Kryzysu. To kadry przedstawiające ogarnięte suszą, biedą i głodem Południe. Evans nie zatrzymał się na poziomie rzetelnego wykonania rządowego zlecenia, na Południu stworzył własny język fotograficzny. Jego statyczne i technicznie perfekcyjne, wykonywane aparatem wielkoformatowym zdjęcia są chłodnym zapisem rzeczywistości. Evans nie „łapie w nich momentów” i nie bawi się w żadne zabiegi formalne, koncentruje się na odwzorowaniu rzeczywistości, ona ma mówić sama za siebie. Na tym według niego polegają siła fotografii. Na zdjęciach można zobaczyć szyldy sklepów, plakaty filmowe, stare buty, samochody i uwiecznione bez emocji twarze farmerów.

Powrót do Nowego Jorku jest dla Evansa trudny. Odczuwa dziwną mieszanekę uczuć: z jednej strony szykowana wystawa daje mu potężny wiatr w żagle i mnóstwo twórczej energii, z drugiej strony nic mu fotograficznie nie wychodzi. Opracowane na Południu metody w Nowym Jorku najwyraźniej w świecie się nie sprawdzają. Pasują do wiejskiego spokoju, w miejskim pędzie okazują się nieprzydatne. Proste portrety, które tam miały jakąś

Kuba Dąbrowski co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.



szczerą moc, tu okazują się jedynie powierzchowną obserwacją.

Evans zaczyna kombinować, jak bezpośrednio, na której mu zależy, można uzyskać w mieście. Odpowiedź znajduje pod ziemią. Objawieniem okazują się nieodbywane od kilku lat podróże metrem. „Opuszczona garda i zdjęta maska. Nawet bardziej szczerze niż w samotności sypialni (gdzie najczęściej jest lustro). Ludzkie twarze w metrze są nagie” – zapisuje w notatkach. Tylko jak je sfotografować? Jedyne sposoby to „podglądackie” spojrzenie z ukrycia. Fotograf wymyśla sprytny patent. Zamalowuje swojego sebrnego Contaxa na czarno i wieszka go na szyi, obiektyw umieszcza między uchylonymi połami płaszcza, wężyk spustowy przepuszcza przez rękaw. Z tak zamaskowanym aparatem siada naprzeciwko interesującej go osoby, czeka, aż pociąg wjedzie na wyremontowany fragment torów i przestanie się trząść, wtedy uruchamia migawkę. Powstają autentyczne, niepozowane portrety nieudających niczego pasażerów. Ktoś ziewa, ktoś czy-

ta gazetę, ktoś zagubił się w myślach. Zdjęcia są nieostre, niedoświetlone, czasami źle skomponowane (w końcu powstają bez spoglądania w wizjer) – są zupełnie inne niż dotychczasowa twórczość Evansa. Ciepłsze, bardziej emocjonalne.

We wrześniu Walker Evans otwiera wystawę w MoMA – „American Photographs”. Pokazuje na niej równo 100 wielkoformatowych, zimnych zdjęć z Południa. Faktycznie staje się żyjącym klasykiem. Zdjęcia zrobione w metrze lądują w szufladzie i leżą tam aż do roku 1966. Wtedy Evans wydaje złożoną z nich książkę „Many Are Called”. W wywiadach mówi, że chciał odczekać trochę czasu, żeby ludzie ze zdjęć zdążyli się postarzyć i stali się mniej rozpoznawalni. Fotografował ich bez pytania, więc chciał, żeby pozostali na swój sposób anonimowi. Poza tym po latach i „uleżeniu się” materiału doszedł do wniosku, że mimo różnic formalnych we wszystkich jego zdjęciach chodzi dokładnie o to samo. O poszanowanie rzeczywistości i szczerść. ☞

IWA PAWLAK

Wybiera Bodo Kox

O zapachu kobiet, wywiadach w wannie i fascynacji Pszczółką Mają.

Jako nastolatek chciał zostać gwiazdą rocka, wtedy też wymyślił swój pseudonim Bodo Kox i dziś używa go jako oficjalnego nazwiska. Karierę muzyczną ostatecznie porzucił dla kina niezależnego. Zrealizował „Rurę”, w której przewrotnie nawiązuje do „Kanału” Andrzeja Wajdy, „Nie panikuj” i „Sobowtóra”. Do realizacji wielokrotnie nagradzanego krótkometrażowego „Marca P. i złodziei rowerów” skłoniła go kradzież jego jednoślada. W dołączonym do wydania płytowe go żartobliwym making offie przyznaje, że opłaca się robić kino niezależne, bo rower był wart 200 zł, a na filmie zarobił kilka tysięcy. W chwilach pomiędzy autorskimi produkcjami pracuje jako reżyser komercyjnych produkcji, by – jak to określił w jednym z wywiadów – w przyszłości wciągać kokainę z płaskich brzuchów modelek na jachtach Morza Śródziemnego.

1 Wanna

Mycie kocham nad życie, ale głównie traktuję ten przedmiot, to miejsce oczyszczenia, jako salę prób i konfesjonał w jednym. Gdy jestem w niej sam, ćwiczę, udzielam wywiadów, ostatnio trochę po angielsku (wkrótce zagraniczne festiwale). Gdy pojawia się towarzystwo, zamęczam i opowiadam treatmenty nowych projektów po to, by posłuchać siebie, czy podoba mi się wciąż to, co wymyśliłem wcześniej. Swoje koncepcje rozwijam i ulepszam w trakcie tych wannowych exposé.

Spisuję je, jak już się ułożą w głowie na dobre.

2 Wirtualna rzeczywistość

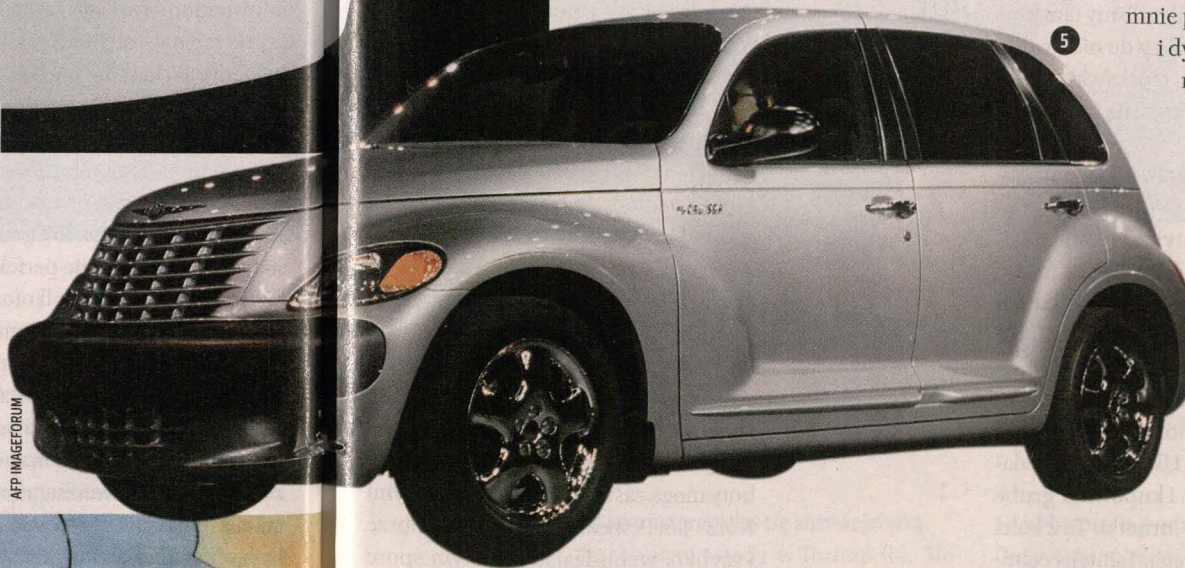
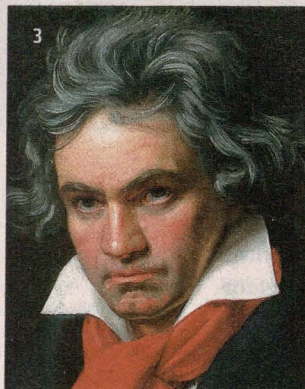
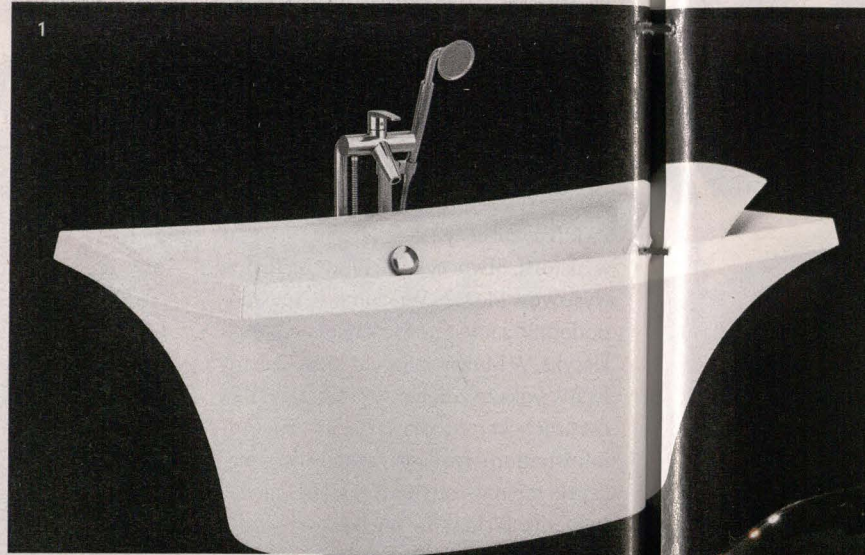
W niej spędzam najwięcej czasu. Internet to dla mnie drugi dom, dużo większy niż moje realne 30 metrów, więc jest czym oddychać. Inhalacja wesołym papierosem relaksuje i płąsy po stronach są często bardzo inspirujące. Mam swój kąpiel, własne konto na YouTubie, jak czegoś szukam, to w nim dłubię. Moim konikiem są ostatnio teorie spiskowe, od zawsze Adolf Hitler (żeby było jasne – nie sympatyzuję, ale mnie interesuje) i oczywiście muzyka, która na wyobraźnię ze wszystkich dostępnych rzeczy działa najlepiej.

3 Ludwig van Beethoven

Bogu dziękować i braciom Lumière (że nie urodzili się wcześniej), że nie robił filmów, bo ten Geniusz z pewnością przyblokowałby wszystkich ambitnych filmowców na wieki, na amen. A tak jest światło w tunelu... malutkie, takie od zapalniczki... Prócz muzyki inspirację czerpię też z samej postaci Ludwiga, bo choć nigdy nie osiągnę promila jego geniuszu, to po wysłuchaniu V, VII i IX Symfonii postanowiłem, że chcę z czasem robić filmy „na orkiestrę”, a nie na czteroosobowy, punkowy band z ciasnego garażu.

4 Pszczółka Maja

Wytatuowałem sobie ją na przedramieniu. Trochę dla żartu, trochę z sentymentu. Od dziecka z wielkim szacunkiem traktuję pszczoły. Kiedy byłem mały, mama powiedziała mi, że „pszczoły nie zdychają, pszczoły umierają”, i to bardzo zapadło mi w pamięć. Wielka ulga, że Unia Europejska (jednak kontynuacja wizji Hitlera) uchwiliła w końcu coś pozytywnego kilka dni temu, w spr-



Bodo Kox. Urodzony we Wrocławiu w 1977 r.

Do niedawna filmowiec offowy, swoim głośnym debiutem kinowym „Dziewczyna z szafy” (w kinach od 14.06) robi transfer do tak zwanego mainstreamu.

wie zabójczych dla pszczoł pestycydów. Pszczółka Maja to zen, to pełne spokoju, a zarazem pełne ciekawości świata podejście do życia. Bardzo pozytywna bohaterka. No i Maja fruwa tu i tam, też lubię czasem sobie pofruwać.

5 PT Cruiser

Moje pierwsze auto. „Srebrna strzała”, „skarabeusz”, jak nazywa go jeden z moich serdecznych kumpi. Dzięki niemu nie muszę korzystać już podczas po-

dróży ze środków transportu publicznego, które razem ze swoją zawartością wpędzały mnie w stan depresji. Dzięki niemu przeprosiłem się z radiem, a ono mnie przecież wychowało, na równi z klockami Lego.

6 Kielkownica

Mój ogród, mój warzywniak, osobiste „slow food”. Zastępuje mi moje świętej pamięci drzewko bonsai (o imieniu Ludwig zresztą). Kielki, oprócz tego, że smaczne i zdrowe, są esencją cyrku, co się zowie „życie”. Uczą mnie pokory, cierpliwości i dystansu. Dziś jestem na topie, udzielam

wywiadów w wannie i w realu, jutro będę nawozem pod rośliny. Mam nadzieję, że pod fasolę mung, bo ją uprawiam najchętniej.

7 Perfumy

Film „Zapach kobiety” z Pacino plusuje się wysoko na mojej prywatnej liście filmowych evergreenów. Mam słabość do kobiet, które umieją dobrze dopasować intrygujący zapach. Lubię to miejsce, w którym zapach perfum miesza się z zapachem skóry i włosów, gdzieś w okolicach szyi... Sam dla siebie też lubię być pachnący i kiedy mnie stać, używam „Terre d'Hermès”, przez co automatycznie kobiety dzielą się na dwie grupy: te, które chcą ze mną rozmawiać w cztery oczy, i te, które wolą to robić przez telefon.



ROZMAWIAJĄ BARTOSIAK & KLINKE

Gruszki, majtki i szkielety

Maluchem woził z Turcji dekatyzowane džinsy. Handlował tajlandzkimi biustonoszami. Piotra Machalicę namawiał na trzeci filar. Dzisiaj jest świetnym aktorem, tłumaczem, reżyserem. **Jacek Poniedziałek** szczerze o trudnych zawodowych początkach.

Jak zarobiłeś pierwsze pieniądze?

Mieszkałem w Krakowie przy ulicy Gdańskiej. Właściwie to centrum miasta, ale nasza ulica była nieutwardzona. Po drugiej stronie żyła rodzina Banachowiczów, która prowadziła gospodarstwo rolne. Mieli beczki z ogórkami kiszonymi i silosy z kapustą kiszoną, której zapach roznosił się po całej okolicy. Władza mówiła na takich: „prywatniarze” albo „kułaki”. Przyjaźniłem się z ich synem Piotrkim i chyba już od 11. roku życia regularnie u nich pracowałem. Jeśli nie przy kapuście i ogórkach, to przy zbiorach rabarbaru. Wiązałyśmy go w pęczki i sprzedawałyśmy z ciężarówki na placu Imbramowskim. Do dzisiaj uwielbiam smak świeżego rabarbaru.

Dało się zarobić?

Banachowicze płacili zajebicie. Naprawdę. Zarabiałem chyba więcej niż mama. Zresztą wszystkie pieniądze i tak jej oddawałem. W domu się nie przelewało.

Truskawki też zbierałeś u Banachowiczów?

Nie. Ale także po sąsiedzku. Truskawki i maliny rosły w ogródku pana Aleksandra, którego uwielbiałem. Był człowiekiem wielu talentów. Miał w piwnicy zakład ślusarsko-stolarski i wydawało mi się, że umiał zrobić i naprawić wszystko. Do tego grał na skrzypcach i akordeonie. Pan Aleksander był

inwalidą i dostał z przydziału pokryty brezentem trójkołowiec, tak zwany velorex. Jeździliśmy tym pojazdem na łąkę przed znanym w naszej dzielnicy barem Meteor i zbieraliśmy tam krowie placki. Dolewaliśmy do nich wody i podlewaliśmy tym truskawki. Rosły ogromne i były najlepsze na świecie.

Czy greckie brzoskwinie również były najlepsze na świecie?

Lepsze od nich były tylko gruszki. „Ah-lavia”, czyli gruszka – pamiętam to słowo do dzisiaj. Do Grecji pojechałem w 1988 r. To był mój pierwszy w życiu wyjazd zagraniczny, oczywiście z Almatyrem (śmiej). W Polsce, w Peweksie, kupiłem ogromne ilości gumy Donald i cieni do oczu. Na Ukrainie sprzedawało się to na pniu i kupowało grube złote obrączki oraz lornetki. To z kolei było chodliwe w Grecji. Tamtejsi celnicy doskonale o tym wiedzieli i wszystko, co przy nas znaleźli, wpisywali każdemu z osobna długopisem do paszportu. W drodze powrotnej należało te przedmioty ponownie okazać. Ja oczywiście wszystko sprzedawałem. A potem na granicy dostałem ogromny mandat, na który poszły niemal wszystkie zarobione pieniądze.

I pewnie dlatego musiałeś się przerwzić na handel dekatyzowanymi džinsami...

Skąd wiecie? Z kumplem, który miał w Grecji malucha, pojechaliśmy

JACEK PONIEDZIAŁEK

rocznik 1965, aktor teatralny, telewizyjny i filmowy, tłumacz. Szerokiej publiczności znany dzięki roli w serialu „M jak miłość”. Występował na deskach krakowskiego Teatru im. Juliusza Słowackiego, Starego Teatru oraz stołecznego Teatru Rozmaitości. Obecnie w zespole Nowego Teatru Krzysztofa Warlikowskiego.

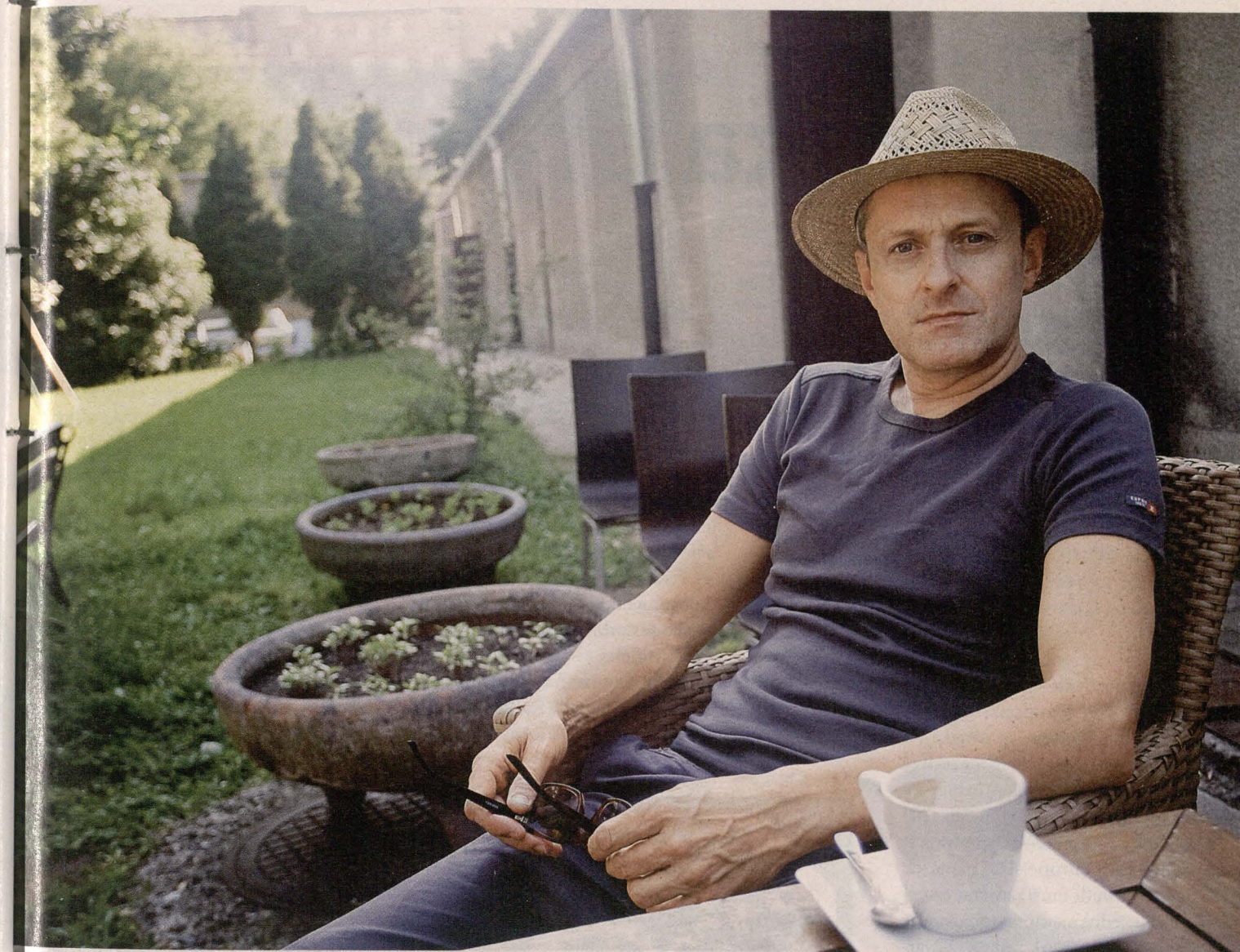
do Stambułu. To był szok. Nie tylko dlatego, że nigdy wcześniej nie widziałem tak gigantycznego miasta. Zaskoczyły nas gościnność i kultura tamtejszych sprzedawców – rzecz w PRL-u niespotykana. Za całą kasę zarobioną na greckich gruszkach kupiliśmy tony tureckich džinsów. Malucha wypchaliśmy po sam dach. Potem mój szwagier sprzedawał ten towar w Warszawie, na Skrzewie. Wokół stadionu był taki bazarek...

Pamiętamy. Kupowaliśmy tam „twoje” džinsy.

(śmiej) Po powrocie do kraju zostałem malarzem pokojowym. Razem z Jurkiem Sarną, kolegą z zawodówki i technikiem, tworzyliśmy bardzo solidny i drogi duet. O jakości naszej roboty mogą zaświadczyć między innymi Kora i Jan Peszek. Malowaliśmy dobrze i szybko, wzbudzając przy tym spore zainteresowanie córek właścicieli. Zwykle było gorąco, a my z gołymi torsami... Zajmowaliśmy się tym jakieś dwa lata. Dziś Jurek jest wybitnym architektem, który zbudował pół nowego Krakowa.

Ty za to pod miastem kopalesz dolki.

W wakacje, przed rozpoczęciem studiów aktorskich, bawiłem się w archeologa. Cały wrzesień ryłem pod Krakowem. Wykopałem parę szkieletów i przepiękną starą bransoletę z brązu w kształcie spirali. To była żmudna, ale ciekawa robota.



Już jako aktor zajęłeś się komiwojażerką.

Pracowałem wtedy w Teatrze im. Słowackiego, w czasach masakrycznie niskich stawek. Trzeba było jakoś żyć, więc handlowałem tajlandzkimi majtkami i biustonoszami. Bardzo niskiej jakości, ale za to w ładnych kolorach. Jeździłem 20-letnim bmw i opychałem towar puszystym paniom z GS-ów. Brałem je na orok osobisty. Majtki nadawały się do noszenia tylko do pierwszego prania. Dobrze mi szło, ale nigdy wcześniej ani potem nie wykonywałem tak upokarzającej pracy.

I dlatego przerwciłeś się na fundusze emerytalne?

To były moje początki w Warszawie. Do grania miałem niewiele, a z etatu w teatrze nie mogłem się utrzymać. Na trzeci filar namawiałem głównie znajomych. Czułem się z tym mocno niezręcznie. Jak sobie przypomnę moje spotkanie z Piotrem Machalicą... Może to i dobrze, że w sposób bardzo serdeczny odmówił.

Ile polis sprzedałeś?

Pewnie ze 100. Reklamacji do tej pory nie było (śmiej).

Pamiętasz swoje pierwsze płatne tłumaczenie?

„Oczyszczeni” Sary Kane dla wrocławskiego Teatru Współczesnego. Jakieś 12 lat temu. Zajmuję się tym do dziś. Właśnie ukazała się przetłumaczona przeze mnie książka: „Tango. Powrót do dzieciństwa w szpilkach”. To autobiografia Justin Vivian Bond – transseksualnej i biseksualnej Amerykanki. Polecam. Mam też niespodziankę...

Grasz ją.

Skąd tak dobrze mnie znacie? (śmiej). Zapraszam do Nowego Teatru na przedstawienie „Kabaret warszawski”.

BartosiaK & Klinke – Wywiadowcy.pl.

WOJCIECH BOŃKOWSKI

Winiarska etykieta

Picie wina należy zacząć od... czytania.

Przeczytaj, zanim wypijesz” – taki slogan ukułem kiedyś dla znanego magazynu winiarskiego. Wówczas chodziło o fascynujące artykuły i porady konsumenckie, lecz maksyma ta powinna przyświecać każdemu winomanowi. Nasza przyjemność z picia sfermentowanego soku z winogron znacząco wzrośnie, kiedy przy zakupie dokładnie wczytamy się w etykiety.

Nalepki na wino wprowadzono dopiero w XIX w. Wcześniej kupowało się bezpośrednio u źródła i samemu wypijało. Etykiety stały się konieczne dopiero wraz z rozwojem winiarskiego transportu i handlu. Wkrótce wprowadzono przepisy chroniące zastrzeżone nazwy takie jak Chablis czy Barolo, a jednocześnie określające to, co na etykiecie musi się znaleźć. W tej chwili sprawa jest prosta. W Unii Europejskiej papierki naklejony na butelkę musi zawierać cztery informacje: jedną nieistotną (pojemność butelki), jedną umiarkowaną (zawartość alkoholu) oraz dwie fundamentalne: tzw. podmiot odpowiedzialny oraz kategorię jakościową. Jeśli chodzi o tę ostatnią, wino może być – w skrócie – stołowe, regionalne lub jakościowe z apelacją kontrolowanego pochodzenia (francuskie AOC, włoskie DOC, hiszpańskie DO itd.). Kiedyś to była ważna decyzja: czy kupujemy wino z dołu, środka czy góry piramidy jakości. Dziś jednak win stołowych produkuje się coraz mniej, we Włoszech np. już ponad 60 proc. stanowią te teoretycznie najszlachetniejsze – DOC. Czy aż tak podniosła się jakość? Nie bardzo, ale przepisy na tyle poluzowano, że byle zlewka z hurtowni za 9,99 zł może mieć apelację kontrolowanego pochodzenia.

Trzeba więc na winie się znać, żeby na przykład wiedzieć, że AOC Corbières to żaden prestiż, za to AOC Faugères to obietnica wina bardzo dobrego. Ze Chianti brzmi bardzo szlachetnie, ale kryje się za nim 110 mln litrów wina sprzedawanego w hurcie po 1 € i że dobre wino niemal zawsze ma na etykiecie nieco inny napis: Chianti Classico. Ale kto by to spamiętał? Winomania-cy i eksperci, ale co ma zrobić zwykły konsument? Przecież nie zakoduje, jak smakuje Corbières i 500 innych apelacji francuskich.

Odpowiedź na to znalazły kraje Nowego Świata: Kalifornia, Chile, Argentyna, po nich Australia, Nowa

Zelandia i RPA. Walcząc o dominację na eksportowych rynkach, postawiły na radykalne uproszczenie etykiet. Wywaliły sążniste 15-wyrazowe nazwy jak w winach niemieckich, mikroskopijne apelacje takie jak w Burgundii, rodowe herby i ryciny châteaux. Zamiast tego ładny obrazek i jedno z czterech znanych masowemu konsumentowi słów: Cabernet, Merlot, Chardonnay lub Sauvignon. Zaakcentowanie szczepu winorośli na etykiecie stanowiło prawdziwą rewolucję. W Europie tego historycznie nie stosowano, wyłuszczało się nazwy apelacji. W związku z tym do dziś wszyscy znają nazwę Chablis, ale mało kto wie, że jest to wino z odmiany Char-



donnay. Ale uproszczenie szło głębiej: zamiast geograficznej komplikacji win różnych nawet od samych siebie kraje Nowego Świata postawiły na kilka najbardziej charakterystycznych typów smakowych.

Europa musiała pójść tym śladem, najpierw pojawiły się wina regionalne z nazwą szczepu (np. Vin de Pays d'Oc Merlot), a potem i wina apelacyjne: dziś już wolno pisać Bourgogne Pinot Noir, co jeszcze 20 lat temu wydawało się herzej. Natomiast Europa nie odpuściła jednej sprawy: na etykiecie daje wołami nazwisko winiarza lub nazwę posiadłości, gdzie wino powstało. W Kalifornii, Chile czy Australii akcentuje się markę, brand, handlowy znak towarowy. Z jednej strony mamy więc Carlo Rossi, Jacob's Creek czy Casillero del Diablo (nie wszyscy wiedzą, że producentem tego ostatniego jest Concha y Toro), z drugiej – Marchesi Antinori czy Domaine Louis Moreau. Apelacja, szczep winorośli, rocznik, czasem jakiś techniczno-poetycki tekst na kontretykiecie: nalepki na winach potrafią nam czasem powiedzieć sporo o tym, jak będzie smakowała zawartość. Ale nie powiedzą, czy wino jest dobre czy nieudane. Chociaż... Wprawne oko wychwyci cenne wska-

zówki. Zwierzątko zwłaszcza na tanim winie to lep na frajerów, którzy kupują oczami (badania wykazały 60 proc. wzrost sprzedaży, jeśli na winie jest hipcio lub kangur). Duże szanse na ohydę daje producent ukrywający się pod kodem, np. R.I. VR-789. Wino z Europy wyglądające jak australijskie (pstrokaty kolory, chwytliwy brand) to zapewne taniocha pod publiczke, natomiast odwrotnie – Nowy Świat z widokiem zamczku i wykaligrafowanym nazwiskiem: zwykle smakuje beczką i nie jest wart swych pieniędzy.

W krajach na dorobku – Bułgaria, Rumunia, Brazylia, nawet Węgry – im ładniejszy design etykiety, tym zwykle lepsze wino: nowi właściciele przykładają się do całego procesu produkcji. Zawartość alkoholu podana jako przedział np. 10–12 proc. (standard np. w Mołdawii) to sygnał alarmowy. Kontretykiety w krajach anglosaskich są zwykle rzetelne i dokładnie opisują smak wina, natomiast te francuskie to często bajdurzenie bez związku z rzeczywistością. Najlepsze wina francuskie często nie mają w ogóle kontretykiety. To jeden z dwóch pewników w tej bardzo niedokładnej nauce. A drugi jest taki: warto dokładnie czytać nalepki!

1. Max Ferd. Richter Riesling, etykiety niezmiennione od 1800 r., od 50 zł

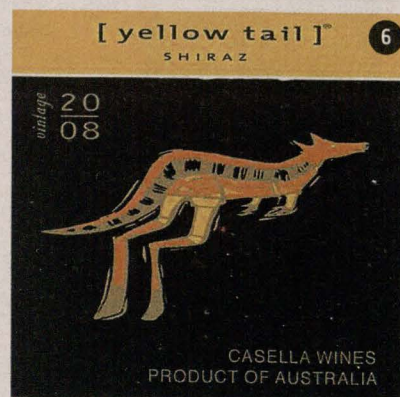
2. Hahn Family Cycles Gladiator, przeróbka słynnego plakatu G. Massiasa z 1895 r., ze względu na goliznę wino ma zakaz sprzedaży w Alabamie, ok. \$10

3. Château Mouton Rothschild, autorskie etykiety narysowali m.in. Picasso, Braque, Freud, ok. 2000 zł

4. La Moresca Sicilia Rosso, wyrafinowany modernizm z Italii, ok. 15€

5. Domaine Tortochot Gevrey-Chambertin, „pokochaj mnie za moje wnętrze” czyli klasyczna, usypiająca etykieta z Burgundii, ok. 50€

6. Yellow Tail, najpopularniejszy brand na świecie, 100 mln butelek, ok. 33 zł



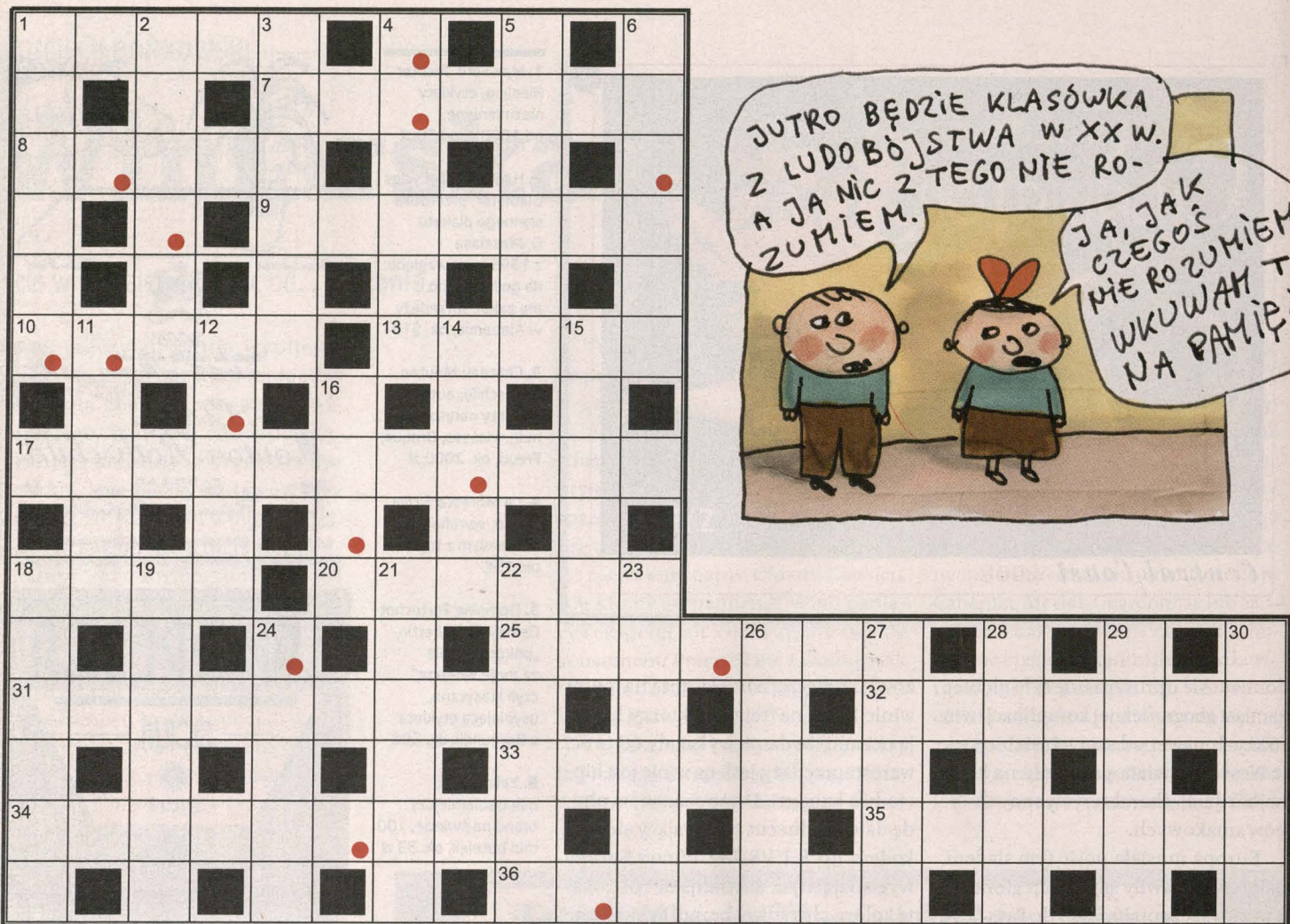
WOJCIECH BOŃKOWSKI

Pisze o winie od 2000 r., twórca portalu Winiatywa.pl, nieustraszony eksplorator win marketowych i wszelkich innych.



PRZYGOTOWUJE:
ZESPÓŁ KALIBER 45

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.



POZIOMO:

- 1. ZAMARZŁ NA KOŚĆ
- 7. KÓŁKO KOŚCIELNE
- 8. GRABA GRABA
- 9. PIERWSZA Z BRZEGU
- 10. BIJE NA OŚLEP
- 13. KOLOR GRAFFITOWY
- 17. KSIĘGA URWISÓW
- 18. MIEJSCE NA PŁODY
- 20. W STAWIE CIEMNA WODA,

- TROCHĘ BĘDZIE
- 25. KŁAMKA BEZ ZAMKA
- 31. POKAZUJE NOGI W SUKNIE
- 32. DOMEK DO SKŁADANIA
- 33. MEBŁOŚCIANKA
- 34. SERCE ROŚCI
- 35. UMIŁOWANI
- BRACIA I SIOSTRY
- 36. PRZYGANIAŁ GARNCARZOWI

PIONOWO:

- 1. ZARAZ CIĘ POŁOŻY
- 2. PO RENUCIE
- 3. ROBI NA PODŁOGĘ
- 4. NA BANK JEST JEDEN
- 5. ZDEJMOWANIE PASA
- 6. WALKA W PIWNICY
- 11. WOLNO BIEGAJĄCY KOŃ
- 12. CIOS W KŁOS
- 14. NASZA KASZA

- 15. PLAN A
- 16. SPROWADZIŁ BATOREGO NA ZŁĄ DROGĘ
- 18. PODRĘCZNIK INFORMATYKA
- 19. NOGA STOŁOWA
- 21. TAMA NA RZECIE KRWI
- 22. WILK SUTY I OWCA SSAŁA
- 23. NA SZCZĘŚCIE GO MASZ
- 24. FONTANNA W ŁAZIENKACH
- 26. SANDWICH BABUNI
- 27. KAWAŁ BUJA
- 28. RUDA, RUDA
- 29. PLAN BITWY POD GRUNWALDEM
- 30. KOCIE ŁBY NA RYNKU



Nagrodą w tym tygodniu jest płyta „Chillout 8 PM.” wyd. EMI Music Poland. Wygraj jedną z 10 płyt. Rozwiązania należy przesać NA KARTCE POCZTOWEJ na adres: GREMI MEDIA sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 23”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 16 czerwca 2013 r. (decyduje data stempla pocztowego).

LAUREACI Z NR. 19

- Jacek Jankowski, Kalisz;
- Michał Kostrzewski, Września;
- Kazimierz Biliński, Mieszkowice;
- Władysław Piestrak, Rzeszów;
- Zofia Dudziak, Lubsko;
- Jan Zaleski, Łódź;
- Ewa Hiper, Częstochowa;
- Jerzy Zieliński, Warszawa;
- T.D. Hajdas, Płońsk;
- Barbara Zawadzka, Łódź

ROZWIĄZANIE Z NR. 20

KRZYŻÓWKA: POKOLENIE KAINA

POZIOMO: 1. MA POWÓD DO PISANIA – POZEW 7. ZNALEZIONA W KAPUŚCIE – ŁAZANKA 8. ŁUK ROSA – TĘCZA 9. WZIĘŁA PASAŻERÓW Z ULICY GAŁCZYŃSKIEGO – DOROŻKA 10. CHŁOPCÓW Z PLACU BRONI – GARDA 13. KRAWCZY KRAJOM – FLAGA 17. OPOWIADA KAWAŁY Z BRODĄ – SENIOR 18. WYCHODZI Z KOSZA – SZOK 19. TWOJA STARA W SZKOLE – BAŚŃ 21. Z KAMERĄ WŚRÓD ZWIERZĄT – ZOOLOG 26. ZAWSZE Z PRADEM – AGREGAT 32. TEKST NA PŁYTĘ – EPITAFIUM 33. NIE WYBIERA PREZYDENTA – ESKORTA 34. ŻYŁKI NA NOGACH – NYLON 35. TWÓJ SAMOCHÓD W BRUDNYCH RĘKACH – MECHANIKA 36. PREMIERA PREMIERA – OREĐZIE 37. GRZMI Z AMBONY – SZTUCER

PIONOWO: 1. SILNA RYBA – PSTRĄG 2. ROŚNIE JAK NA DROŻDZACH – ZACIER 3. SZACH NIE MAT – WŁADCA 4. TYP SPOD JASNEJ GWIAZDY – SZERYF 5. IM WIĘCEJ, TYM MNIEJ – ZNIŻKA 6. DUŻA MÓZGÓW – NARADA 11. IDZIE PRZEZ PARK – ALEJA 12. SŁOWO NA NIEDZIELĘ – DZIEŃ 13. CIĄGNIE PO RÓGACH – LASSO 14. ZNANY Z JURY – GEOLOG 16. ZRĄB ZRĄB – BRAJ 19. DIAGNOZA NA OKO – BIELMO 20. NIE JEST BOHATEREM POWSTANIA – ŚPIOCH 22. LANIE NA TAPCZANIE – OBICIE 23. PASEK DO SPODNI – LAMPAS 24. CO SIĘ ODWLECZŁE – GRANAT 25. PROGRAM, GDZIE LEJĄ WODĘ – KANAŁ 27. NIE MA GROŚZA NI KIESZENI – GOLEC 28. GŁOS SOSNOWCA – TENOR 29. WIERCI SIĘ NA KRZEŚLE – WKRĘT 30. Z NICZYM SIĘ NIE RYMUJE – PROZA 3. PAN TADEUSZ – FACET

GREMI MEDIA Sp. z o.o. jest organizatorem konkursu z nagrodami rzeczowymi. Aby wziąć w nim udział, należy w trakcie trwania konkursu prawidłowo rozwiązać krzyżówkę publikowaną w tygodniku „Przekrój”. Rozwiązanie krzyżówki należy przesać na kartce pocztowej na adres redakcji. Zwycięzcy zostaną wyłonieni po zakończeniu konkursu w drodze losowania. W przypadku wygranej imię i nazwisko laureata oraz miejscowość jego zamieszkania zostaną opublikowane w tygodniku „Przekrój”. Udział w konkursie i przesyłanie kartki pocztowej z rozwiązaniem krzyżówki są jednoznaczne z wyrażeniem zgody na przetwarzanie danych osobowych. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom.

Jeśli zaoferowano Ci miejsce w rakiecie, bierz je, nie pytaj, które masz siedzenie

Sukces to rzecz osobista. Dowiedz się, czym tak naprawdę jest dla szefa operacyjnego Facebooka

Sheryl Sandberg

NOWY NUMER W SPRZEDAŻY

Czytaj m.in.:

Detektyw na wysokich obcasach

Kosztują miliony. Jachty made in Poland

Wakacje z duchami. Nawiedzone miejsca przyciągają tłumy





LENIAREK 71.

FILUTER

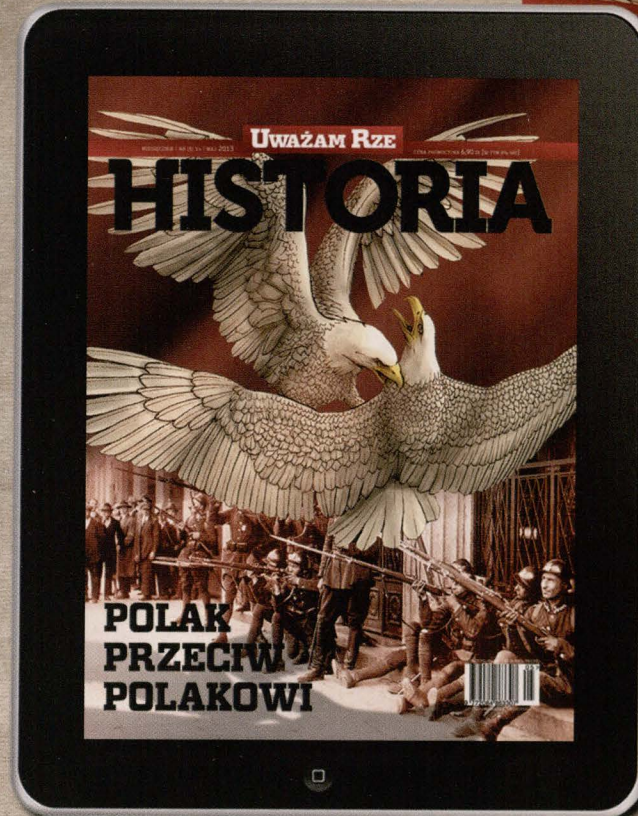
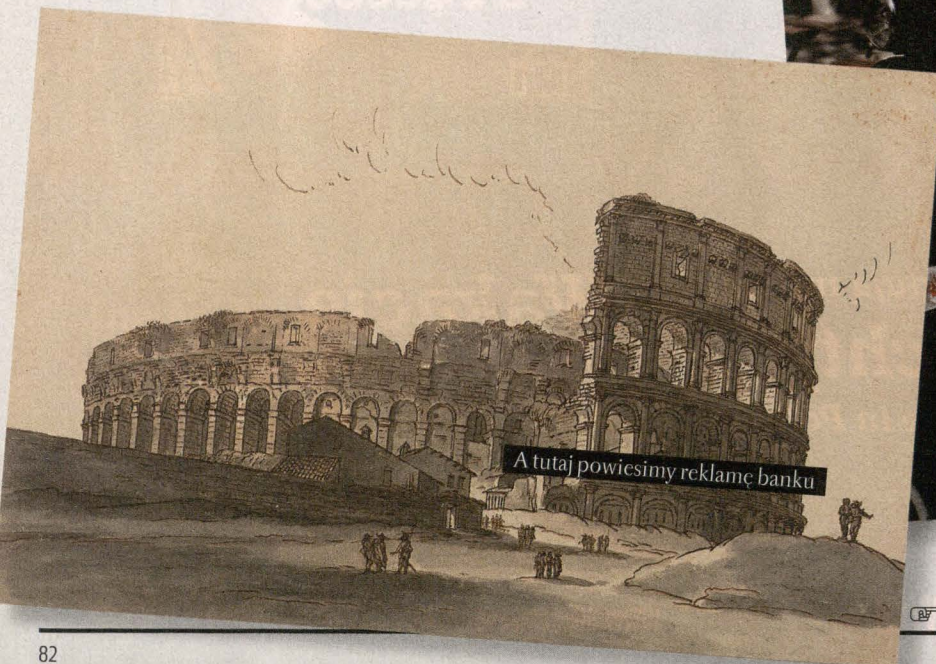


” Jak ja im, k...,
zazdroścę,
że mnie za chwilę zobaczą.
Tadeusz Łonicki

Kociak tygodnia: Wojtek, lat 35,
ojciec Ignasia, król parkietu, w wolnych
chwilach rozmyśla nad upadkiem
kapitalizmu i rewolucją duchową.
Fot. Sonia Szóstak



Sztuczne Fiolki



NOWY NUMER w sprzedaży, a w nim m.in.:

- prof. Andrzej Chojnowski / Polacy nie lubią do siebie strzelać
- prof. Jan Rydel / Za co generał niemieckiego wywiadu cenił Armię Krajową
- Leszek Moczulski / Pomysł na Wielką Trójkę powstał już przed wojną



Available on the App Store

Google play

POBIERZ APLIKACJĘ
NA SWÓJ TABLET

www.historia.uwazamrze.pl



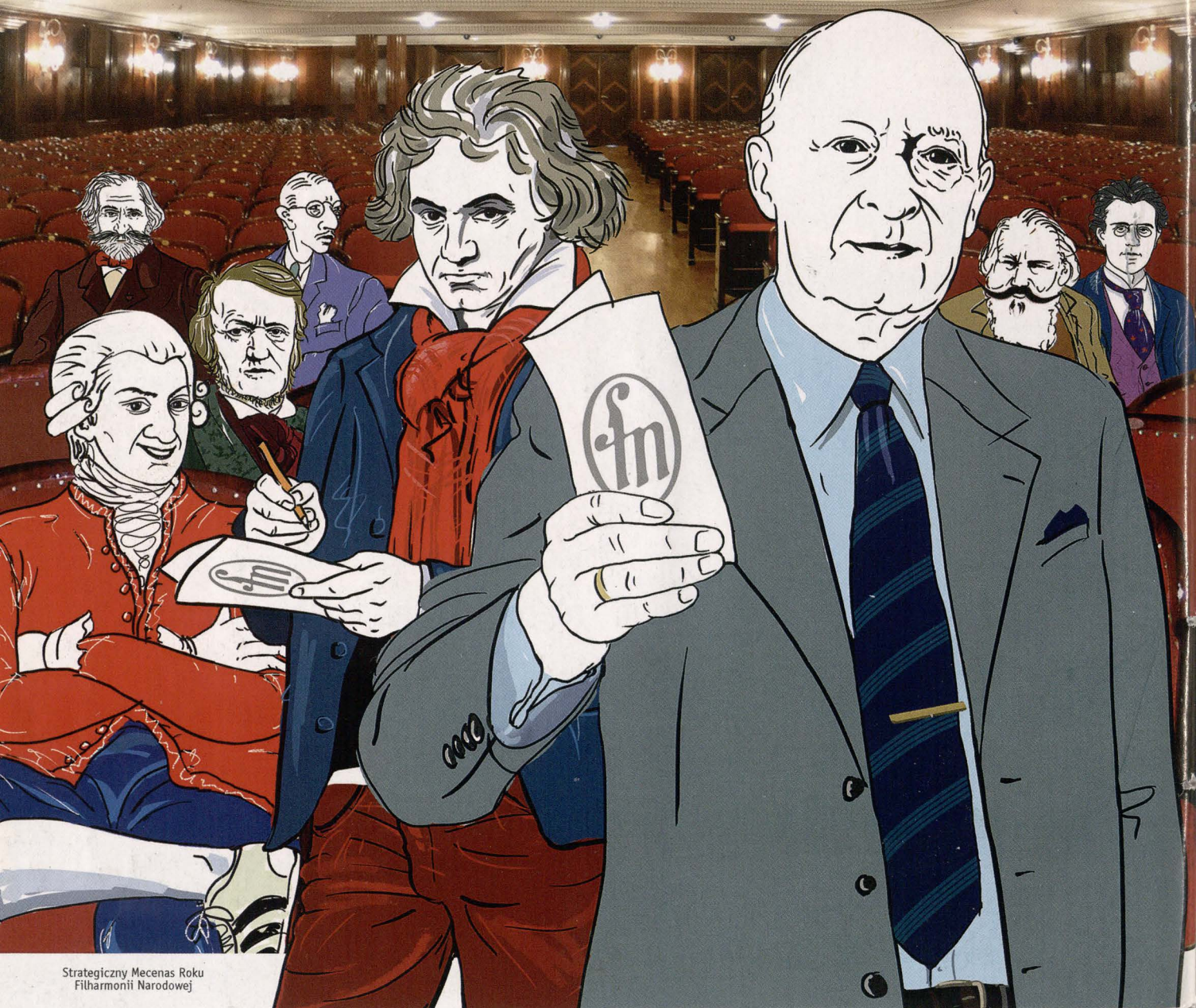
FILHARMONIA
NARODOWA

filharmonia.pl

sezon 2013 / 2014
Dyrektor Artystyczny JACEK KASPSZYK

abonamenty

wymiana od 22 lipca sprzedaż od 9 września



Strategiczny Mecenas Roku
Filharmonii Narodowej

Mecenasi Roku Filharmonii Narodowej

Patroni medialni

projekt: Tadeusz Kazubek



Bank Polski



Polska Grupa
Energetyczna



STOLICA

TVP WARSZAWA

